

# De La Cruz Melissa

## Błękitnokrwisci 06

### Zagubieni w czasie

Świat, który znali błękitnokrwisci, runął.

Jack i Schuyler zostali połączeni nierozzerwalną więzią. Ale niedługo po pamiętnej ceremonii we Włoszech los skazuje ich na rozstanie. By wypełnić ostatnią wolę Lawrence'a Van Alena, Schuyler musi uda się do Aleksandrii i odnaleźć mityczne Wrota – ostatnią nadzieję błękitnokrwistych. Potomkini aniołów szybko odkrywa, że to, czego dotąd dowiedziała się o celu swej

podróży, jest perfidnym kłamstwem. W tym samym czasie Jack powraca do Nowego Jorku, by stanąć twarzą w twarz z Mimi. Jednak jego bliźniaczka opuściła Stany i Jack, który przygotował się do gorzkiego pojednania z siostrą, zostaje postawiony w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia.

A Mimi? Mimi w towarzystwie Olivera ruszyła do Egiptu, by ratować Kingleya Martina. Zdeterminowana i uparta, dziewczyna nie chce przyjąć do wiadomości, że nie każda miłosna opowieść kończy się happy endem.

Mojej rodzinie

I tried to say „I miss you tonight”.

And they claim you've already died.

- Stellastarr, Lost in Time

Co, na Boga, możesz zrobić? (...)

Jedynie chwycić się czegokolwiek Obiema rękami

I trzymać aż do obtarcia palców

Tennessee Williams,

Orpheus Descending

(tłumaczenie fragmentu Małgorzata Żbikowska)

**NIGDY NIE MÓW DO WIDZENIA**

Florencja, grudzień

Schuyler przez całą noc nie zmrużyła oka. Leżała, wpatrując się w skrzyżowane belki na suficie lub widoczną za oknem katedrę Duomo, której kopuła mieniła się różowo-złotym blaskiem wstającego dnia. Na podłodze leżała garderoba - jej jedwabna suknia i czarny smoking Jacka. Wieczorem, po czułych pożegnaniach z gośćmi, uściskach i stukaniu obrączkami na szczęście, wrócili brukowanymi uliczkami do siebie, upojeni szczęściem i spotkaniem z przyjaciółmi. Czuli się jednocześnie pełni energii i zmęczeni ślubnymi uroczystościami.

O świcie Schuyler wsunęła Jackowi rękę pod ramię. Odwrócił się i przytulił ją mocno, opierając brodę o jej czoło i splatając jej nogi ze swoimi. Położyła mu dłoń na piersi i czując miarowe bicie jego serca, zastanawiała się, kiedy znowu będą mogli tak leżeć.

- Czas na mnie - powiedział Jack zaspianym głosem, po czym przyciągnął ją do siebie, muskając oddechem jej ucho. - Nie chcę, ale muszę - dodał przeproszającym tonem.

- Wiem - mruknęła. Obiecała, że będzie silna i wytrwa w po-stanowieniu, nie zrobi zawodu Jackowi. Pragnęła jednak, żeby jutro nigdy nie nadeszło i żeby noc trwała dłużej. - Jeszcze nie teraz. Spójrz, jeszcze ranek nie tak

bliski. Słowik to, a nie skow-ronek się zrywa - wyszeptwała, czując się jak Julia, senna i rozko-chana, która prosi Romea, żeby nie odchodził, a jednocześnie boi się, co przyniesie przyszłość. Starła uchwycić się czegoś cen-nego i delikatnego, jakby noc mogła ochronić ich miłość przed nadciągającym przeznaczeniem i rozstaniem.

Poczuła, że Jack się uśmiecha, słysząc dobrze znaną strofę z Szekspira. Musnęła palcami jego wargi, a on wsunął się na nią i stali się jednością. Przytrzymał jej ręce nad głową, zacisnął dło-nie na nadgarstkach i dotknął wargami szyi. Zadrzała, gdy jego kły przebiły skórę. Przywarła mocniej do Jacka, wsuwając palce w miękkie jak u dziecka włosy, gdy pił życiodajną krew.

Potem oparł jasną głowę na jej ramieniu, a ona mocno go objęła. Do pokoju wlewało się światło dnia. Noc minęła i nadszedł czas rozstania. Jack delikatnie wysunął się z jej objęć i pocałował niezabliźnioną jeszcze ranę na szyi.

Patrzyła, jak się ubiera, podała mu buty i sweter.

- Będzie zimno. Potrzebna ci nowa kurtka - powiedziała, czyszcząc z kurzu czarny płaszcz przeciwdeszczowy.

- Znajdę jakąś po powrocie do Nowego Jorku -  
odpowiedział. - Hej - dodał, widząc smutek na jej  
twarzy. - Nic mi nie będzie. Żyję całą wieczność i  
zamierzam żyć dalej. - Uśmiechnął się lekko.

Kiwnęła głową. Ucisk w gardle tamował jej oddech, ale  
nie chciała, żeby tak ją zapamiętał. Podała mu plecak.

- Paszport włożyłam ci do przedniej kieszeni -  
oznajmiła, siląc się na swobodny ton. Podobała jej się  
rola żony, towarzyszkii życia i pomocnicy.

Jack kiwnął głową w podzięcie, spakował resztę książek,  
zapiął suwak i zarzucił plecak na ramię, unikając  
wzroku Schuyler. Chciała zapamiętać Jacka właśnie  
takiego: skąpanego w złotym blasku poranka pięknego  
młodzieńca. Platynowe włosy miał lekko zmierzwione,  
a w jasnozielonych oczach błyszczała determinacja.

-Jack... - Głos jej się załamał. Opanowała się jednak, nie  
chcąc, by ich pożegnanie przepelniał smutek. - Do  
zobaczenia - rzuciła lekkim tonem.

Ścisnął jej rękę i zniknął. Została sama.

Złożyła suknię ślubną i schowała ją do walizki. Była  
gotowa do drogi, ale nagle uświadomiła sobie to, czego  
Jack nie chciał przyjąć do wiadomości. Nie obawiał się  
stawić czoła przeznaczeniu, po prostu się z nim godził.  
Nie będzie walczył z Mimi, raczej pozwoli się zabić.

Zrozumiała, co on zamierza zrobić. Spotkanie z siostrą bliźniaczką oznaczało dla niego spotkanie ze śmiercią.

Nie będzie dobrze. Nigdy już nie będzie dobrze.

Starał się to ukryć, ale Schuyler wiedziała, że zbliża się jego koniec. Ta noc była ich ostatnią wspólnie spędzoną nocą. Jack wracał do domu, żeby umrzeć.

Przez chwilę miała ochotę krzyknąć, drzeć ubranie i rwać włosy z głowy. Zaraz jednak opanowała się i otarła łzy. Nie pozwoli na to. Nie dopuści do tego. Poczwała przyływ energii. Nie

pozwoli, by tak się stało. Oliver obiecał, że zrobi wszystko, by odciągnąć uwagę Mimi, i była mu wdzięczna, że chce chronić jej szczęście. Ale teraz kolej na nią. Musi ocalić Jacka, uratować go przed nim samym. Miał odlecieć za kilka minut. Nie namyślając się, przebiegła całą drogę na lotnisko. Spróbuje go jakoś zatrzymać. Jeszcze żył i nie chciała, by to się zmieniło.

- Schuyler... - Uśmiechnął się. Nie spytał, co tu robi, bo już wiedział, ale w jego uśmiechu czaił się smutek.

- Nie wyjeżdżaj - powiedziała. Nie pozwolę, byś sam przez to przechodził Jesteśmy teraz razem. Wspólnie stawimy czoło przeznaczeniu. Twój los jest moim losem. Razem będziemy żyć lub razem umrzemy. Nie ma innego wyjścia - wysłała mu swoje myśli.

Jack zaczął kręcić głową, ale Schuyler nie dała mu dojść do słowa.

Znajdziemy jakiś sposób na uniknięcie sądu krwi. Jedź ze mną do Aleksandrii. Jeśli się nie uda i będziesz musiał wrócić do Nowego Jorku, pojedę z tobą. Jeżeli masz być unicestwiony, to ja też, pał sześc dziedzictwo mojej matki. Nie zostawię cię. Nie bój się przyszłości, razem stawimy jej czoło.

Widziała, jak rozważa jej słowa, i wstrzymała oddech.

Jego los - i prawdopodobnie los wszystkich wampirów - był teraz w jego rękach. Zrobiła, co mogła, walczyła o niego, a teraz on powinien walczyć o nią.

Jacka Force'a czekał okrutny los, ale Schuyler Van Alen miała nadzieję, modliła się o to, wierzyła, że wspólnie zdołają go zmienić.

SIEDEM MIESIĘCY PÓŹNIEJ

JEDEN

Raj

Wyjeżdżali z Aleksandrii, gdy zmierzały tam tłumy ludzi, uciekających przed upałami w Kairze.

- Mam wrażenie, jakbyśmy zawsze jechali w złym kierunku - stwierdziła Schuyler, patrząc na rząd samochodów sunących wolno na sąsiednim pasie. Była

połowa lipca i słońce stało wysoko na niebie.

Klimatyzacja w wynajętym sedanie szwankowała i Schuyler musiała oprzeć dłonie o deskę rozdzielczą, żeby poczuć chłodne powietrze wydobywające się z wywietrzników.

- Może jest wprost przeciwnie, może tym razem jedziemy we właściwym kierunku - uśmiechnął się Jack i wcisnął pedał gazu.

W porównaniu z korkami na przeciwległym pasie ruch w stronę stolicy był niewielki. Jechali w miarę płynnie, jeżeli tak można określić chaos panujący na biegnącej przez pustynię autostradzie. Nieustannie dochodziło tu do przerażających kolizji autokaro-owych i śmiertelnych wypadków z udziałem samochodów osobo-owych. Nic dziwnego, skoro kierowcy pędzili na złamanie karku, zmieniając pasy, gdy przyszła im na to ochota, a wielkie tiry wyglądały, jakby za chwilę miały się przewrócić. Od czasu do czasu zdarzała się nieoczekiwana przeszkoda - nieoznakowana dziura lub nieuprzątnięte rumowisko - i pojazdy hamowały gwałtownie, wpadając na siebie i powodując ogromne karambole. Schuyler była zadowolona, że Jack jest takim dobrym kierowcą. Sprawiał wrażenie, jakby instynktownie wiedział, kiedy przyspieszyć lub zwolnić, dzięki czemu udawało im się unikać otarcia czy stłuczki.



Dobrze, że nie musieli jechać nocą, bo egipscy kierowcy nie włączali świateł, uważając, że reflektory zanadto zwiększają zużycie benzyny. Wampirom to nie przeszkadzało, ale Schuyler martwiła się o ludzi, którzy pędzili w ciemnościach na oślepie niczym nietoperze miotające się po jaskini.

Przez siedem miesięcy ona i Jack mieszkali w Aleksandrii, odwiedzając malownicze kawiarnie i przestronne muzea. To sta-rożytne miasto miało dorównać wielkością Rzymowi i Atenom. Kleopatra uczyniła je swoją siedzibą. Chociaż można było tu znaleźć ślady dawnej świetności - sfinksy, posągi i obeliski - to niewiele pozostało z tamtych czasów w tej tętniącej życiem me-tropolii.

Kiedy tu przybyli, Schuyler przepełniała nadzieja. Ośmielona obecnością i wiarą Jacka, była pewna, że wkrótce znajdą to, czego szukali. Florencja okazała się pułapką, a Aleksandria wydawała się jedynym miejscem, gdzie według notatek dziadka, który opisał podróżę Katarzyny ze Sieny z Rzymu nad Morze Czerwone, mogła znajdować się Brama Obietnicy. Matka Schuyler powierzyła jej rodzinne dziedzictwo: miała odnaleźć

i zabezpieczyć pozostałe Bramy Piekieł, strzegące przed demo-nami ze świata podziemnego.

Zatrzymali się w hotelu Cecil, który upodobał sobie Somerset Maugham i który cieszył się popularnością wśród Brytyjczyków, gdy Egipt był jeszcze kolonią. Schuyler zachwyciła kabina windy w stylu lat trzydziestych dwudziestego wieku i wspaniałe marmurowy hol przypominający stare czasy Hollywood. Wyobraziła sobie, jak przyjeżdża tu Marlena Dietrich z tuzinem walizek, a lokaj niesie jej ozdobione piórami kapelusze.

Rozpoczęła poszukiwania w Bibliotece Aleksandryjskiej, będącej następczynią słynnej biblioteki zniszczonej ponad dwa tysiące lat temu (tak w każdym razie uważali czerwonokrwieńcy, biblioteka bowiem nadal istniała w Nowojorskim Repozytorium Historycznym). Podobnie jak kiedyś teren biblioteki obejmował również ogrody, planetarium i centrum konferencyjne. Do jej budowy walczyły przyczyniła się pewna bogata i tajemnicza miejscowa dama. Schuyler była przekonana, że w końcu odnalazła Katarzynę. Kiedy jednak złożyli wizytę wielkiej fundatorce, w eleganckim salonie z oknami wychodzącymi na wschodni port, okazało się, że nie jest Odwieczną, lecz schorowaną, umierającą kobietą leżącą w łóżku, podłączoną do serii rurek.

Po wyjściu od niej Schuyler poczuła pierwsze ukłucie niepokoju. Czyżby zawiodła dziadka, matkę i ukochanego? Odnalezienie Odźwiernej okazało się trudnym, a może nawet niemożliwym zadaniem. Jack nic nie powiedział tego dnia, nie wyraził też żalu z powodu swojej decyzji. Na lotnisku we Florencji uciekł venatorom i przystał na jej plan. Nie chciała go zawieść. Obie-

cała znaleźć sposób na ominięcie sądu krwi, żeby mogli być ra-zem, i dotrzyma obietnicy. Pomoże im Katarzyna ze Sieny, musi tylko ją odnaleźć.

Ich życie w Egipcie nabrało rutyny. Mając dość mieszkania w hotelu, wynajęli mały dom na plaży i starali się wtopić w oto-czenie. Większość sąsiadów zaakceptowała młodą, piękną parę cudzoziemców. Może czuli, że za ich przyjaznymi uśmiechami kryje się tajemnicza siła.

Rankami Schuyler przesiadywała w bibliotece, przeglądając książki o starożytnym Rzymie - bo w tej właśnie epoce Katarzyna została Odźwierną Bramy - porównując zawarte w nich informa-cje z notatkami Lawrence'a. Jack natomiast wykorzystał swoje umiejętności venatora, penetrując ewentualne miejsca pobytu strażniczki i wypytyując miejscowych. Odwieczni byli charyzma-tycznymi istotami - Lawrence Van Alen

stał się sławną postacią, gdy mieszkał w Wenecji - i Schuyler sądziła, że Katarzyna, jakiegokolwiek imię teraz nosiła, też jest niezwykłą postacią. Po południu Jack przychodził po nią do biblioteki i razem szli do kawiarni na lunch i zamawiali muluehiję, czyli ślaz żydowski, z ryżem lub ostre choszary, potrawę składającą się z makaronu, soczewicy, ryżu, smażonej cebuli z sosem czosnkowym lub pomidorowym, a potem wracali do swoich obowiązków. Żyli jak miejscowi, jedli obiad o północy i popijali aromatyczną herbatę anyżową do wczesnych godzin rannych.

Aleks, jak wszyscy nazywali miasto, jest miejscowością wy-poczynkową. Gdy nadchodziła wiosna wraz z wiatrem znad Mo-

rza Śródziemnego, autokary i statki przywoziły turystów, którzy zapełniali hotele i plaże. Schuyler doszła później do wniosku, że te wspólnie spędzone siedem miesięcy były czymś w rodzaju miesiąca miodowego, skrawkiem nieba, krótką przerwą przed nadchodzącymi ponurymi dniami. Byli młodym małżeństwem i świętowali każdy miesiąc wspólnego życia, robiąc sobie drobne prezenty: bransoletkę z muszelek dla niej, pierwsze wydanie Hemingwaya dla niego. Schuyler wierzyła, że Jackowi nic się nie stanie,

jeżeli zdoła zatrzymać go przy sobie. Jej miłość była tarczą, która miała go chronić.

Ich związek nabierał mocy i głębi, a codzienne życie toczyło się spokojnie i harmonijnie, mimo to serce Schuyler nadal trzepotało w piersi za każdym razem, gdy widziała go leżącego obok niej. Podziwiała kształtną linię pleców i pięknie sklezione łopatki i ramiona. Wspominając później ten okres, zastanawiała się, czy nie przeczuwała wówczas, jak to się skończy. Bez względu na to, co stanie się w Egipcie, czy znajdzie Katarzynę, ten wspólnie spędzony czas nie będzie trwał wiecznie, musi się skończyć, a oni tylko oszukują siebie.

Starła się zachować jak najwięcej wspomnień z tego okresu: spojrzenie Jacka, gdy ją rozbierał, wolno zsuwając ramiączka jedwabnej haleczki. Była w nim nienasycona namiętność, a ona czuła, jak płonie z pożądania. Ogień w jej ciele dorównywał intensywności jego wzroku. Podobnie patrzył na nią, gdy pierwszy raz rozmawiał z nią przed klubem w Nowym Jorku. I jeszcze to przyprawiające o zawrót głowy zauroczenie, jakiego doświadczyła, gdy razem tańczyli, pierwszy raz się całowali i pierwszy raz

spotkali potajemnie w apartamencie przy Perry Street. Sposób, w jaki ją trzymał podczas całowania osculor,

jednocześnie silny i delikatny. W dniach, które nadejdą, będzie przywoływała w myślach te chwile i oglądała jak fotografie wyjmowane z port-fela. Teraz jednak, gdy leżeli razem, a ona czuła ciepło jego ciała i pieściła je wargami, miała wrażenie, że zawsze będą razem, a to, czego się obawiała, nigdy nie nadejdzie.

Może była szalona, sądząc, że ich związek - ich miłość, radość bycia razem - przetrwa, skoro od początku towarzyszył im mroczny cień. Później będzie żałowała, że nie poświęciła Jacko-wi więcej czasu, zamiast przesiadywać w bibliotece nad książkami, że wysuwała się z jego objęć, prosząc, by zaczekał, albo rezygnowała z obiadu, by przeglądać kolejne dokumenty. Będzie żałowała, że nie spędzili jeszcze jednego wieczoru w przydrożnej kafejce, trzymając się za ręce pod stołem, jeszcze jednego poranka, czytając wspólnie gazetę. Będzie wspominała, jak siedzą razem na łóżku, jak Jack kładzie jej rękę na kolanie, a ona czuje dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Zapamięta też, jak czyta książki i zdejmuje okulary - ostatnio martwił się o swój wzrok, bo od piasku i spalin łzawiły mu oczy.

Gdyby mogli zostać w Aleksandrii na zawsze, spacerować po kwitnących ogrodach, obserwować tłumy ludzi na San Stefano! Ona, która była tak beznadziejna w kuchni, znajdowała teraz przyjemność

w przygotowywaniu prostych posiłków. Nauczyła się, jak zestawiać ze sobą potrawy, kupowała na targu gotowe porcje kobeby, czyli klopsa z mięsa mielonego i sambuseki, czyli paszteciki z mięsem wołowym lub baraniną, pastę sezamo-

wą z tahini i tamiją, sałatki, pieczony udziec jagnięcy lub cielęcy, faszerowanego gołębia i sajadeję, czyli duszoną rybę z pomidorami, cebulą i ryżem, oraz kurczaka pane. Ich życie przypominało jej trochę rok spędzony z Ołiverem. Na myśl o nim poczuła ucisk w sercu. Najdroższy, najmilszy przyjaciel. Bardzo chciałaby odzyskać jego przyjaźń. Zachował się tak szarmancko podczas ślubu, ale wrócił do Nowego Jorku i od tego czasu nie zamienili ze sobą ani słowa. Nie wiedziała, co się z nim dzieje, martwiła się o niego. Miała nadzieję, że jest bezpieczny i jakoś sobie radzi. Tęskniła również za Bliss, wierząc, że przyjaciółka i siostra zdoła jakoś wypełnić powierzone jej przez matkę zadanie.

Miesiące mijały, a Schuyler nadal niczego nie znalazła. Roz-ważyla wszystkie możliwości, wyciągnęła kolejne fałszywe wnioski i spotkała się z wieloma kobietami, lecz żadna z nich nie była Katarzyną. Nie rozmawiała z Jackiem o tym, co się stanie, jeżeli jej nie znajdą. Dni upływały szybko, niczym piasek przesypujący się w

klepsydrze, i przyszło lato. Powoli zaczęły do nich docierać wiadomości ze świata, który porzucili - o chaosie w Zgromadzeniach, o spaleniach i tajemniczych atakach. Charles zaginął, Allegra zniknęła, nie miał więc kto kierować walką. Nikt nie wiedział, co się stanie z wampirami, a Schuyler i Jack nie posunęli się wcale w poszukiwaniach Odźwiernej.

Przez wyjazd z Florencji polecili zakonnikom petruwiańskim strzec Marii Eleny, żeby młoda dziewczyna, porwana przez Croatanów, mogła spokojnie donosić ciążę. Ghedi dał im słowo, że pod ich opieką nic się jej nie stanie. Schuyler nadal nie wierzyła w to, co powiedzieli jej petruwianie, że błękitnokrwisci kazali wymordować niewinne kobiety i dzieci dla zachowania czystości błękitnej krwi. Musiał być jakiś inny powód, coś poszło nie tak w historii świata i gdy odnajdą Katarzynę, która stworzyła zakon petruwiański, dowiedzą się prawdy.

Jednakże dni upływały, a oni wciąż nie mogli znaleźć ani Odźwiernej, ani Bramy. Schuyler zaczęły ogarniać zniechęcenie i senność. Sprawę pogarszał fakt, że od dawna nie robiła użytku z kłów. Od rozstania z OHverem nie wzięła nowego familanta i jej wampirza połowa słabła, ustępując miejsca ludzkiej.



Tymczasem Jack chudł i pod oczami pojawiły mu się czarne kręgi. Wiedziała, że ma kłopoty ze snem. Przewracał się z boku na bok, mrużąc pod nosem. Zaczęła podejrzewać, iż uważa ją za tchórza, bo poprosiła, aby z nią został.

- Nieprawda. Postąpiłaś bardzo odważnie, walcząc o ukochanego - powiedział, czytając jej w myślach. - Wierzę, że odnajdziesz Katarzynę.

W końcu jednak musiała uznać, że źle odczytała notatki dziadka. Aleksandria okazała się kolejną porażką i przyniosła kolejną zwłokę. Wędrowali po mrocznych uliczkach miasta i no-woczesnych centrach handlowych, ale niczego nie znaleźli. Od wyjazdu z Nowego Jorku nie posunęli się nawet o krok.

Wieczorem, ostatniego dnia pobytu w mieście, Schuyler po-nownie przestudiowała zapiski, czytając fragment, z którego wywnioskowała, że nieuchwytna Brama znajduje się w Aleksandrii.

- Nad brzegiem złotej rzeki miasto zwycięzcy znowu powstanie u stóp Bramy Obietnicy. - Schuyler popatrzyła na Jacka. - Zaraz, chyba na coś wpadłam.

Kiedy pierwszy raz przeczytała ten fragment, przyszedł jej na myśl Aleksander Wielki, twórca starożytnego imperium, dlatego uznała, że Brama musi być w

mieście, nazwanym na jego cześć. Ale podczas siedmiu miesięcy spędzonych w Egipcie nauczyła się trochę arabskiego i rozwiązanie okazało się tak proste, że natychmiast zaczęła sobie wyrzucać niepotrzebną stratę czasu.

Kair, Al-Kahira, znaczy dosłownie „zwycięski”. Zwycięskie miasto. Miasto zwycięzcy. Poczwała, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

- Brama znajduje się w Kairze - oznajmiła Jackowi. Wyruszyli nazajutrz rano.

DWA

Piekło

Lot z Nowego Jorku do Kairu ma w sobie coś surrealistycznego, pomyślała Mimi Force, siedząc w fotelu

pierwszej klasy. W rękę trzymała szklankę z koktajlem, potrząsając nią od czasu do czasu, by usłyszeć grzechotanie kostek lodu. Od kilku godzin lecieli nad bezkresną pustynią znaczoną miękkimi liniami złocistych wydm, gdy nagle z piasku wyłoniło się miasto, równie rozległe i bezgraniczne jak poprzedzająca je nicość. Stolica Egiptu przypominała złocistobrązowe bezładne skupisko strzelistych budynków walczących o miejsce. Wyglądały jak

ułożone w stos dziecinne klocki rozdzielone błękitnym Nilem.

Widok miasta obudził w sercu Mimi nadzieję. Tym razem odzyska Kingsleya. Bardzo za nim tęskniła i miała nadzieję, że znowu zobaczy jego uśmiech i poczuje ciepło ramion. Odważny i bezinteresowny czyn Kingsleya podczas ataku srebrnokrwistych w trakcie jej ceremonii odnowienia więzi uratował Zgro-

madzenie, ale on sam trafił do siódmego kręgu świata podziemnego. Z lękiem myślała o tym, jak sobie tam radzi. Piekło nie było dla słabeuszy. Wiedziała, że Kingsley jest silny i przetrwa, ale nie chciała, by dłużej tam tkwił.

Zgromadzenie potrzebowało jego odwagi i umiejętności. Kingsley Martin należał do najdzielniejszych i najskuteczniejszych wędrowników, ale jej był bardziej potrzebny. Nie zapomniała, jak na nią popatrzył, zanim zniknął - z taką miłością i smutkiem. Nikt jej tak nie kochał, nawet Jack. Dzięki Kingsleyowi poznała przedsmak prawdziwej miłości, ale nie zdążyła jej w pełni zrozumieć. Przez tyle stuleci drwiła z niego. Dlaczego nie pojechała z nim do Paryża, gdy o to prosił?

Nieważne. Teraz przyjechała do Egiptu, by go ocalić, i czuła euforię na myśl o ich ponownym spotkaniu.

Jednak ten radosny nastrój mogły przyćmić kłopoty na lotnisku. Podczas odprawy celnej okazało się, że nie ma odpowiedniej wizy, i zanim przeszła przez kontrolę paszportową i odnalazła bagaż, kierowca wysłany przez hotel zabrał innego gościa. Musiała więc walczyć z tłumem turystów o taksówkę.

Kiedy wreszcie zdołała złapać jakąś, przez całą drogę do hotelu kłóciła się z taksówkarzem o zapłatę. Zażądał absurdalnej sumy, a Mimi nie urodziła się wczoraj. Gdy dojechali do Mena House Oberoi, cisnęła banknoty przez okno i po prostu odeszła. Gdy wyjaśniła recepcjoniście, co się stało, ten głupiec spytał, dlaczego nie skorzystała z usług hotelowego kierowcy.

Miała ochotę na niego nakrzyczeć i czymś rzucić, ale przy-pomniała sobie, że ma osiemnaście lat i jest Regentką Zgroma-

dzenia, nie może więc zachowywać się jak rozkapryszona nasto-latka.

Zmęczona podróżą poszła spać, lecz obudziła ją pokojówka, która przyszła posłać łóżko. Na szczęście przyniosła czekoladki.

Następnego dnia Mimi powitał olśniewający poranek. Widok z okna zapierał dech w piersi. W słońcu lśniły

piramidy. Z ochotą zaczęła się więc szykować do najważniejszego dnia w życiu.

Czarownica by jej nie okłamała, pomyślała, szczotkując włosy, aż zabłyśły niczym płynne złoto. „Helda tylko raz zrobiła wyjątek, dla Orfeusza. Wprowadzono wówczas Poprawkę Orfeuszową i odtąd wszystkich obowiązują te same zasady”. Ingrid Beauchamp, siwa bibliotekarka z North Hampton, która potrafiła przepowiadać przyszłość, powiedziała jej - co prawda niechętnie i po upokarzającym płaszczeniu się Mimi - że istnieje sposób uwolnienia duszy z siódmego kręgu świata podziemnego. Dlatego Mimi pozwoliła się zaciągnąć w zeszłym tygodniu do tego szkaradnego Hamptons. Czarownica mogła jej nie lubić, uznać za nieznośną, arogancką wampirzycę, ale nie okłamałaby jej. Czarownice obowiązują kodeks starszy od Kodeksu Wampirów, pomyślała Mimi, siedząc jeszcze przez chwilę w ciepłym łóżku.

Ostatnie siedem miesięcy nie były łatwe i Mimi z trudem dawała sobie radę. Śmierć nefilima nie zmniejszyła strachu i chaosu, jaki zapanował w Zgromadzeniu. Starsi zaczęli się buntować i coraz częściej mówili o rozproszeniu się i ukryciu pod ziemią. Ale największym ciosem była zdrada braci Lennox. Zamiast pil-

nować jej wyrodnego brata, jak im poleciła, zniknęli w wymiarze uroku, tłumacząc, że razem z venatorami z Szanghaju muszą od-szukać demony, które ukryły się w różnych miejscach na świecie. Beznadziejna wymówka, ale jakże szlachetna. Rozkaz to rozkaz, a za nieposłuszeństwo groziła kara więzienia. Nie miała jednak ko go za nimi wysłać. Nieliczni venatorzy, którzy zostali, musieli chronić członków Zgromadzenia. Wieści z innych miejsc nie napawały optymizmem: ataki na błękitnokrwistych nasilały się - pożar w Londynie podczas zebrania Rady, wysuszone ciała młodych wampirów w Buenos Aires. Zagrożenie ze strony srebrno-krwistych nie tylko nie zmalało, lecz wzrosło.

Księżę Ciemności tkwił, co prawda, uwięziony za Bramami Piekieł, ale cóż z tego, skoro Zgromadzeniom, ogarniętym strachem i niemocą, groziła samodestrukcja. Lucyfer uderzył w serce błękitnokrwistych, gdy aktywował subvertio i wysłał swoją ne-mezis, archanioła Michała, w Białą Ciemność, która pochłonęła również ukochanego Mimi. Jeśli chodzi o Gabrielę, najprawdopodobniej wybudziła się ze śpiączki i opuściła szpital, lecz jej obecne miejsce pobytu pozostawało nieznane.

Przepracowana i przytłoczona kłopotami Mimi uznała, że nie może sama przewodzić wampirom. Chciała

odzyskać Kingsleya Martina. W przeciwnym razie nie ma po co żyć. Tylko on, z tym swoim aroganckim uśmiechem i seksownym akcentem, może jej pomóc odbudować Zgromadzenie i stworzyć prawdziwe niebo dla wampirów, teraz gdy jej tchórzliwy bliźniak uchylił się od spełnienia obowiązku i związał z tą półkrewką. Jeżeli wierzyć pogłoskom, to uczynił tę Obrzydliwość żoną i partnerką.

Co prawda Mimi nie kochała już Jacka, ale to, co zrobił, było upokarzające. Zerwał ich więź i połączył się z tą menelką. Najpierw Gabriela zerwała więź, by poślubić swojego fami-lianta, a teraz Abbadon poszedł w jej ślady. Czy dawne zasady nie miały już znaczenia? Co z Kodeksem Wampirów? Też mają wrzucić go w czarny ogień i żyć jak czerwono krwiści, którzy bez namysłu i wyrzutów sumienia łamali przysięgi? Może powinni zrezygnować, zapomnieć o zasadach obowiązujących w cywilizowanym świecie i żyć jak barbarzyńcy?

Idąc za radą Olivera, pojechała w grudniu do Egiptu podjąć próbę wyciągnięcia Kingsleya z Piekła. Była pewna, że gdy wróci do Nowego Jorku, Jack będzie już w więzieniu. Ale stacjonujący we Włoszech venatorzy donieśli, że Jack wymknął się im we Florencji i nie mają pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Zaskoczyło to Mimi, bo w głębi duszy wierzyła, że Jack wróci, by

odpokutować swój postępek. Nie był tchórzem i sądziła, że przynajmniej uszanuje Kodeks i stawi się na sąd krwi. Najwyraźniej myliła się. Widocznie nie знаła go tak, jak sądziła. Pewnie jego nowa żona przekonała go, że może spokojnie żyć, nie ponosząc konsekwencji swoich czynów.

Jej pierwsza podróż do Egiptu okazała się kompletną klapą i Mimi wróciła do Nowego Jorku z pustymi rękami. Matka namówiła ją, aby podjęła przerwana naukę w szkole, i w maju ukończyła Duchesne. Przyjęła wianek z białych kwiatów i stała na wyłożonym terakotą w dziedzińcu w białej sukni do połowy łydki, rękawiczkach i satynowych pantoflach, jak robiła to w poprzednich wcieleniach. To była farsa, podobnie jak wszyst-

kie zorganizowane przez Komitet uroczystości.

Trzymali się kalendarza i sezonowych ceremonii, a ich świat rozpadał się na kawałki. Nigdy nie czuła się tak staro jak tego dnia.

- Macie przyszłość przed sobą - oznajmił przewodniczący wszystkim zebrany. - Jesteście utalentowani i możecie zmienić świat.

Bla, bla, bla. Stek bzdur. Bez Zgromadzenia, Kodeksu Wam-pirów i bez Kingsleya nie było żadnej przyszłości.



Przed ponownym wyjazdem do Kairu Mimi wydała instrukcje pozostałym członkom Rady. Mieli ją zawiadomić, gdyby zdarzyło się coś szczególnie głupiego lub strasznego. Nie mogli rozwiązać Zgromadzenia, bo zabrała ze sobą klucze do Domu Kronik, w którym mieściły się tajne akta wampirów i inne święte materiały. Ci tchórze mogli zejść do podziemia, ale nie zrobią tego, nie mając chociaż cienia nadziei, że wrócą w nowym wcieleniu. Nie każdy bowiem miał dość sił, by żyć jako Odwieczny.

Mimi wyszła na elegancki balkon przyrzyć się trzem piramidom w Gizie, wielkim i onieśmielającym. Chciała być jak najbliżej nich. Przy ładnej pogodzie można było je zobaczyć z wielu punktów w mieście. Wyglądały jak trójkątne cienie majaczące na horyzoncie. Stojąc na balkonie, miała wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by ich dotknąć. Już sam widok sprawiał, że czuła się bliżej Kingsleya. Niedługo go zobaczy.

Ziewnęła. Czuła się zmęczona i ociężała po podróży. Zadzwoił telefon. Wcisnęła przycisk.

- Śniadanie na tarasie? - spytał jej zausznik, Oliver Hazard-Perry. - Mają dziś tamije.

- Mmm. Lubię te smażone placuszki - odparła Mimi z uśmiechem.

Gdy weszła do jadalni, Oliver siedział przy stoliku z widokiem na ogrody i piramidy. Miał na sobie lnianą kurtkę w stylu safari, słomkową fedorę i buty pustynne. Wstał na widok Mimi i przysunął jej krzesło. Hotelową restaurację wypełniali bogaci turyści szukający przygód - Amerykanie smarowali pastą z cie-cierzycy chrupiące placki chlebowe (Ciecierzycza na śniadanie, pomyślała Mimi z rozbawieniem), Anglicy studiowali mapy, a Niemcy śmiali się głośno, oglądając zdjęcia w aparatach cy-frowych. W powietrzu unosiła się atmosfera samozadowolenia. Mimi przekonała się, że bez względu na kraj we wszystkich bu-fetach pięciogwiazdkowych hoteli można znaleźć to samo - dro-gie wędliny, delikatne pasztety, omlety na gorąco i miejscowe specjały, a wszystko po to, by zaspokoić potrzeby stroszących piórka międzynarodowych burżujów. Podróżując po świecie, za-wsze spotykała mieszkańców Upper East Side. Od Kilimandżaro po koło podbiegunowe członków tego uprzywilejowanego ple-mienia można było znaleźć na plażach Malediwów lub nurku-jących w okolicach wysp Palau. Tak, świat był płaski i najlepiej przechodziło się go w japonkach Jacka Rogersa.

- Wyglądasz, jakbyś wyszedł z powieści Agaty Christie -oznajmiła, kładąc serwetkę na kolanach i dając znak kelnerowi, by nalał jej mocnej czarnej kawy.

- Planujesz śmierć na Nilu? - zażartował.

- Jeszcze nie - burknęła.

- Bo chciałbym najpierw coś zjeść, jeżeli pozwolisz. -  
Wskazał głową bufet. - Idziemy?

Napełnili talerze i wrócili do stolika. Mimi popatrzyła sceptycznie na talerz Olivera, na którym piętrzyły się jajecznica, truskawki, gofry, grzanki, placki chlebowe, ser, croissanty i baj-gle. Chłopcy to prawdziwe odkurzacze, pomyślała, ale może to nie taki głupi pomysł. Kto wie, kiedy będą mogli zjeść kolejny posiłek. Spróbowała pójść za przykładem Olivera, ale zdołała przełknąć jedynie kilka kęsów, bo czuła motyle w żołądku. Nie szkodzi. Przed wyjazdem z Nowego Jorku odwiedziła swojego aktualnego familianta i naładowała akumulatory, jak maratończyk, który stosuje dietę bogatą w węglowodany w wieczór poprzedzający bieg.

- Szkoda, że nie zostajemy dłużej - stwierdził Oliver, odgryzając potężny kęs chrupiącego placka. -

Słyszałem, że wieczorem organizują pod piramidami coś w rodzaju laserowego pokazu świetlnego.

Recepcjonistka mówiła, że odbywa się to przy Sfinksie.

Pytanie, co powiedziałyby Sfinks, gdyby mógł mówić.

- Czy dla czerwonokrwistych nie ma już nic świętego? - spytała Mimi. - Jak daleko można się posunąć?

- Mogło być gorzej. Mógł być koncert Stinga jak poprzednio - przypomniał jej Oliver.

To była kompletna katastrofa. Kiedy pierwszy raz przyjechali do Kairu, wokół piramid panował totalny chaos. Było potwornie gorąco i tłoczno, a na dodatek Sting wyśpiewywał te swoje mdłe piosenki podstarzałego jogina. Zadrżała na to wspomnienie. Gwiazdy rocka nie powinny się starzeć, powinny umierać

przed trzydziestką lub ukryć się w châteaux na wyspie Mustique na Morzu Karaibskim i pisać historię swoich uzależnień.

- Możesz zostać - powiedziała prędko Mimi. - Mogę pójść sama, jak poprzednio.

Znajdę jakiś sposób, by dokonać wymiany, pomyślała. On nie musi ze mną iść. Skromniś i sztywniacha, ale kochany i tro-skliwy. Poza tym to on wpadł na pomysł, żeby odwiedzić tę Białą Czarownicę. Dzięki niemu wiedziała teraz, co zrobić, żeby wy-ciągnąć Kingsleya z podziemia.

To twoja ostatnia szansa, pomyślała.

Oliver zebrał grzanką resztkę jajecznic. Dokonał heroicznego wysiłku, bo jego talerz był prawie pusty.

- Powiedziałaś, że potrzebujesz kogoś, kto zszedłby tam z tobą. Poza tym mam okazję zwiedzić Piekło. Są tam jakieś pamiątki?

Mimi odpowiedziała prychnięciem. Gdyby tylko wiedział! To on był pamiątką. Ukryła przed nim to, czego dowiedziała się od czarownicy. „Poprawka Orfeuszowa wymaga złożenia ofiary w zamian za uwolnienie duszy. Dusza za duszę”. Oliver jej to ułatwił. Szkoda, że musi go stracić, bo zaczęła go lubić, zwłaszcza że nie tak dawno praktycznie ocalił jej życie. No dobra, wykreślić „praktycznie”. Ocalił jej życie i zasłużył się dla Zgromadzenia, odczytując wskazówki, które w rezultacie doprowadziły ich do miejsca, gdzie ukrył się nefilim. Był dobrym człowiekiem i dobrym przyjacielem. Ale musiała to zrobić, nie mogła ulegać sympatii, jaką do niego czuła, jeśli miała wyciągnąć Kingsleya. Klamka zapadła. Sam zaproponował, że z nią pojedzie. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Poza tym zausznicy są po to, by służyć wampirom.

TRZY

Beatrycze

Allegra Van Alen wiele razy odwiedzała San Francisco w innych wcieleniach, ale w tym cyklu unikała miasta, jakby miała na nie alergię. Kiedy tylko interesy Rady wymagały podróży na Zachód, wynajdywała jakąś wymówkę, szukała zastępstwa albo załatwiała sprawy za pomocą telekonferencji.

Teraz jednak miała dwadzieścia jeden lat, jesienią 1989 roku całkowicie odzyskała wspomnienia i osiągnęła pełnię mocy, uznała więc, że problem zniknął. Wiosną ukończyła college i stała dumna na podium razem bratem, ściskając w ręku szpilkę - znak alumna (dyplomy czekały do odebrania w sekretariacie).

Zaskakujące, że tak wiele osiągnęła, chociaż wcześniej zaliczyła wiele szkół średnich o różnym poziomie nauczania. W przed-ostatniej klasie porzuciła Akademię Endicott, ale odmówiła powrotu do Duchesne. Biegała bez celu po korytarzach północ-no-wschodniej elitarniej szkoły prywatnej i czasami ni z tego, ni z owego zmieniała semestr w połowie roku.

Cordelia była pewna, że nie przyjmą jej na prestiżowy uniwersytet, który właśnie rozwinął czerwony dywan dla Charlesa. Najwyraźniej jednak zapomniała, jaką siłę ma znane nazwisko lub imponująca historia rodziny (w tym hojne dotacje dla uczelni) i tak oto córka otrzymała list informujący o przyjęciu ją w poczet studentów.

College okazał się świetnym miejscem do imprezowania i uczestniczenia w najróżniejszych wydarzeniach, toteż Allegra rzuciła się w wir życia studenckiego, wykazując energię i zaangażowanie, które straciła, nieustannie zmieniając szkoły. Wyglądało na to, że doszła do siebie po strasznej pomyłce, jaką popełniła w Endicott, zakochując się w swoim familiancie i narażając na ryzyko odwieczną więź. Zaakceptowała swój los i pozycję w społeczności błękitnokrwistych, czym ucieszyła Charlesa.

Wkrótce zgodnie z odwieczną tradycją odnowi więź z bratem bliźniakiem i obejmą wspólnie przywództwo nad społecznością błękitnokrwistych, służąc im przykładem, jak czynili to od początku dziejów. W poprzednich wcieleniach nosili różne imiona - Junia i Kasjusz, Rose i Myles, ale zawsze byli Michałem i Gabriellą, opiekunami Raju, Bez Skazy, Archaniołami Światła.

Znalazła się w San Francisco z powodu Charlesa. Ostatnio rzadko się rozstawali i gdy poprosił ją, żeby z nim pojechała, zgodziła się. Wyszedł wcześniej rano, gdyż zamierzał spotkać się z członkami miejscowej Rady Starszych, by porozmawiać o nagłych wypadkach zachorowań wśród młodych wampirów. Allegra martwiła się tym, ale Charles uspokoił ją, że to

nic takiego, zwykle kłopoty towarzyszące Przemianie. Zawsze zdarzały się takie odstępstwa od normy - zbyt wczesne odzyskanie wspo-

nień, wywołujące pomieszanie zmysłów lub katatonię, czy też kłopoty z panowaniem nad głodem krwi. Starsi niepotrzebnie zrobili wokół tego szum.

Zatrzymali się z Charlesem w Nob Hill, jednym z wielu luk-susowych apartamentów i rezydencji rozrzuconych po świecie, którymi mogli dysponować jako przywódcy Zgromadzenia. Ma-jąc czas dla siebie, Allegra postanowiła pospacerować po pięknej okolicy, stromych ulicach, zaglądać do sklepów i podziwiać widoki.

Przeszła przez Union Square do uliczki wyglądającej jak mała szkatułka na klejnoty o nazwie Maiden Lane, uroczego zaułka, przy którym mieściły się butiki i galerie sztuki. Weszła do pierwszej z brzegu.

Powitała ją szykowna, ciemnowłosa dziewczyna. Miała okulary w czerwonej oprawce i prostą, czarną sukienkę z ciekawym dekoltem.

- Dzień dobry. Właśnie otworzyliśmy wystawę. Proszę się rozejrzeć.

- Dziękuję - odpowiedziała Allegra, sądząc, że jedynie rzuci okiem na obrazy. To Charles był kolekcjonerem. Zaczął jako chłopiec i przez lata zgromadził mnóstwo



płócien. Interesowały go głównie dzieła modnych artystów. Ich dom w Nowym Jorku wypełniały prace Schnabla i Basquiata, przedstawiające potłuczone naczynia stołowe i uliczne graffiti. Rozumiała, że mają jakąś wartość, ale nie były to dzieła, które chciałaby oglądać przez resztę życia.

Galeria Vespertine, do której weszła, specjalizowała się w nowej fali malarstwa realistycznego i Allegra zdążyła obejrzeć kilka

obrazów, aż jeden z nich przyciągnął jej uwagę. Było to małe płótno, dwanaście i pół na dwanaście i pół centymetra, przedstawiające nastolatkę siedzącą na szpitalnym łóżku z głową owiniętą bandażem. Allegra przyjrzała się uważniej, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Było tam wszystko - talerz z ciasteczkami i wiklinowe meble. Dziewczynka uśmiechała się nieśmiało, jakby nie bardzo wiedziała, co robi w szpitalu. Na obrazie znajdowały się również symbole religijne - złota aureola nad głową dziewczynki, a na jasnych ścianach pokoju widniały zarysy świętych i aniołów, tak jak na ilustracjach w średniowiecznych modlitewnikach. Płótno nosiło tytuł: „Zawsze coś mi ciebie przypomina”.

Allegra gwałtownie wciągnęła powietrze i spłonęła rumieńcem. Miała wrażenie, jakby ktoś zrobił jej

kosmiczny kawał, i omal się nie potknęła, odwracając się od obrazu. To niemożliwe... A jednak... Ta piosenka była ich sekretnym żartem.

- Zna pani ten obraz? - spytała piękna pracownica galerii, stając nagle przy Allegrze. Na jej twarzy malował się przymilny uśmiech, jakby instynktownie wyczuwała, kiedy oglądanie zmienia się w kupowanie.

- Nie jestem pewna - odparła Allegra, czując, jak jej serce wali pod cienkim kaszmirowym sweterkiem. - Miała rozpaloną twarz i suchość w ustach. - Jak się nazywa malarz?

- Stephen Chase. To miejscowy artysta. W zeszłym roku po wernisażu swojej wystawy miał entuzjastyczną recenzję w „Art. Forum”. Niezwykły obraz. Wszyscy o nim mówią. To prawdziwa sensacja.

Allegra kiwnęła głową, niezdolna w tej chwili do niczego więcej. Stephen Chase. Tego nazwiska nigdy nie zapomni, tylko że gdy go знаła, używał drugiego imienia - Bendix. To był obraz Bena.

- Ile kosztuje? - spytała, zanim zdążyła pomyśleć. Ale wiedziała, że musi go kupić.

Pracownica galerii wymieniła sporą sumę i wspomniała o do-datkowych kosztach za oprawę i wysłanie.

- Kupuję - powiedziała Allegra, szukając w portfelu karty kredytowej. - I chciałabym go zabrać ze sobą.

- Gratuluję wyboru. To fenomenalny obraz. Niestety, nie mogę go pani dać w tej chwili. Wystawa potrwa do końca miesiąca. Dopiero potem wyślemy zakupione prace. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu?

Allegra pokręciła głową, chociaż była rozczarowana. Chciała zabrać obraz już teraz, schować do walizki i przewieźć niepo-strzeżenie, a potem kontemplować w samotności.

Wróciły wspomnienia z tamtego fatalnego roku. Ben jednak o niej nip zapomniiał. Uwiecznił na obrazie dzień, w którym się poznali. Dostała w głowę piłką do hokeja na trawie i wysłano ją do kliniki. Ben też tam był i od tamtego dnia razem oglądali telewizję. Miał nogę w gipsie i poprosił członków drużyny hokeja, żeby się na nim podpisali. Wszystko to nagle do niej wróciło, jakby zdarzyło się wczoraj.

- Jak długo zostanie pani w mieście? - spytała pracownica galerii, biorąc od Allegry kartę kredytową i sprawdzając dane.

- Jutro wyjeżdżamy.

- Szkoda. W sobotę wieczorem urządzamy przyjęcie na jego cześć, a on bardzo lubi spotkania z klientami.

Allegra zaczęła intensywnie myśleć. Mogłaby poprosić Charlesa, żeby zostali jeszcze kilka dni. Wspominał coś o wystawie Olmeka w de Young, którą mieli otworzyć. Pewnie zechce, aby mu towarzyszyła, ale może zdoła wymyślić jakąś wymówkę i wymknąć się na to przyjęcie.

- Mogę zmienić plany - oznajmiła dziewczynie. - Z chęcią podziękuję mu za ten obraz.

Pracownica galerii zapisała jej adres.

- Wspaniale. Będzie zachwycony.

Allegra nie była pewna, czy „zachwycony” to właściwe słowo. Przypomniała sobie, kiedy ostatni raz widziała Bena: naznaczyła go jako swojego familianta i pierwszy raz piła jego krew. Potem zniknęła z powierzchni ziemi. Nie sądziła, że ponownie się spotkają, a raczej miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy, nie po tej straszliwej wizji przyszłości. Przyszłości, od której uciekała przez ostatnie pięć lat.

Każdy nerw jej nieśmiertelnego jestestwa i cała wiedza, jaką nosiła w sercu, mówiły jej, żeby wsiadła w najbliższy samolot i wróciła do domu. Ponowne spotkanie z Benem było niebezpieczne. Już raz się w

nim zakochała, a teraz jej serce znajdowało się tam, gdzie trzeba. Kochała Charlesa i mieli odnowić więź, jak robili to od wieków, odkąd opuścili królestwo niebieskie, by nieść nadzieję wygnanym. Serce jednak mówiło jej, by została.

Nie miała wątpliwości, że spotka się z Benem w sobotę wie-czorem. Jeżeli istniało coś takiego jak przeznaczenie, to czuła,

że odciąga ją od życia, jakie planowała, od Zgromadzenia i od anioła, którego kochała przez całą wieczność. Sądziła, że będzie ją dręczył niepokój i wyrzuty sumienia, tymczasem po wyjściu z galerii poczuła coś dziwnego, czego od bardzo dawna nie doświadczała - szczęście.

## CZTERY

Noze na targu

Parking Zambezi nie przypominał żadnego z dotychczas widzianych przez Schuyler. Zajmował olbrzymi

teren, na którym mieściły się restauracje i parki, gdzie rodziny mogły przyjeżdżać na pikniki, rozkładać się na trawie i oddychać świeżym powietrzem. Można też było wziąć udział w prawdziwym afrykańskim safari. Miły personel wyjaśnił, że w ogrodach zoologicznych jest teraz mnóstwo takich miejsc, przeznaczonych dla

turystów podróżujących między największymi egipskimi miastami. Ten park miał imitować afrykańską sawannę z zebrawami i lwami.

- W piątki po południu organizują polowanie na lwa - powiedział Jack, czytając informator. - Umieszczają świnie w legowisku lwa, a lwica...

- Przestań - przerwała mu Schuyler, usiłując zachować powagę. - To potworne.

Uśmiechnęli się i chwycili się za ręce, uważając, by nie ściągać na siebie uwagi. Zdolność Schuyler do zmiany wyglądu oraz

garderoba złożona z kilku warstw pozwalały jej wtopić się w tłum, co ułatwiała jeszcze czarna jedwabna chusta na głowie. W czasie pobytu w Egipcie zauważyła, że nie każda dziewczyna zakrywa głowę, chociaż były też kobiety, które nosiły burki. Większość jednak wolała eleganckie chustki w jasnych kolorach wkładane do dżinsów i T-shirtów z długimi rękawami. Bogate kobiety, obwieszane biżuterią, z modnymi fryzurami, nie nosiły chust. Schuyler nie odpowiadało jedynie to, że nie mogła wychodzić z domu sama. Nie chodziło o bezpieczeństwo, po prostu młode kobiety mogły spacerować po ulicach tylko w grupach lub w towarzystwie krewnych. Starali się z Jackiem nie

zwracać na siebie uwagi, przestrzegali więc miejscowych zwyczajów.

Skończyli jeść późny lunch, wrócili do samochodu i włączyli się do ruchu.

Kair wydał się Schuyler równie przytłaczający, jak wtedy, gdy przyjechali tu po raz pierwszy. Miasto było brudne, pełne ludzi i nieustannie trąbiących samochodów. Z pewnym trudem Jack oddał samochód do wypożyczalni, po czym taksówką pojechali do hotelu. Starali się żyć oszczędnie, pojechali więc do centrum, gdzie podobno ceny były bardziej przystępne niż w ekskluzywnych hotelach nad Nilem. Tanie hotele mieściły się w starych, zniszczonych kamienicach przy ruchliwych ulicach. Odwiedzili kilka brudnych hosteli, które Jack odrzucił, chociaż Schuyler zapewniała, że jej to nie przeszkadza. W końcu trafili do dość czystego hoteliku przy stosunkowo cichej ulicy.

Jack wcisnął dzwonek i po długim oczekiwaniu pojawił się zaspany gospodarz.

- Czym mogę służyć? - spytał burkliwie.

- Chcielibyśmy wynająć pokój - odpowiedział Jack. - Czy ma pan coś wolnego?

- Na jak długo?

- Na tydzień, może dłużej.

- Czy to pańska żona? - spytał mężczyzna, mierząc Schuyler podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak - odpowiedział Jack. Pokazał obrączkę, a Schuyler zrobiła skromną minę. - Czy ma pan jakieś zastrzeżenia? - spytał grzecznym tonem, ale Schuyler wyczuwała w nim rozdrażnienie. Mieli za sobą długą podróż i zaczynał tracić cierpliwość.

Mężczyzna długo liczył przekazaną przez nich gotówkę, wreszcie jednak zaprowadził ich na piętro. Pokój okazał się skromny, ale czysty, więc oboje natychmiast poszli spać, żeby jutro wcześnie zacząć poszukiwania.

Następnego dnia Jack wyszedł porozmawiać z członkami miejscowego Zgromadzenia.

- Zobaczę, może znajdę kogoś, kto pomoże nam znaleźć Katarzynę - powiedział. - A ty odpocznij. Wyglądasz na zmęczoną.

Pocałował ją i wyszedł. Z jasnymi włosami ukrytymi pod czapką i zielonymi oczami osłoniętymi okularami przeciwsłonecznymi, w lekkich spodniach khaki i białym bawełnianym podkoszulku wyglądał na pewnego siebie i zdecydowanego. Ale Schuyler bała się o niego. Wiedziała, że nic mu się nie stanie - to inni powinni obawiać się Abbadona - lecz nic nie mogła na



to poradzić, po prostu bała się o niego. Wiedziała, że postą-

pila słusznie, przekonując go do zmiany planów, obawiała się jednak, że w końcu złapią go venatorzy i nigdy więcej go nie zobaczy.

Podczas nieobecności Jacka przejrzała zapiski dziadka. Tęskniła za nim, czytając jego pamiętniki. Wyobraziła sobie, jak ją przekonuje, by szukała ukrytego za słowami sensu. „Zwykle to, czego szukamy, mamy tuż pod nosem” - brzmiała jedna z jego ulubionych maksym.

Jack wrócił w południe. Zdjął czapkę i przetarł oczy.

- W siedzibie Rady nikogo nie zastałem, ale odnalazłem za-usznika, który kiedyś służył mojemu staremu przyjacielowi. Po-wiedział, że przez ostatni miesiąc Zgromadzenie było nieustannie atakowane, dlatego członkowie szykują się do opuszczenia miasta.

Wszędzie jest podobnie. - Wyglądał na przybitego.

Trudno było pogodzić się z tym, że kolejne

Zgromadzenie chce zejść do podziemia. - Tak czy owak zapytałem go, czy słyszał może o Katarzynie ze Sieny.

To była ryzykowna próba, ale legendy mają długi żywot w starszych częściach świata.

- Więc ją znalazłeś? - spytała Schuyler z nadzieją w głosie.
- Być może. Podał mi jej imię: Zani, święta kobieta, która ma wielu wyznawców. Za godzinę mamy spotkać się na bazarze z kimś, kto zaprowadzi nas do jej świątyni. - Spojrzał jej w oczy. - Jest coś jeszcze.
- Co? - spytała Schuyler, czując, jak włącza się jej wewnętrzny alarm na widok ponurej miny Jacka.
- Moja siostra tu jest. Czuję ją... Szuka czegoś.
- W takim razie wyjeżdżamy - oznajmiła Schuyler.
- Nie - odpowiedział. - Mam wrażenie, że ona nie przyjechała tu z mojego powodu.
- Nie możemy ryzykować.
- Możemy - odparł łagodnie. - Nie boję się Mimi ani jej gniewu. Spotkamy się z tą świętą kobietą i znajdziesz swoją Odźwierną.

Wyruszyli, klucząc ulicami Kairu, które nie miały chodników, świateł, znaków stopu ani pasów do skrętu i oprócz samochodów, autobusów i rozklekotanych mikrobusów zapchane były wózkami zaprzężonymi w osły i konie, rowerami i skuterami zmierzającymi w przeciwnych kierunkach. Podobnie jak na autostradzie wszyscy się przepychali. Schuyler zauważyła stojący na

środku drogi samochód. Jego właściciel zmieniał koło, ani myśląc o zjechaniu na bok, i wszyscy musieli go omijać. Wykorzystując wampirzą prędkość, przemknęli między pojazdami i przybyli na targ o wyznaczonej godzinie.

Bazar Chan el-Chalili tworzył labirynt alejek i w średniowieczu pełnił rolę ośrodka handlu, teraz jednak był nastawiony głównie na turystów. Znajdowały się tu sklepiki z pamiątkami i egipskimi ozdobami: skarabeuszami, kryształowymi piramidami, serwisami do herbaty z wizerunkiem królowej Nefertiti i breloczkami do kluczy z imieniem właściciela wygrawerowanym pismem hieroglificznym. Niegdyś bazar dzielił się na sektory, teraz jednak sprzedawcy dywanów sąsiedowali ze sprzedawcami komputerów. Jedynie złotnicy, miedziorytnicy i sprzedawcy handlujący przyprawami pozostali na swoich historycznych miejscach.

Schuyler szła szybko, by dotrzymać kroku Jackowi, usiłując nie zwracać uwagi na handlarzy, którzy podsuwali jej pod nos towary i próbowali przekonać ją, by weszła do sklepu. Nie mogła stracić Jacka z oczu. Był przekonany, że Mimi przyjechała tu nie z jego powodu, ale ona nie miała tej pewności. Nie ufała

Mimi. Starła się trzymać blisko Jacka, ale tłum był gęsty i agresywni handlarze często ich rozdzielali.

- Pani, bardzo ładny pierścionek. Prawdziwy jadeit. Zrobiony w Egipcie.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Schuyler, trzymając Jacka za rękę i czując, jak puszcza jej dłoń, gdy kolejny sprzedawca wcisnął się między nich.

- Pani, pani... chodź zobaczyć... alabastrowa waza z grobowca. Bardzo cenna - kusił następny, pokazując tanią podróbkę wyprodukowaną prawdopodobnie w Chinach.

Gdzie Jack? Schuyler rozejrzała się na boki, starając się za-chować spokój.

- Anch. Chroni przed złym wzrokiem... Proszę zobaczyć. Proszę do środka. Dużo rzeczy. Bardzo ładnych.

- Nie, nie, dziękuję - odparła, przepychając się przez grupę rosyjskich turystów, którzy przystanęli, by popatrzeć na kopię złotego sarkofagu Tutenchamona.

Jack! - nadała do niego. Jestem tutaj. Nie bój się.

Jack zmaterializował się przy niej i Schuyler odetchnęła.

- Pani, do mnie! Mam piękny szafir. Pasuje do pani oczu.

- Nie, dziękuję - odepchnęła mężczyznę. - Ależ oni nachalni.

- Zawsze są trochę zdesperowani po sezonie. O, jest ten sklep - oznajmił Jack, zatrzymując się przed małą witryną z de-wocjonaliami od krucyfiksów po menory.

- Kim jest ten przewodnik? - spytała Schuyler.

- Roberston powiedział, że to jeden z uczniów Zani, taki wysokiej rangi kapłan czy ktoś w tym rodzaju. - Dotknął bejsbolów-ki. - Mam wyglądać jak Jankes - dodał z krzywym uśmiechem.

- Pani kupić! Prawdziwy autentyk - zapewnił wyjątkowo na-tarczywy sprzedawca, machając Schuyler przed nosem perskim dywanem.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała, usiłując go odepchnąć. Jacka zaczepił inny handlarz, usiłując sprzedać fajkę wodną.

Uprzejmie mu odmówił, ale Schuyler powoli traciła cierpliwość. Usiłując ominąć nachalnego sprzedawcę dywanów, spostrzegła, że Jack znowu zniknął.

- Jack! - zawołała, czując niepokój. Na pewno nic mu się nie stało, ale przecież Mimi jest w Kairze. Żołądek ścisnął jej się ze strachu. - Jack!

Jack! - nadała do niego. - Gdzie jesteś? Odwracając się, zaczepiła zegarkiem o dywan i wyrwała z niego nitkę.

- Ty kupić! Ty zepsuć! - wrzasnął sprzedawca. - Ty kupić!

-Jack! - zawołała, odpychając natręta. Czyżby znalazł prze-wodnika? Dokąd on poszedł? Dlaczego nie odpowiada na jej telepatyczne wezwanie?

- Pani, kupić to! Ty popsuć, ty kupić. Sto dolarów! - wrzasnął jej do ucha sprzedawca, chwytając ją za ramię.

Odepchnęła handlarza, który upadł na ustawione na ziemi lampy.

- O Boże, przepraszam - powiedziała, czym tylko go rozzłościła. Teraz już dwóch sprzedawców domagało się zapłaty za zniszczone towary.

Rozejrzała się w panice za Jackiem, mając wrażenie, że ktoś tu ją wrabia, i gdy go w końcu dostrzegła, zauważyła z przerażeniem, że zachodzi go od tyłu zakapturzony napastnik. W słońcu błysnęło srebrne ostrze. Na targu panował taki ruch, że nikt tego nie

zauważył. Turyści i sprzedawcy nie zdawali sobie sprawy z czającego się wokół nich niebezpieczeństwa.

Była zbyt sparaliżowana strachem, żeby krzyknąć, lecz w ostatniej chwili Jack odwrócił się i chwycił napastnika za rękę. Jednocześnie spojrzał w jej stronę i zwolnił uścisk.

Co on robi? Schuyler już miała krzyknąć, gdy nagle zarzucono jej czarny kaptur na głowę. Zaczęła kopać i wrzeszczeć. Wrzawa, jaką wywołali rozwścieczeni sprzedawcy dywanów i lamp, tłumiła jej krzyki. Została wciągnięta do cichej bocznej alejki.

Napastnik trzymał ją za szyję, ale nakazała umysłowi spokój i sięgnęła po miecz. Po chwili ścisnęła złotą rękojeść.

- Twój przyjaciel już oddał broń - usłyszała zimny kobiecy głos. - Proponuję, żebyś zrobiła to samo.

Schuyler rzuciła na ziemię miecz matki.

PIĘĆ

Piramidy w Gizie

Przed hotelem czekała na nich lśniąca czarna limuzyna i ubrany w liberię szofer, który skłonił się i otworzył im drzwiczki, gdy podeszli.

- To rozumiem - powiedziała Mimi, oddychając z ulgą, że przynajmniej nie będzie musiała targować się o zapłatę.

- Tak myślałem - odparł Oliver z uśmiechem. - Panie przodem.

Chociaż piramidy znajdowały się niedaleko hotelu, samochód z trudem przedzierał się przez zatłoczone ulice. Powszechnie uważa się, że piramidy stoją w samym środku rozległej pustyni, niczym samotne pylony na tle błękitnego nieba, lecz w rzeczywistości znajdują się na przedmieściach Gizy. Panująca wokół grobowców atmosfera przypomina wesołe miasteczko - tłumy turystów z całego świata, szkolne wycieczki, stoiska z pamiątkami, plujące wielbłądy i przewodnicy wymachujący chorągiewkami. Gdyby Mimi ćwiczyła medytację, wiedziałaby, że tu zawsze tak

było. Piramidy zbudowali błękitnokrwisci faraonowie, jako oculi w wymiarze uroku, ka pełniące rolę latarni dla dusz, żeby mogły znaleźć drogę do domu. Ale gdy budowle stanęły, ludzie zaczęli lgnąć do nich niczym ćmy do światła, podziwiając ich wielkość i piękno. Wampiry uważały to za dziwactwo, lecz piramidy zawsze były atrakcją turystyczną.

Kierowca podjechał do wejścia najbliżej, jak się dało, i Mimi z Oliverem wysiedli z limuzyny. Mimi popatrzyła



na wspaniałe budowle, osłaniając oczy przed blaskiem słońca. Były ogromne, każdy z kamiennych bloków przewyższał wielkością człowieka. Kiedyś pokrywały je polerowane płyty z białego wapienia, które potem zerwano i wykorzystano do innych konstrukcji. Ich resztki pozostały jedynie na czubku piramidy Chefrena.

Naprzeciwko grobowców mieściła się Giza Hut, jak wszyscy nazywali Pizzę Hut. Mimi i Oliver jedli tu lunch podczas poprzedniego pobytu w Kairze. Oliver zrobił wówczas zdjęcie logo restauracji umieszczone w oknie na tle piramid. Nie trzeba być błękitnokrwistym, aby docenić smakowitą ironię czy gorącą pizzę.

Mieli szczęście, że w ogóle odnaleźli to wejście do świata podziemnego. Oliver przestudiował dokumenty w Repozytorium i doszedł do wniosku, że Brama Obietnicy znajduje się w Aleksandrii, kiedy jednak wylądowali w Kairze, nagle zmienił zdanie, gdy jeden z pasażerów nazwał je „wielkim mango”, prowokując rozmowę na temat pochodzenia nazwy miasta. Nie potrafił ukryć ekscytacji, gdy dowiedział się, że oznacza ona „zwycięskie miasto”. „Miasto zwycięzcy nad brzegiem złotej rzeki” - zacytował Oliver fragment notatek. Mimi nie mogła zrozumieć tego

całego zamieszania wokół Bram Piekieł. Nie pojechali do Alek-sandrii, bo Oliver stwierdził, że Brama znajduje się w Kairze.

Gdy szli przez zatłoczony bazar, Mimi dziwiła się, że tak łatwo jest wejść do Piekła. Czy to nie była jedna z tych słynnych bram, której szukała ukochana brata, wypełniając tak zwany testament Van Alenów? Czy to możliwe, żeby Jack tu był? Wyczuwała coś w powietrzu, jakiś jego ślad, ale nie miała pewności. Od dawna nie porozumiewali się telepatycznie, dawno nie czytała jego myśli. Poczowała znajomy przyływ nienawiści podchodzący do gardła. Za każdym razem gdy myślała o bracie bliźniaku, w ustach robiło się jej sucho, jakby wypełniały je popiół i piasek. Pewnego dnia go zabije, przyrzekła sobie. Musi stawić się na sąd krwi, na pojedynek na śmierć i życie. Teraz jednak odepchnęła te pełne złości myśli. Zejście do świata podziemnego wymagało pełnej koncentracji.

Co prawda nie musieli stosować Kroku Śmierci - którą to umiejętność posiadli jedynie najwyższej klasy venatorzy, gdy musieli ukryć ślady duszy, zastępując je śladami śmierci - ale i tak podróż nie była łatwa, zwłaszcza dla jej ludzkiego towarzysza. Mimi postanowiła, że wejdą w wymiar uroku, nie naruszając

fizycznych powłok; nie oddziela umysłu od ciała. Posługujący się Krokiem Śmierci potrafili znaleźć się w każdym miejscu świata podziemnego. Ona i Oliver muszą przemieszczać się wolniej i będą narażeni na niebezpieczeństwa. Nie mieli jednak innego wyjścia, bo Oliver był człowiekiem i nie umiał oddzielić ducha od ciała. Poza tym nie zależało jej na tym, by opanować sztukę bezśladowego przemieszczania się. To było zbyt ryzykowne.

Najpierw jednak musieli dotrzeć do Bramy. Najlepiej było to zrobić konno lub na wielbłądach. Oliver znowu dowiódł swojej przydatności, bo załatwił przewodników i dwa piękne czarne araby. Mimi zdobyła wiele nagród w zawodach hippicznych, szybko więc dosiadła konia i ruszyła kłusem, natomiast Oliver wyglądał dziwacznie w siodle i miał kłopoty z opanowaniem klaczy.

- Powinienem posłuchać matki i brać lekcje jazdy konnej zamiast tańca - stwierdził, krzywiąc się.

Mimi cmoknęła.

- Mocniej ściągnij wodze. Pokaż jej, kto tu jest panem.

Minęli wejścia dla turystów przy piramidzie Cheopsa, naj-większej z całej trójki, i kolejne przy Sfinksie, który w rzeczywistości wydawał się mniejszy niż na fotografiach.

Wnętrza piramid były puste i przyprawiały o klaustrofobię. Ścieżka do świata podziemnego znajdowała się w najmniejszej piramidzie - Mykerinosa. Zsiedli z koni, przywiązali je do drzewa, upewnili się, że przewodnicy mają co jeść i pić, po czym podeszli do wejścia.

- Tu nie można wchodzić. Prywatne wycieczki tam - powiedział strażnik, zagradzając im wejście i wskazując na inną piramidę.

- My tylko na chwilę - odpowiedziała Mimi, stosując technikę przymusu i każąc mu spojrzeć w drugą stronę. Nie miała z tym kłopotów, czerwonokrwisci byli tacy podatni. Gdy odwrócił się, otworzyła drzwi za pomocą zaklęcia i weszła z Oliverem do środka, a potem schodami na dół.

Bramy Piekieł zostały wykute na Ścieżkach Umarłych przez Zakon Siedmiorga za panowania cesarza Kaliguli, żeby uchronić ziemskie królestwo przed demonami świata podziemnego. Bramy więziły srebrnokrwistych, ale każdy, kto znał drogę, mógł wejść do Piekła z drugiej strony. Czerwonokrwisci musieli czekać do końca życia, żeby przekroczyć bramę Królestwa Śmierci.

Mimi przeciągnęła Olivera do świata alternatywnego, ukrytego za światem fizycznym.

- Jak się czujesz? - spytała, gdy zgiął się wpół, chwytając się za brzuch.

- Mdli mnie, ale żyję - odpowiedział, wycierając usta chusteczką.

Przynajmniej na razie, pomyślała Mimi. W oddali stała mała metalowa bramka, przypominająca furtkę ogrodową z zapadką.

- I to jest ta Brama Obietnicy? - spytał Oliver z powątpiewaniem. - Wygląda, jakby dziecko mogło przez nią przejść.

- No cóż. - Mimi wzruszyła ramionami, podnosząc rygiel. - Każdy widzi ją inaczej. Z drugiej strony przypomina fortecę. Jesteś gotowy? Może cię trochę zemdlić.

- Jeszcze bardziej? Trzeba było mi powiedzieć, żebym zabrał torbę na rzygowiny. - Oliver wytarł czoło i wziął kilka głębokich oddechów.

Mimi przewróciła oczyma. Otworzyła furtkę i przeszli na drugą stronę. Jeden krok odpowiadał chyba pięciu kilometrom. Zu-pełnie jakby mieli na nogach buty siedmiomilowe. Po kilku krokach znaleźli się w Czyścucu, pierwszym kręgu Piekła. Przestrzeń

dzieląca oba światy wyglądała jak rozległa pustynia, podobna do tej, którą zostawili za sobą, z drogą biegnącą przez piasek, ale bez piramid.

- Łatwiej jest, jeśli podczas przechodzenia krajobraz nie różni się od poprzedniego - wyjaśniła Mimi.

Oliver pomyślał, że przypomina mu to trochę pustynię Mohave w Dolinie Śmierci. W oddali dostrzegł palmy i rośliny oderwane od podłoża, niesione przez wiatr. Panował nieznośny upał i Oliver czuł, jak się poci w kurtce safari.

- Chodźmy - powiedziała Mimi, potrząsając kluczami do czerwonego kabrioletu mustanga, który zmaterializował się przy drodze. - Wskakuj, ja poprowadzę. Znam drogę.

- Jasne. - Oliver zakasłał, ale zrobił, co kazała. Azrael, Anioł Śmierci, wrócił do domu.

## SZEŚĆ

Portret artysty jako młodego dziedzica

Allegra przyszła na przyjęcie spóźniona. Zbyt dużo czasu spędziła przed lustrem, zastanawiając się, co włożyć. Nic, co przywiozła z Nowego Jorku, nie wydawało się odpowiednie. Nienawidziła swoich rzeczy. Charles zgodnie z planem poszedł na otwarcie

wystawy. Allegra przekonała go, że nie ma ochoty na puste pogaduszki i woli zostać i poczytać. Na szczęście był tak podekscytowany perspektywą zobaczenia nadzwyczajnej kolekcji starożytnej sztuki południowoamerykańskiej, że nie naciskał specjalnie. Lubił bywać w towarzystwie, pławić się w chwale osoby wielbionej przez Zgromadzenie. Wiedziała, że nie będzie za nią tęsknił.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, pobiegła do garderoby. Ostatni raz widziała się z Benem, gdy miała szesnaście lat, pro-mieniała młodością, życiem i energią. Pięć lat to nie tak wiele, ale czuła się starsza, bardziej świadoma swojej urody i wrażenia, jakie robiła na płci przeciwnej. Nosila teraz krótkie, prawie przy skórze obcięte włosy. Charles nienawidził tej fryzury, uwielbiał długie, złociste pukle, lubił zanurzać w nich palce i był rozczarowany, gdy wróciła do domu bez loków.

Ale ona nareszcie czuła się wolna: koniec z ciężarem na karku, gorącym kompresem latem, koniec z piskiem opon samocho-dowych, gdy przebiegała przez jezdnię, koniec z odwracającymi się głowami, gdy szła chodnikiem, z włosami rozwianymi niczym żagiel. Cieszyła się, że nie zwraca już na siebie takiej uwagi, jest bardziej zwyczajna. Teraz jednak, przesuważac

palcami po krótko ściętych włosach, zaczęła się zastanawiać, czy aby Charles nie miał racji. Może rzeczywiście bez długich pukli przestała być sobą, może wyglądała teraz nieciekawie i pospolicie.

Zdecydowała się w końcu na stary, wypróbowany strój: białą jedwabną bluzkę, parę męskich lewisów, szeroki skórzany pasek i zniszczone kowbojki.

Przyjęcie odbywało się w rezydencji na wzgórzu w dzielnicy Pacific Heights. Allegra wsunęła się przez pozłacane drzwi, wzięła kieliszek szampana od przechodzącego kelnera i ruszyła przez tłum dobrze sytuowanych, elegancko ubranych gości. Ko-biety miały na sobie futra i aksamity, mężczyźni garnitury w stylu japońskim. Przyjęcie koncentrowało się w salonie, pełnym regałów z książkami, z zapierającym dech w piersi widokiem na most Golden Gate oraz oryginalnym Monetem nad kominkiem. Jednak pomimo cennych antyków i pięknej kolekcji obrazów sprawiał przytulne i miłe wrażenie.

- My się chyba znamy. Jestem Decca Chase. Witamy w naszym domu - powiedziała z uśmiechem jedna z pierwszych dam w San Francisco i jednocześnie matka Bena. - Jesteś tą dziewczynką z portretów, prawda?

A więc są jeszcze inne? - pomyślała Allegra. W galerii widziała tylko jeden.



- Miło znowu panią widzieć, pani Chase -  
odpowiedziała.

- A więc jednak się znamy - stwierdziła z radością  
matka Bena.

Była wysoka i szczupła jak syn i równie jak on  
przystojna, odziana w kreację z nieskazitelnie białego  
kaszmiru. Allegra przypomniała sobie coś, co  
powiedziała jej współlokatorka z liceum, że matka Bena  
jest dziedziczką wielkiej fortuny z San Francisco, a  
drugie imię Ben otrzymał po krewnym właśnie z jej  
strony.

- Chodziłam z Benem do szkoły. Do Endicott -  
wyjaśniła, czując się lekko onieśmielona przyjacielską  
reakcją gospodyni.

- No oczywiście. Ucieszy się ze spotkania z dawną  
koleżanką. Decca Chase przeszła przez salon, trzymając  
Allegrę za rękę

i w końcu zatrzymała się przed wysokim młodzieńcem  
w zniszczonej niebieskiej marynarce, który raczył tłum  
wielbicieli fascynującą opowieścią, wywołując salwy  
śmiechu.

- Spójrz, kogo przyprowadziłam - oznajmiła triumfalnie.  
Allegra, nagle onieśmielona, pożałowała, że nie poszła z  
Char-

lesem do muzeum. Nie pasowała do tego towarzystwa. Jego ma-ma była tak miła, że aż bolało. Może powinna po prostu zniknąć. Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a Ben już się odwracał.

Nic się nie zmienił - wysoki, jasnowłosy, z tym samym przy-jaznym, szczęśliwym uśmiechem, błyszczącymi błękitnymi oczyma i szczerą, słoneczną jak letnie popołudnie twarzą.

- Legs - powiedział.

Serce jej się ścisnęło, gdy usłyszała swoje stare przezwisko. Uściskał ją serdecznie i cmoknął w policzek, jakby byli starymi kolegami ze szkoły i nikim więcej. Jakby nigdy go nie naznaczyła, nie piła jego krwi i nie połączyła ze swoją.

Co w nią wstąpiło, żeby tu przyjść? Po co ogóle przyszła? Czego się bała? Czy przyszła po to, by sprawdzić, jak bardzo go zniszczyła? Czy czuła się rozczarowana, gdy zobaczyła, że nie? Nie. Postąpiła słusznie, odchodząc z Endicott po tym, jak wizja ją ostrzegła. Czuł się lepiej bez niej. Był tym samym dawnym Benem z rumianymi policzkami i dołeczkami, gdy się uśmiechał. Nosił ten sam stary szkolny krawat z rypsu, wystrzępiony na brzegach, i spodnie starannie pochłapane farbą. Nie dostrzegła w nim jednak sztuczności ani wyrachowania. Zachowywał się

swobodnie i przyjacielsko, czym zjednywał sobie ludzi. Dlatego Charles od początku czuł do niego niechęć.

- Cześć, Ben - odpowiedziała, całując go w policzek i kryjąc za uśmiechem burzę emocji.

- Nikt mnie już tak nie nazywa - stwierdził, patrząc na nią w zamyśleniu.

- A mnie nikt nie nazywa Legs - odparła nieśmiało. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Żartowałem. Możesz mnie nazywać, jak chcesz albo wcale - dodał żartobliwym tonem.

Otoczający go tłum rozproszył się, jakby wszyscy zrozumieli, że nowo przybyła piękna dziewczyna wymaga całej jego uwagi. Allegra nie powinna mieć wątpliwości - nadal olśniewała urodą.

- No, to powspominajcie sobie, dzieci, a ja pójde sprawdzic, co robi ojciec. Upewnie się, czy nie zjadł wszystkich kanapek z kawiozem - oznajmiła Decca Chase, patrząc na nich z zado-woleniem.

Allegra kompletnie o niej zapomniła. Patrzyli z Benem, z jaką swobodą lawiruje wśród gości, tu szczypiąc kogoś w łokieć, tam śmiejąc się z czyjegoś żartu, niczym perfekcyjna pani domu.

Podszedł kelner i napełnił Allegrze kieliszek, co przyjęła z zadowoleniem. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę, i wciąż się zastanawiała, po co tu przyszła. Może po prostu skorzystała z nadarzającej się okazji, żeby go zobaczyć, jak tonący, który chwyta się brzytwy.

- Twoja mama jest super. Nie mówiłeś, że jest taka fajna.

Pamiętała tylko, jak się skarżył, że rodzice nie mają dla niego czasu. Może teraz to nadrabiali, urządzając wystawne przyjęcie.

- Zapomniałem o tym wspomnieć - odparł z uśmiechem.

- No tak, grałem rolę biednego bogatego chłopca, prawda?

Wybuchnęła śmiechem. Zawsze umiał ją rozśmieszyć. Bra-kowało jej ich rozmów.

- Ładny dom - powiedziała, wskazując głową na obraz Picassa wiszący nad stołem.

Ben przewrócił oczyma.

- Moich rodziców. Najgorsze w tym bogactwie jest to, że nie mogę być głodującym artystą.

- Czy to źle? - spytała żartobliwym tonem.

- Fatalnie - odpowiedział wesoło. - Mam co jeść, a mama wykorzystuje swoje znajomości, żeby wszyscy o

mnie pisali i kupowali moje obrazy. To koszmar, możesz mi wierzyć.

Allegra uśmiechnęła się. Pochodzenie Bena było po prostu jego częścią. Nie odpowiadał za to, kim są rodzice, miał szczęście, że jest ich synem.

Teraz przyjrzał jej się z uwagą.

- Ściąłaś włosy - powiedział, marszcząc brwi.

- Pomyślałam, że czas na zmianę - odrzekła, starając się nad-rabiać miną. Boże, nie podoba mu się, pomyślała.

Po co w ogóle ścinała włosy? Co jej przyszło do głowy?

- Podoba mi się - oznajmił, kiwając głową z aprobatą. - Aha, w galerii powiedzieli, że kupiłaś obraz.

- Tak - odpowiedziała, dostrzegając, że grupa ludzi czeka, aż Ben skończy z nią rozmawiać.

- Dobrze, bo potrzebuję pieniędzy.

- Kłamca. - Wskazała na tłum wielbicieli. - Odciągam cię od twoich fanów.

- Mam ich gdzieś - stwierdził z uśmiechem. - Naprawdę miło cię było zobaczyć, Legs - dodał ciepło. - Może wpadłabyś jutro do mojej pracowni zobaczyć kilka innych obrazów? Obiecuję, że nie będę próbował ci ich sprzedać. W każdym razie nie wszystkie.

Chciał się z nią spotkać. Serce mocniej jej zabiło.

- Pewnie. Czemu nie? - Wzruszyła nonszalancko ramionami, jakby godziła się tylko dlatego, że nie miała nic innego do roboty.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Świetnie. Powiem, żeby dali ci w galerii mój adres. Jeden z gości, starszy pan z przyszyżoną brodą, miał dość

czekania.

- Stephen, przepraszam, że przeszkadzam, ale musisz poznać jednego z naszych najlepszych klientów. Jest zachwycony twoimi pracami i chce kupić całą kolekcję.

- Sekundę - odpowiedział marszandowi. - Przepraszam - zwrócił się do Allegry. - Interesy wzywają. Ale zostań i baw się dobrze. Jest tu paczka ze Stowarzyszenia Peithologian\*. Znajdziesz ich w barze. Trudno pozbyć się starych nawyków.

Odszedł do gości, którzy przyszli świętować jego sukces.

A więc jest szczęśliwy i ma się dobrze, pomyślała. Skoro tak, to postanowiła cieszyć się jego szczęściem. Dobrze zrobiła, nie dopuszczając, by ich romans się rozwinął. Uśmiechnęła się mimo woli, idąc do baru na

spotkanie ze starymi przyjaciółmi. Spodobała mu się nowa fryzura.

\* Peithologian Society - studencka organizacja literacka działająca na Uniwersytecie Columbia (przyp. tłum.).

## SIEDEM

### Lustrzane odbicia

Porywacze wyprowadzili ich z bazaru i Schuyler została wepchnięta do samochodu, który ruszył szybko wyboistą drogą. Wydawało jej się, że wyczuwa obecność Jacka, ale nie była pewna. To przez ten kaptur na głowie, pomyślała. Nie był to zwykły czarny materiał, ale ograniczający wampirowi widzenie - kolejna broń z arsenału venatorów. Nie wiedziała, ile czasu jechali, ale w końcu wyciągnięto ją z samochodu i wprowadzono do jakiegoś pomieszczenia. Ogarnął ją strach, postanowiła jednak, że będzie silna.

Nic ci się nie stało? - usłyszała w myślach głos Jacka. - Jeżeli zrobili ci krzywdę, rozerwę ich na kawałki.

A więc Jack też był tutaj. Odetchnęła z ulgą.

Nic mi nie jest - odpowiedziała. - Gdzie jesteśmy? Kto nas porwał?

Zaczęła myśleć intensywnie. Venatorzy z Nowego Jorku? A może pomocnicy hrabiny przegrupowali siły? Jednak zanim

Jack zdążył odpowiedzieć, zdjęto jej kaptur z głowy. Poczowała zimną stal pod brodą, a napastnik szarpnął ją za włosy, by od-słonić szyję. Jack siedział na wprost niej ze związanymi rękami. W jasnozielonych oczach błyszczał gniew, ale trzymał na wodzy swoją przerażającą moc. Mógł zabić ich jednym słowem, ale po-wstrzymywała go przed tym miłość do Schuyler. Gdy ukochana była w niebezpieczeństwie, nic nie mógł zrobić. Nienawidziła tego, że mogą ją wykorzystać, żeby nad nim panować.

Dziewczyna, która trzymała jej nóż na gardle, była śliczną chińską venatorką, w mundurze z wysokimi dystynkcjami - trze-ma srebrnymi krzyżami na kołnierzyku.

- Chwileczkę. To jeden z naszych. - Jej towarzysz, krępy chłopak o szczerzej twarzy, wskazał na Jacka. - Generał Abba-don. Co za niespodzianka? Deming, nie poznałaś go?

- Rudiel. - Jack wymienił prawdziwe imię venatora i jednocześnie z wprawą pozbył się krępujących go więzów. - Nie sądziłem, że Wschodnie Wiatry zwiążą



swój los ze zdrajcami. Jestem rozczarowany, że ty i twój brat zdecydowaliście się służyć Druzylli.

- Nie jesteśmy zdrajcami - odparował ostro Sam Lennox. - Hrabina mogła zmienić Zgromadzenie Europejskie, ale my jej nie służymy. I nie pracujemy też dla twojej siostry.

- Dobrze się składa, bo w przeciwnym razie wróciłbyś naj-bliższym samolotem do Nowego Jorku - warknął Ted.

- Wobec tego, czy mógłbyś poprosić swoją koleżankę, żeby uwolniła moją żonę? - spytał Jack. - Jeżeli nie stoimy po przeciwnych stronach, nie ma potrzeby okazywać takiej wrogości.

Chinka spojrzała pytająco na Sama, a gdy ten kiwnął głową, zabrała nóż.

Schuyler odetchnęła.

- Gdzie miecz mojej matki?

Druga dziewczyna, bliźniaczo podobna do tej, która ją trzymała, rzuciła jej broń. Schuyler zręcznie ją złapała, zmniejszyła i schowała do kieszeni.

Chińskie wena tor ki i bracia Lennox tworzyli interesujące pary. Podobni do siebie jak dwie krople wody, poruszali się z gracją i wprawą niczym dobrze

naoliwiona maszyna napędzana wielo-wiekowym doświadczeniem. Wyglądali na zaprawionych w boju i zmęczonych.

Jack wyczuł, że to on powinien przejąć dowodzenie, i dokonał prezentacji.

- Schuyler, to Sam i Ted Lennoxowie, znani również jako Rudiel i Ruhuel, Anioły Wschodniego Wiatru. Dobrzy żołnierze. Dawno temu walczyli w moim legionie. Ostatnio pracowali w Rio, w zespole Kingsleya Martina. Jeżeli się nie mylę, te dwie czarujące damy to Deming i Dehua Chen. Pamiętam was z Balu Czterystu. - Wskazał na Schuyler. - To jest Schuyler Van Alen, moja żona.

- Sławny Jack Force - odezwała się Deming z pogardą w głosie. Bracia Lennoxowie mogli traktować Jacka jak byłego dowódcę, lecz ona nie czuła do niego szacunku. Była silniejsza i bardziej porywcza niż jej bliźniacza siostra Dehua, która wydawała się łagodniejsza. Schuyler nie miała wątpliwości, że bez wahania poderznęłaby jej gardło. - Ja też cię pamiętam - dodała. - W Nowym Jorku mówiono, że uciekłeś z tą Obrzydli-wością Gabrieli i zerwałeś więź z Azraelem. Nie sądziłam, że to prawda.

Popatrzyła na niego z takim wstrętem, że Schuyler po raz pierwszy w pełni zdała sobie sprawę z tego, jak wiele dla niej poświęcił - wysokie, honorowe miejsce w społeczności wam-pirów, swoją dumę i dane słowo. W oczach tej dziewczyny był zwykłym tchórzem, kimś, kto złamał niebiańską obietnicę.

- Uważaj. Mnie nie możesz urazić, ale nie pozwolę obrażać mojej żony - powiedział cicho Jack z wyraźną groźbą w głosie.

- Przecież to prawda - odparła Deming. - Gabriela popełniła wielki błąd, ale ty popełniłeś jeszcze większy, łamiąc przysięgę i wiążąc się z tym pomiotem.

- Natychmiast przeproś za swoje grubiaństwo! - rozkazał Jack, zrywając się na równe nogi.

Deming uniosła dumnie brodę niczym chińska cesarzowa.

- Zapomniałeś, że już ci nie służymy. Azrael zachowała swój honor. A gdzie jest twój?

- Zaraz ci pokażę. - Jack uśmiechnął się i sięgnął po miecz. Po chwili oboje skrzyżowali ostrza, aż posypały się iskry.

- Nie będziesz groził mojej siostrze - odezwała się Dehua, wyciągając swój miecz, a Sam i Ted zrobili to samo.

- Uważaj, Abbadonie - ostrzegł Sam. - Nie jesteśmy twoimi wrogami, ale będziemy się bronić.

Tego było już za wiele. Schuyler skoczyła między walczące anioły, wyciągając ręce i zmuszając wszystkich do opuszczenia mieczy.

- Jack, daj spokój. Deming, nie znasz mnie, ale mam nadzieję, że uda nam się zawrzeć pokój. Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego - powiedziała Schuyler. - Jeżeli będziemy walczyć ze sobą, wszystko przepadnie.

Deming rzuciła jej mordercze spojrzeniem, ale Jack się cofnął.

- Jak zwykle masz rację - zwrócił się do Schuyler z wyrazem łagodności w oczach, po czym odwrócił się do swojej przeciw-niczki. - Ostrzegam cię, Kuan Yin. Masz traktować moją żonę z należnym szacunkiem, ale przepraszam za to, że ci groziłem.

Miecze zniknęły w pochwach, a pary znowu się połączyły. Sam i Deming oraz Ted i Dehua instynktownie stanęli obok siebie. Popatrzyli na swoje niedoszłe ofiary z rezerwą, nie bardzo wiedząc, co teraz robić.

- Skoro więc nie zamierzacie zaciągnąć mnie przed oblicze hrabiny ani sprowadzić przed oblicze siostry na sąd krwi, dla-czego nas porwaliście? - spytał Jack, jakby nic się nie stało.

- Tropimy nefilima - wyjaśniła Deming. Wskazała mieczem na Schuyler i przez chwilę wyglądało, jakby szykowałą się następna kłótnia. - Jej aura była niewyraźna, miała cechy boskie i ludzkie, jak u nefilima. Myśleliśmy, że jest jedną z nich.

## OSIEM

### Checkpoint Charlie

Oliver przypomniał sobie wycieczkę na pustynię Mohave. Była to jedna z tych wypraw zorganizowanych w ostatniej chwili. Rodzice mieli przyjaciół w Palm Springs w Kalifornii i ich dzieci - para rozpieszczonych nastolatków, ubierających się w stylu boho, z potarganymi włosami i kosztownymi zabawkami - spytały go, czy chciałby pojechać z nimi do Doliny Śmierci. Mieli obejrzeć jakieś wymarłe miasteczko, skorzystał więc z okazji, żeby wyrwać się z domu. Lepsze to niż siedzenie z dorosłymi, którzy upijali się Pimm's Cup i gadali o turniejach tenisowych.

Z początku obawiał się, że popełnił błąd. Piaszczyste drogi prowadzące przez kaniony zamieniły się po burzy

w grzędawiska i planowana na dwie godziny podróż trwała osiem. Na szczęście jego towarzysze okazali się ludźmi z poczuciem humoru i ochotą do przygód, toteż wszyscy świetnie się bawili, jadąc przez rozległą pustynną krainę, przypominającą powierzchnię Księżyca.

- Czy poprzednio też tak to wyglądało? - spytał Oliver, wyglądając przez zakurzone okno.

- Nie. Zawsze jest inaczej. Ale teraz jedziesz ze mną i to jest przetworzony obraz twoich myśli.

Oliver zaczął kręcić gałką radia, ale wszystkie stacje nadawały jedynie muzykę Wagnera.

- Nic dziwnego - stwierdziła Mimi. - Helda jest jego wielbicielek. Prześpij się. Nieprędko dojedziemy na miejsce.

- Ile to potrwa?

- Tu czas biegnie inaczej - wyjaśniła. - Nie tak jak na górze. W świecie podziemnym nie ma przeszłości ani przyszłości, jest tyl-ko terażniejszość. Dojedziemy, kiedy dojedziemy. To test na wytrzymałość. Można tak jeździć przez całą wieczność za karę.

- Dobry Boże!

- Zły adres. - Mimi uśmiechnęła się złośliwie. - Ale ty nie umarłeś, a ja nie jestem człowiekiem. Myślę więc, że Helda po prostu bawi się z nami.

- Kim jest Helda?

- Kimś w rodzaju zarządzającej. Dlatego nazwała to miejsce swoim imieniem\*.

- Rozumiem.

Oliver zdrzemnął się kilka razy, ale skoro czas się tu nie liczył, nie bardzo wiedział, jak się ma czuć. Czy jest głodny? Zjadł obfite śniadanie, ale przejście w wymiar uroku mocno go wyczerpało. Czy w piekle serwują lunch? Czy powinien zabrać ze sobą wałówkę? Dlaczego nagle zaczął myśleć o jedzeniu? Czuł się zmęczony

\* Heli (ang.) - piekło (przyp. tłum.).

i otumaniony jak po długiej podróży samolotem. Nic dziwnego, przecież niedawno przyleciał z Nowego Jorku. Miał nadzieję, że Mimi wie, dokąd jadą.

Zgodził się jej towarzyszyć. Po ukończeniu liceum, gdy Mimi dowiedziała się, że postanowił odłożyć studia na Harvardzie, za-proponowała mu stanowisko zausznika. Przyjął je. Rodzice usiłowali mu to wyperswadować, chcieli, aby nadal pracował w Repozytorium, gdzie

byłby bezpieczny. Ale archiwiści zajmowali się jedynie gromadzeniem i porządkowaniem akt. Przygotowywali się też do ewentualnego rozwiązania Zgromadzenia. To była przygnębiająca praca. Nie wiedział, co się stanie, jeżeli wampiry zejdą do podziemia. Rodzice też nie wiedzieli. Propozycja Mimi wydawała się ciekawsza, miała w sobie posmak przygody, a on chciał być przydatny, nie miał ochoty zajmować się inwentaryzacją.

Zrozumiał również, że Mimi nie da rady kierować sama Zgro-madzeniem. Potrzebowała twardej ręki Kingsleya, by utrzymać w ryzach wszystkich członków. Oliver potraktował stanowisko zauszniaka bardzo poważnie. Nie dopuści do upadku Zgromadze-nia i wypełni obowiązek wobec błękitnokrwistych. Postara się, by Mimi dostała to, czego jej trzeba, by uratować Zgromadzenie przed rozpadem, bez względu na to, jaką będzie musiał ponieść ofiarę.

Poza tym uważał Mimi za przyjaciela. Doszli do porozumienia i ku jego zaskoczeniu świetnie dawali sobie radę. Przekonał się, że pod maską księżniczki kryje się doświadczona, praktyczna dziewczyna, i szanował ją za to. Gdy zaproponowała podróż do świata podziemnego, wyraził zgodę, kierując się obowiązkiem,



ciekawością i pragnieniem, by ją chronić. Mogła być groźnym Aniołem Śmierci, ale nawet ona miała serce, które można złamać. Nie chciał, żeby została sama, jeśli nie uda się jej uratować Kingsleya. Potrzebowała przyjaciela. Co miał do stracenia? Przecież stracił już Schuyler.

Tymczasem jechali i końca nie było widać tej podróży. Z radia płynęło tylko Cwałowanie walkińi, które strasznie spowszedniało po n-tym razie. Oliver czuł, jak rośnie frustracja Mimi, toteż z ulgą dotarli wreszcie do prymitywnego punktu kontrolnego - drewnianego kozła do piłowania drewna ustawionego na drodze - i małej stacji benzynowej.

Dwaj ludzie - w pierwszej chwili Oliver wziął ich za ludzi, ale potem okazało się, że wcale nimi nie byli - powiedzieli coś do Mimi w języku, którego nie rozumiał. Mieli prawie trzy metry wzrostu, wielkie, zwaliste cielska porośnięte brązowym futrem, pomarszczone twarze, bulwiaste nosy i świdrujące żółte oczy. Na szyi nosili srebrne obroże z drutu kolczastego.

Mimi wydała z siebie dziwne chrząknięcia. Po chwili olbrzymi odeszli naradzić się ze swoim szefem.

- Kim oni są? - spytał szeptem Oliver.

- Trollami. Pracują dla demonów.

- Straszne te kolczatki - powiedział Oliver drżącym głosem.

- Dzięki temu jesteśmy bezpieczni - wyjaśniła Mimi rzeczowym tonem.

Obrożę przy każdym ruchu wpijały im się w szyje i raniły do krwi. Oliver poczuł jednocześnie odrazę i litość dla tych stworów. Rozejrzył się wokół.

- Więc ta Helda, z którą masz się spotkać, jest demonem?

- Nie. - Mimi pokręciła głową. - Jest raczej ich... babką. Oliver zbladł, a Mimi mówiła dalej.

- To jedna z bogiń, które istniały jeszcze przed naszym przy-byciem, jak ta wiedźma z North Hampton.

- Niewiele wiem o tym świecie - mruknął Oliver.

Trolle wróciły i wskazały na stację benzynową za punktem kontrolnym. Mimi podjechała do niej.

- Zaczekaj tu - powiedziała.

- Z nimi? - Oliver wzdrygnął się. Żałował, że wcześniej nie pomyślał o podniesieniu dachu, a teraz było za późno. Trolle zaczęły go obwąchiwać, podchodząc tak blisko, że czuł ich gorący oddech na policzku.

- Człowiek - stwierdził jeden z perfekcyjnym angielskim ak-centem.

- Żywy - dodał jego towarzysz z chytrym uśmieszkiem.

-Jest mój, bestie. Jak go tkniecie, posmakujecie miecza Azraela - warknęła Mimi.

Trolle cofnęły się, ale Oliver wcale nie poczuł się lepiej, bo nadal patrzyły na niego, jakby miały ochotę go zjeść.

- One tylko żartują. Nie jedzą mięsa - zapewniła go Mimi, lecz nie dodała: „tylko dusze”. Oliver nie musiał o tym wiedzieć, już i tak był wystarczająco przerażony.

- Przestań robić z siebie palanta. Trolle, zostawcie go w spokoju.

Po tych słowach ruszyła w stronę małego biura usytuowanego na tyłach stacji benzynowej. Nie chciała się przyznać Oliverowi, ale ta niekończąca się podróż zaniepokoiła ją. Obawiała

się, że jest to znak, iż Helda nie pozwoli jej zejść na niższe poziomy i że nie będzie mogła dotrzeć na siódmy, gdzie zamierzała odnaleźć Kingsleya. Wejścia do biura Hedy strzegła groźna trollica z brązową grzywą. Miała na sobie ciężki pas z nabojami i karabin przypominający AK-47. Obszukała Mimi.

- Co to jest? - spytała, zatrzymując rękę na jej plecach. Dziwne, że znalazła igłę, którą Mimi przypięła do stanika.

- To mój miecz.

- Musisz go zostawić. Zabierzesz przy wyjściu.

Mimi spełniła jej żądanie i wyciągnęła igłę spod bluzki.

- Mogę teraz wejść?

Trollica kiwnęła głową i otworzyła drzwi kopnięciem.

Helda nie ucieszyła się na jej widok. Królowa Śmierci była starszą kobietą, ubraną w głęboką czerń, z włosami zebranymi w ciasny siwy kok. Miała pomarszczoną, wymizerowaną twarz, cienkie, ściągnięte wargi nałogowego palacza i świdrujące spoj-rzenie gracza, który postawił ostatniego dolara na przegranego konia. W niczym nie przypominała swojej siostrzenicy z North Hampton. Miała w sobie coś okrutnego i sędziwego, jakby zoba-czyła świat z najgorszej strony i skwitowała to wzruszeniem ra-mion. Siedziała za biurkiem zawalonym rejestrami, kwitami, wymiętymi kartkami i podartymi kopertami. Wyglądało jak biurko zapracowanego księgowego. Mimi przyszło na myśl, że Helda rzeczywiście jest kimś takim, bo Królestwo Śmierci przypominało trochę urząd zbierający dusze zamiast podatków.

- Wróciłaś - stwierdziła beznamiętnym głosem.

- Dzięki twojej kuzynce - odparła Mimi.

-Której?

- Erdzie.

-Jaka szkoda. Erda była zawsze mądrzejsza. Freya natomiast zrobiłaby to, żeby mi dokuczyć. - Helda zmierzyła Mimi chłodnym spojrzeniem. Nie była podobna do bogatych pań prowadzących organizacje charytatywne i znajdujących przyjemność w wykluczaniu karierowiczów. - Czego więc szukasz w moim królestwie, Azraelu?

- Wiesz, czego chcę. Tego samego, co poprzednio. Przybyłam wydobyć duszę z Białej Ciemności.

- Arakiela, tak? Szkoda. Prawdziwy z niego skarb. Pomaga trzymać w ryzach demony. Nie zmienisz zdania?

Mimi pokręciła głową. Czy Helda sądziła, że ona uwierzy w te bzdury? Kingsley tam cierpiał. Kto wie, jakie znosił tortury i męki. Nie miała pojęcia, co Helda kombinuje, ale postanowiła trzymać buzię na kłódkę, żeby stara kwoka ją przepuściła.

- Tym razem jesteś przygotowana. Masz kogoś na wymianę? - spytała Helda.

- Tak - odpowiedziała Mimi, wskazując okno.

Helda popatrzyła na Olivera usiłującego odsunąć się od trolli najdalej, jak można, tak by nie wyglądało, że się ich boi.

- Rozumiem - odparła z westchnieniem. - Człowiek to kiepska karta przetargowa za duszę, którą chcesz mi zabrać. Ale dobrze. Jeżeli zdołasz przekonać Arakiela, żeby z tobą wrócił, będziesz go miała.

## DZIEWIEĆ

### Sesja studyjna

Adres zostawiony na sekretarce przez pracownicę galerii doprowadził Allegrę do dawnego magazynu przy Market Street. Wsiadła do skrzypiącej windy i wjechała na samą górę.

Resztę przyjęcia spędziła na wspomnianiu szkolnych czasów z dawnymi kolegami z liceum, z których wielu weszło już w świat. Byli wśród nich świeżo upieczeni bankowcy i studenci prawa, młodzi reporterzy telewizyjni i prasowi, asystenci projektantów mody, bogaci utracjusze korzystający z otrzymanego spadku i spędzający czas na przyjęciach, imprezach charytatywnych i festiwalach, uczestnicy Wimbledonu, Międzynarodowych Targów Sztuki Art Basel i Festiwalu Filmowego w Wenecji. Zachwycali się jej

nową fryzurą i chcieli wiedzieć, dlaczego bez żadnego wyjaśnienia zniknęła z ich życia. Powinno się utrzymywać kontakt i nieustannie wspominać dni chwały, skoro było się wojowniczką w St. Paul lub Endicott. Przeprosiła i obiecała, że zaprosi ich do Nowego

Jorku, gdy skończą remont domu przy Fifth Avenue, gdzie ona i Charles mieli zamieszkać po odnowieniu więzi. Teraz zapukała w lekko uchylone stalowe drzwi.

- Jestem tutaj ! - zawołał Ben.

Gdy weszła, stał przed wielkim obrazem i wycierał ręce w mokrą szmatkę.

- Przyszłaś - powiedział, jakby nie mógł w to uwierzyć. Odłożył szmatkę i wytarł dłonie w dzinsy. Zauważyła z zaskoczeniem, że jest zdenerwowany. Zniknęła gdzieś wczorajsza nonszalancja.

- Zaprosiłeś mnie.

- Nie byłem pewny, czy przyjdiesz - wyznał.

- Ale jestem - odparła, uśmiechając się niepewnie. Nie wiedziała, czemu Ben zachowuje się tak dziwnie.

Czyżby źle go zrozumiała? Sądziła, że naprawdę chciał pokazać jej swoją pracownię i nie była to jedynie grzecznościowa formułka. Czy znowu się pomyliła?

Dziś rano cieszyła się, że go zobaczy, i miała nadzieję, że będzie sam.

Tak długo stali w drzwiach, że Allegra postanowiła coś zrobić.

- Zaprosisz mnie do środka? Zaczerwienił się.

- Przepraszam, gdzie moje maniery! Proszę, wejdź. Allegra znalazła się w ogromnym pomieszczeniu z oknami od

sufitu do podłogi i widokiem na zatokę. Wszędzie walały się puszki z farbą i pędzle, a podłoga była przykryta plastikiem. W powietrzu unosił się oleisty zapach gipsu sztukatorskiego.

- Przepraszam za bałagan - powiedział.

Kiwnęła głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Zauważyła mnóstwo płócien różnej wielkości, w tym kilka o formacie dwa i pół na trzy metry. Mniejsze stały na sztalugach lub wisiały na ścianach. Niektóre były oprawione i owinięte plastikiem. Gdy uważniej im się przyjrzała, zauważyła, że są do siebie podobne. Na każdym, poczynając od fresku przedstawiającego dziewczynę leżącą na łóżku, upozowaną niczym odaliska, po mniejsze obrazy, jak ten, który kupiła, była ona.



Szła przez pracownię, przyglądając się obrazom i rysunkom, oniemiała i zaszokowana. Ben podążał za nią bez słowa, czekając na reakcję. Nie była zdolna do żadnej, przetwarzała jedynie informacje, które jej przekazał. Obrazy opowiadały krótką historię ich miłości: Allegra w łóżku w białej halczce; Allegra w lesie, w noc przyjęcia jej do Stowarzyszenia Peithologian, „tajnego bractwa poetów i miłośników przygód”, co oznaczało upijanie się w lesie po nocy; Allegra z podręcznikiem do łaciny, z którą nie dawała sobie rady; Allegra naga, odwrócona tyłem do widza. Nie zabrakło również małego płótna - z jasnymi włosami i kłami w kolorze kości słoniowej na czarnym tle. Allegra jako księżniczka wampirów.

Teraz rozumiała, że beztroski artysta i tryskający humorem dziedzic fortuny to maska. Ich pocałunek naznaczył go i zmienił. Gdy odeszła, stworzył coś w rodzaju sanktuarium. To obsesyjne wspomnienie wspólnie spędzonych chwil pozwalało mu zatrzymać ją przy sobie. Malował ją nieustannie, żeby o niej nie zapomnieć. W tych obrazach było wszystko - jego miłość i tęsknota. Odślaniał w nich swoje szczere, krwawiące serce.

Zrozumiała teraz, co jego matka miała na myśli, mówiąc: jesteś tą dziewczyną z portretów. Decca Chase

martwiła się o syna i pomyślała, że jeżeli przyprowadzi do niego Allegrę, to może on zdoła ją przy sobie zatrzymać lub wyrzucić z pamięci. Mądra kobieta.

Ben przestąpił z nogi na nogę, zaczerwienił się i przełknął ślinę.

- No i co o nich sądzisz?

- Przykro mi, że od ciebie odeszłam - odpowiedziała wolno, unikając jego wzroku. - Przepraszam, że zniknęłam tamtej nocy. Nie rozumiesz... ja nie jestem wolna... Nie mogę decydować o tym, kogo kocham. Musisz o mnie zapomnieć. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Dla ciebie.

Ben zmarszczył brwi.

- Nie, nie, ty nie rozumiesz.

Ale ona już wyszła, tym razem na zawsze. Popeliła błąd, szukając go i kładąc na szalę swoją przyszłość. Nigdy więcej tego nie robi.

Lepiej nie otwierać puszek Pandory.

DZIESIĘĆ

Miasto Umarłych.

Gdy venatorzy przestali traktować ich jak wrogów, Schuyler mogła rozejrzeć się wokół siebie. Znajdowali się w małej sali o ścianach z kamienia, przypominającej wnętrze grobowca, z ozdobnymi płytami nagrobnymi służącymi za stół.

- Czy mi się wydaje, czy jesteśmy w... ? - spytała.

Sam kiwnął głową, przeprosił za zapach i wyjaśnił, dlaczego mieszkają na cmentarzu, zwanym przez miejscowych Miastem Umarłych. Ta nekropolia we wschodniej części miasta stała się domem dla ludzi, których przodkowie tu spoczywali, a także dla wyrzuconych z zatłoczonych dzielnic Kairu, których nie stać by-ło na mieszkanie. Żyje tu od trzydziestu tysięcy do miliona osób, wyjaśnił Sam. Teren był skanalizowany, miał wodę, a przewody poprowadzone od pobliskich meczetów zapewniały światło i ogrzewanie, by członkowie rodziny zmarłego mogli tu odbyć czterdziestodniową żałobę. Dłuższy pobyt nie był więc czymś nadzwyczajnym, jeśli nie miało się innego wyjścia.

- Wytropiliśmy kryjówkę nefilimów w Teheranie i zlikwi-dowaliśmy ją. To samo zrobiliśmy w Trypolisie, a potem przyje-chaliśmy tutaj, bo dotarły do nas pogłoski o znikaniu dziewcząt w Mieście Umarłych. - Sam wyjaśnił, że te zniknięcia i porwania nie miały

cech typowych dla przestępstw popełnianych przez ludzi. - Powtarzały się i miały w sobie coś z rytuału. Dlatego przyczailiśmy się tu, żeby mieć wszystko na oku.

- W zeszłym tygodniu przeprowadziliśmy obławę na ich kry-jówkę i zlikwidowaliśmy wszystkich z wyjątkiem jednego, który nam uciekł - powiedziała Deming.

- I sądziłaś, że to ja - wtrąciła Schuyler. Deming kiwnęła głową.

-Tak.

Nie przeprosiła za pomyłkę. Opowiedziała, jak w Nowym Jorku złapała nefilima atakującego wampiry.

- A więc jest tak, jak przypuszczaliśmy - stwierdziła Schuyler. Wyjawiała im, co odkryli we Florencji, i potwierdziła to, o czym już wiedzieli, że petruwianie łapali i zabijali porywane przez Croatanów ludzkie kobiety i ich dzieci. - Jedna z tych dziewcząt miała znak: trzy splecione koła z owcą, sigulem Lucyfera i sym-bolem wspólnoty błękitnokrwistych.

- Paul, nefilim z Nowego Jorku, też miał taki znak na ramieniu - powiedziała Deming. - Przypomina bardziej znamię niż tatuaż. Wszyscy nefilimowie je mają.

- Ale te kobiety i dzieci nie urodziły się demonami - zapro-testowała Schuyler. - To niewinne ofiary okrutnej zbrodni.

Deming spojrzała na nią z wyrzutem

- Jakie tam niewinne! - powiedziała. - Paul Rayburn odebrał życie dwóm nieśmiertelnym. Kto wie, ilu wampirów zamordował przez te wszystkie lata.

- Nigdy nie słyszałem o tych petruwianach, którzy zabijali w imię Boga - wtrącił Sam - dopóki Deming nie wyjawiała nam, co ten drań powiedział. Założę się, że nikt w Zgromadzeniu o nich słyszał. To oznacza, że nie są częścią oficjalnej historii. Jak to możliwe? - zwrócił się z pytaniem do swojego dawnego dowódcy.

- Nie wiem - odpowiedział Jack, marszcząc brwi. - Nie należałem do Zakonu Siedmiorga i nie byłem wtajemniczany w po-dejmowane tam decyzje.

- Ale czystki urządzone przez tych zakonników łamią wszystkie zasady zawarte w Kodeksie Wampirów, nakazujące chronić życie ludzi - nie ustępowała Schuyler.

- Nefilim to nie człowiek - zauważyła Deming. - Dowodem są te blizny. - Podciągnęła rękaw, ukazując rany odniesione w walce z wrogami.

- Czy ktoś czytał raporty venatorów działających na tym terenie? - spytał Jack. - Próbowałem znaleźć siedzibę miejscowej Rady Starszych, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie się mieści.

Sam pokręcił głową.

- Zgromadzenie ledwo się trzyma. Wielu jego członków zostało brutalnie zamordowanych i spalonych, nie tylko młodzi, również Starsi. Srebrnokrwieści zaatakowali ich kwaterę w Cairo Tower, dlatego nie mogłeś ich znaleźć. Zamierzają zejść do pod-

ziemia. Tak jest wszędzie. Nasz rodzaj wycofuje się, chce wrócić do cienia.

- A co się dzieje w Nowym Jorku? - spytał Jack. Deming i Sam wymienili spojrzenia.

- Regentka zniknęła i prawdopodobnie zabrała ze sobą klucze do Repozytorium, żeby nie dopuścić do rozwiązania się Zgromadzenia. Nikt nie wie, dokąd pojechała. Ale bez twojej siostry Nowy Jork długo się nie utrzyma - powiedziała Deming.

A więc Mimi została Regentką. Oliver nie kłamał. Schuyler obserwowała Jacka. Pewnie myśli, że powinien być z Mimi, że bez nich Zgromadzenie nie ma przywódcy.

- Sądziłam, że Azrael pojechała za tobą - powiedział Ted do Jacka. - Na sąd krwi, gdy nie wróciłeś do Nowego Jorku.

- Nie widzieliśmy Mimi - wyjaśniła Schuyler. - Jak na razie.

- Co robicie w Kairze?

Schuyler nie chciała wyjawiać prawdziwego powodu ich przy-jazdu.

- Szukamy kogoś. Katarzyny ze Sieny, przyjaciółki mojego dziadka. Jack dowiedział się o świętej kobiecie imieniem Zani. Sądziłam, że to może być ona. Jeden z jej wyznawców miał się z nami spotkać na bazarze i zaprowadzić nas do niej. Musieliście go wystraszyć. Wiecie, gdzie możemy ją znaleźć?

- Już gdzieś słyszałem to imię - stwierdził Sam.

- To imię kapłanki ze świątyni Anubisa - wyjaśniła Deming. - Tam właśnie znikają dziewczęta.

JEDENAŚCIE

Ślub w bieli

Dokąd teraz? Masz jakas mapę? – spytał Oliver, lecz gdy zobaczył wyraz twarzy Mimi, zreflektował się -

Dobra, obiecuję, że nie będę zadawał głupich pytań. Chciałem po prostu podtrzymać rozmowę.

- Będzie drugi punkt kontrolny - wyjaśniła Mimi.

Nadal jechali przez pustynię, ale po kilkunastu kilometrach znaleźli się na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża. Oliver zobaczył ocean, fale i poczuł morską bryzę. Jeżeli schodzili w głąb

Piekła, to robiło się całkiem przyjemnie. W końcu dojechali do eleganckiego hotelu przy plaży.

- Czy ja śnię? To wygląda jak Martha's Vineyard - zauważył Oliver. Rozpoznał jeden ze znanych hoteli na wyspie. Pewnie za chwilę pojawi się grupa pijanych nastolatków w koszulkach Black Dog.

Mimi wjechała na podjazd i rozejrzała się na boki. Gdy nikt się nie pojawił, westchnęła.

- W Piekło nie ma parkingowych? - spytała, wjeżdżając na parking.

Oliver zachichotał.

- Tu jest jak na Martha's Vineyard. O co chodzi?

- Wkrótce się dowiemy - odpowiedziała Mimi.

Wysiedli z samochodu i ruszyli do głównego wejścia. Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki granej przez kwartet



smyczkowy. Po chwili pojawiła się kelnerka w wykrochmalonej białej bluzce i czarnych spodniach, niosąca tacę z kieliszkami wypełnionymi szampanem.

- Przyjęcie jest w głębi hotelu. Zapraszamy.

Oliver sięgnął po kieliszek. Szampan był wyborny, pieniący się, maślany, o delikatnym posmaku jabłek i truskawek, z piżmową nutą czegoś ziemskiego i rozkosznego. Nie zdziwiło go, że ma na sobie garnitur khaki i białą koszulę, a Mimi prostą, lnianą sukienkę, sandały i kwiat we włosach.

-Jeżeli tak wygląda życie w świecie podziemnym, to nie jest tak źle - stwierdził, stukając się z Mimi kieliszkiem.

- Tak ci się wydaje - odpowiedziała, przewracając oczyma. - Zaczekaj, aż zobaczysz Raj.

-Jak on wygląda?

- To było dawno, już nie pamiętam. Było... inaczej. Tak spokojnie - powiedziała z tęsknotą w głosie.

- Nudno.

- Nie. Ludzie myślą, że tam jest nudno, ale wcale nie. Wyobraź sobie, że nieustannie przeżywasz twój najszcześniejszy dzień życia. Wygląda na to, że trafiliśmy na wesele.

Poszli razem z innymi gośćmi na tyły hotelu, gdzie przy plaży rozstawiono białe drewniane krzesła, zostawiając pośrodku przejście prowadzące do altanki ozdobionej kwiatami. Mężczyźni, grupa rumianych mieszkańców Nowej Anglii, mieli na sobie garnitury z lekkiej bawełny, a kobiety skromne sukienki. Wokół biegały dzieci, puszczając bańki mydlane. Było pięknie, uroczyście i nie za gorąco.

Cała ta oprawa wydała się Oliverowi znajoma. Ale szampana sobie nie przypominał.

- Czyj to ślub? - spytał podejrzliwie, gdy kwartet smyczkowy zaczął grać jego ulubiony hymn *All Things Bright and Beautiful*.

- Nasz oczywiście - usłyszał.

Stała przy nim dziewczyna podobna jak dwie krople wody do Schuyler. Miała takie same długie, czarne włosy, jasnoniebieskie oczy i suknię ślubną z bladoniebieskiego jedwabiu. Dostrzegł też na policzkach piegi pojawiające się zawsze podczas letnich wakacji, które spędzali razem na tej plaży.

Nie wiedział, co zrobić ani gdzie podziać oczy. Oblał się rumieńcem i poczuł się tak, jakby ktoś go upokorzył lub złamał serce.

- Ollie, co się stało?

Wyglądała i mówiła tak samo jak Schuyler. Co to było? A właściwie kto to był? Spełnione marzenie. Chyba szatan stworzył tego sobowtóra, pomyślał, odsuwając się od dziewczyny. Gdzie Mimi? Rozejrzał się w panice, lecz nie mógł jej znaleźć. Fałszywa Sky wsunęła mu rękę pod ramię, jak ta prawdziwa, i oparła głowę na ramieniu.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała.
- Ja też - odparł bez zastanowienia.
- Tak się cieszę, że jesteś - szepnęła.

Natychmiast się opamiętał. To przecież jest Piekło. Dobrze wiedział, w czym właśnie uczestniczył. W swoim najskrytszym marzeniu, które ukrył głęboko w sercu, by móc cieszyć się szczęściem ukochanej przyjaciółki. A teraz ktoś z całym okrucieństwem je urzeczywistnił. Nagle uświadomił sobie, że chociaż doszedł do siebie i już nie cierpiał, chociaż nie był familiantem i zausznikiem Schuyler, no, najwyżej przyjacielem, nadal ją kochał i nic tego nie mogło zmienić.

Czy można było kochać i pożądać bez bólu? Freya, czarownica z East Village, do której poszedł, oczyściła jego krew naznaczoną przez Schuyler, ale serca nie

zdołała uleczyć. Do końca życia będzie kochać Schuyler Van Alen.

-Nie gniewaj się, ale dłużej tak nie mogę. Kocham Jacka. Ale gdy cię dziś zobaczyłam... Ollie, przepraszam. - Nie-Schuyler spojrzała mu głęboko w oczy, a jemu zaparło dech w piersi.

- Za co? - spytał i w tym momencie zdał sobie sprawę, że to jest rozmowa, którą odbyli w wieczór poprzedzający jej ślub. Tylko tym razem miała inne zakończenie, a on wiedział, co za chwilę usłyszy, ponieważ chciał, żeby to właśnie powiedziała.

- Za to, że popełniłam największy błąd w swoim życiu - odparła schrypniętym głosem, ściskając go za rękę. Owionął go zapach jej perfum. Niedawno zaczęła ich używać, powiedziała wtedy. Zostały zrobione dla Katarzyny Medycejskiej, a ona kupiła je w klasztorze Santa Maria Novella.

- Nie - odpowiedział napiętym głosem i rozluźnił kołnierzyk, czując, że się dusi. - Nie rób tego. Nie jesteś Sky. Zostaw mnie.

- Nie, musisz to usłyszeć - powiedziała i przysunęła usta do jego ucha. Czuł jej oddech, gdy wyszeptała słowa, które pragnął usłyszeć tamtego grudniowego dnia we

Włoszech. - Nie powin-nam odchodzić od ciebie.  
Kocham cię. Bardziej niż jego.

Potem go pocałowała. To były wargi Schuyler i zapach Schuyler, i jej jedwabiste, miękkie włosy. Gdyby się odwróciła, zobaczyłby znamię między łopatkami. Ona była Schuyler i odwzajemniała jego miłość, dlatego więc miał udawać, że tego nie chce, że jej nie chce, że nie chce tego, co się właśnie działo?

## DWANAŚCIE

Usługa

Charles! Już wróciłeś? - spytała Allegra, wchodząc do mieszkania. Nie spodziewała się go tak wcześnie. Gdy zdejmowała płaszcz i szalik, miała nadzieję, że nie zauważy, jak drżą jej ręce.

- Wszystko skończyło się szybciej. - Oczy mu załśniły na jej widok. - Gdzie byłaś?

- Oglądałam obrazy - odpowiedziała. Mogli czytać sobie w myślach, łatwiej więc było ukryć kłamstwa za półprawdami.

- Kupiłaś coś? - Wiedział, że kupiła obraz, ale nie miał pojęcia, kto go namalował ani kogo przedstawiał.

-Nie.

- Dobrze, że znowu zainteresowałaś się sztuką - powiedział, uśmiechając się do niej z czułością.

Charles ostatnio usamodzielniał się i wydoroślał. Przestał być niezdarnym, sztywnym nastolatkiem, nabrał pewności siebie i wdzięku. W wieku dwudziestu jeden lat zarządzał większością

spółek powierniczych należących do Van Alenów, zamierzał stworzyć firmę medialną i zawojować świat. Jeden z magazynów uznał go za świetną partię. Był przystojnym mężczyzną o kruczoczarnych włosach i klasycznych rysach. Nie miał w sobie łagodności i życzliwego usposobienia Benedixa Chase'a, ale odznaczał się królewską wielkodusznością, dzięki której budził szacunek i lęk, nie tylko w społeczności wampirów.

Wskazał jej miejsce na kanapie obok siebie. Allegra usiadła i przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem. Pasowali do siebie, zawsze tak było, dlaczego więc tak późno to sobie uświadomiła? Zaczęła się uspokajać, a przykra prawda, którą dziś odkryła, powoli odchodziła w niepamięć. Jej związek z Benem od początku był błędem, niewartym uwagi dziewczęcym zauroczeniem. Oczywiście czuła się winna. Święty pocałunek naznaczał człowieka, ale Ben

sobie poradzi. Miał pieniądze i opiekę, wkrótce o niej zapomni. Po co w ogóle weszła do tej galerii?

- Wszystko w porządku z Radą Starszych? - spytała. - Czego chcieli?

Cień przemknął przez twarz Charlesa, ale Allegra tego nie zauważyła.

- Zwykle sprawy związane z przemianą. Nie rozumiem, po co mnie wzywali. Niepotrzebna strata czasu.

- Samochód już czeka - oznajmił lokaj, wszedłszy bezszelestnie do pokoju.

- Wychodzisz? - spytała, odsuwając się od niego. Miała się dziś wieczorem spotkać z dawnymi koleżankami z żeńskiej dru-

żyny hokeja na trawie, nic więc dziwnego, że sam też coś zapla-nował. - Do Dede, tak?

Kiwnął głową. Zaczął brać sobie familantki, dzięki czemu wyglądał jak okaz zdrowia i energii, silny i niezniszczalny. Przywódca Zgromadzenia mógł mieć liczne grono familantek w każdym mieście. Był dla nich dobry, troszczył się o nie, obsypywał prezentami, a czasami błyskotkami od Cartiera czy Buccellatiego. Widziała rachunki, bo to ona je płaciła. Różowo-złoty

zegarek zdobiony brylantami, bransoletki z szafirami i szmaragdami, delikatne kolczyki od Van Cleefa.

- Podobał jej się zegarek, który dostała na urodziny? - spytała. Kosztował trzydzieści tysięcy dolarów. Hojny prezent, ale przecież czerwonokrwisci dawali im coś znacznie cenniejszego.

Charles posmutniał, słysząc cierpki ton jej głosu.

- Chyba nie jesteś zazdrosna, Allegro. - Wprawiała go w za-kłopotanie tą nieoczekiwaną zmianą ról.

- Nie jestem - odparła ze swobodnym uśmiechem i zmierzwiła mu włosy. Taki był układ, tak żyli błękitnokrwisci. Była więź krwi i byli familianci. Więc zapewniała pokarm dla duszy, a familianci krew do wiecznego życia.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Wyglądasz na bladą i zziębniętą - powiedział, gładząc jej policzki. - Musisz się pożywić i nie mam na myśli kolacji.

- Wiem. - Spuściła głowę. Charlesowi nie podobało się, że nie wzięła sobie familianta od czasu tej nieszczęsnej pierwszej próby w liceum. Nigdy nie rozmawiali o Benie, ale wiedziała, że odetchnąłby z ulgą, gdyby zdecydowała się na nowego fami-



lianta. Odkładała to, wahała się w obawie, że znowu zakocha się w niewłaściwej osobie. Oczywiście były to śmieszne obawy. Miała setki ludzkich familiantów w poprzednich wcieleniach, a zakochała się tylko ten jeden raz. Istniał jeszcze drugi powód zwłoki, do którego nie chciała się przyznać nawet przed samą sobą - pragnęła zachować pamięć o Benie, a świeża krew zmyłaby część wspomnień. Charles zmarszczył brwi.

- Skoro nie chcesz mieć kłopotów, zawsze możesz zwrócić się o pomoc do zauszników. Pozwól, żeby się tobą zajęli. Poczujesz się znacznie lepiej.

Kiwnęła głową. Błękitnokrwisci, którzy nie mieli familiantów lub ich stracili, mogli skorzystać z pomocy zauszników, oferujących wampirom usługi specjalnie wybranych ludzi, cicho i dyskretnie. Nie były to żadne agencje towarzyskie, chodziło tylko o względy medyczne.

- Pomyślę o tym - obiecała. Charles pocałował ją w czoło.

- Wiem, że ciągle niepokoi cię to, co zaszło poprzednim razem, ale musisz zrobić następny krok.

Nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Charles wiedział, że zakochała się w Benie, że jej związek z familiantem omal nie zniszczył ich więzi, stanowiącej

podwalinę Zgromadzenia i łączącej ich z ziemią oraz ze sobą. Ale wybaczył jej tę pomyłkę, nie przestał kochać i to było najważniejsze.

Usiadła na kanapie, zadowolona, że tak szybko opuściła pracownię Bena. Nic jej już nie trzymało w tym mieście. Miała bez-

pieczny dom. Zje z koleżankami z drużyny kolację, a potem może skorzysta z usługi, jak sugerował Charles.

- Doskonale. Pokryję wszystkie koszty - powiedział Charles. Jak zwykle czytał w jej myślach.

Gdy Allegra wróciła ze spotkania z dawnymi koleżankami, na szafce przy łóżku znalazła wizytówkę z nazwą firmy i numerem telefonu. Zausznicy na pewno sprowadzą jej dobrego familianta, który może nawet pojedzie z nią do Nowego Jorku. Sięgnęła po słuchawkę. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich lokaj.

- List do pani, panno Van Alen.

Otworzyła kopertę. Wewnątrz znajdowała się kartka z monogramem SBC. Stephen Benedix Chase.

Spotkaj się ze mną w Barze Sekwojowym w Cljcie.

Proszę.

To bardzo ważne.

Ben

## TRZYNAŚCIE

### Dom Cyklu

Kilka dni po spotkaniu z venatorami Jack wrócił z wyprawy rozpoznawczej, przynosząc niepokojące wiadomości. Alastaira Robertsona, zausznika, który przekazał mu informacje o świętej kobiecie, mogącej być Katarzyną ze Sieny, znaleziono martwego w jego domu. Policja czerwonokrwistych była przekonana, że zginął przypadkiem, zaskoczywszy włamywaczy. Jack miał co do tego wątpliwości. W okolicy grasował przecież nefilim i Zgromadzenie było w rozsypce. Przyłączył się do braci Lennox, którzy wybierali się na Gezire, wyspę na Nilu, ponieważ na miejscu zbrodni znaleziono czerwoną glinę z północnego brzegu rzeki.

Schuyler została więc sama w pokoju hotelowym, gdy nagle wpadła Dehua Chen. Była wyraźnie zdenerwowana, miała ro-zerwany rękaw bluzki i zadrapania na twarzy.

- Co się stało? - spytała Schuyler, zrywając się z miejsca i się-gając po miecz.

- Kairski Dom Cyklu został zaatakowany. Ten nefilim, który uciekł, wrócił z pomocnikami - wysapała. - Chłopcy nie zdążą wrócić na czas. Deming z nimi

walczy, ale mają przewagę liczebną. Przybyłam tu tak szybko, jak mogłam. Musisz nam pomóc.

Schuyler podążyła za nią krętymi ulicami Kairu, wykorzystując nadludzką prędkość, która zmieniła obie w czarno-srebrną plamę. Dom Cyklu mieścił się w cytadeli, zabytkowym kompleksie budynków usytuowanym na skałach, na wschodnim krańcu miasta. Zbudowana w XII wieku przez sułtana Saladyna warownia miała chronić przed krzyżowcami. Skoro nefilimowie chcieli dopaść przechowywane tam nienarodzone dusze błękitnokrwistych, to sprawa była bardzo poważna. Jeżeli je zniszczą, nie będzie nowych członków Zgromadzenia.

Dehua poprowadziła Schuyler ścieżkami, które wiodły do ukrytych komnat. Wyjaśniła, że otrzymały rozpaczliwy sygnał od Strażników z cytadeli. Kiedy przybyły na miejsce, błękitnokrwistcy pracujący w Domu Kronik byli już martwi, a grupa egipskich venatorów walczyła z chmurą nefilimów. Demony miały w rękach pochodnie z czarnym ogniem, ale jak dotąd nie zdołały się przebić do pomieszczenia, gdzie przechowywano urny z krwią nienarodzonych.

Było strasznie gorąco i hol wypełniał czarny dym. Dehua wpadła do przedpokoju.

- O nie! - krzyknęła, gdy przechodziły z Schuyler nad martwymi venatorami, których ciała pocięto na kawałki lub pozbawiono głów, a oczy wydłubano lub spalono. Drzwi do pomieszczenia z urnami zostały wyważone i Schuyler obawiała się,

że przybyły za późno, by kogokolwiek uratować, nie mówiąc już o nich samych.

Deming otaczał krąg demonów o ludzkich kształtach. Odpierała ich atak, ale podchodzili coraz bliżej. Pod pachą trzymała złotą urnę, a w drugiej ręce miecz, którym zadawała ciosy.

- Nexi infidelis! - wołała. Śmierć niewiernym! Śmierć zdrajcom!

Ryk wściekłości demonów wypełnił zadymioną komnatę. Było ich dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu i zaatakowali Deming z furją niczym rój karaluchów. Po chwili Schuyler widziała jedynie złoty miecz dzielnej chińskiej venatorki.

- Jest ich zbyt dużo! - krzyknęła Dehua, padając na kolana. - Nie damy rady. Deming! - zawołała z rozpaczą w głosie.

Schuyler zachowała zimną krew.

- Weź się w garść - powiedziała. Bardzo chciała, żeby tu był Jack, ale skoro go nie ma, musi być dzielna za wszystkich. Abbadon nie pozwoliłby zniszczyć nienarodzonych błękitnokrwistych, prędzej zginąłby w ich obronie, więc ona też tak postąpi.

Miały niewiele czasu, bo czarny dym wypełniał pomieszczenie i Schuyler musiała mrużyć oczy, żeby coś zobaczyć. Starła się nie oddychać. Musiały jak najprędzej się stąd wydostać. Nie miała wprawy w posługiwaniu się mieczem, ale była lekka, szybka i razem z Dehuą mogły zaskoczyć wroga.

- Idź tamtędy, ja zaatakuję od przodu.

Zaskoczona venatorka kiwnęła głową, otarła łzy i wyciągnęła miecz z pochwy. Rozdzieliły się i zajęły pozycje. Schuyler wzniosła miecz Gabrieli i ruszyła do ataku.

- Śmierć! Śmierć! Śmierć zdrajcom!

Dehua również wydała okrzyk bitewny błękitnokrwistych. Były aniołami i wojowniczkami, jeżeli zginą, to w walce. Nie miały innego wyjścia. Rozdając potężne ciosy, zaczęły wyrąbywać sobie drogę w czarnym, falującym tłumie.

CZTERNAŚCIE

## Sobowtóry

Mimi zrzuciła z nóg sandały i spacerowała po plaży wśród gości weselnych. Przyjemnie było czuć piasek pod stopami. Nie miała pojęcia, gdzie zniknął Oliver. Powinna go poszukać, zanim wpakuje się w kłopoty. Wyglądało na to, że trafili na bardzo miłe przyjęcie weselne. Było to dziwne miejsce, biorąc pod uwagę cel ich poszukiwań, ale gdy zauważyła zmierzającego ku niej ciemnowłosego mężczyznę w eleganckim lnianym garniturze, zrozumiała nagle, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mimi - powiedział mężczyzna z szelmowskim uśmiechem, który tak dobrze znała.

Serce podskoczyło jej z radości. Wróciło dawne uczucie, lecz po chwili zbladło, gdy spojrzała mu w oczy.

- Nie nabierzesz mnie. Wiem, co jest grane. Nie jesteś nim - odpowiedziała beznamiętnym głosem.

Jej słowa brzmiały pewnie, lecz miała wątpliwości, ponieważ był to doskonały sobowtór. Stojący przed nią chłopak miał czar-

ne włosy Kingsleya i jego ciemne oczy z charakterystycznym fi-glarnym błyskiem. Nawet pachniał jak on - papierosami i whisky, palonym

cukrem i kawą. Ta kombinacja sprawiła, że serce zabiło jej szybciej. Z bólem uświadomiła sobie, od jak dawna nie widziała prawdziwego Kingsleya. Tak dawno nie trzymał jej w ramionach, tak dawno nie słyszała jego żartów i komplementów, wywołujących uśmiech na jej twarzy.

- Skąd wiesz? Przyjechałaś, by mnie stąd wyciągnąć. No to jestem - powiedział z tak dobrze jej znanym, kpiącym uśmiechem.

- Zapominasz, skąd jestem? Nie nabierzesz mnie na takie sztuczki.

-Jeśli mówimy o sztuczkiach, to wiem, jak uwielbiałaś nasze małe gierki - powiedział, biorąc ją za rękę i gładząc dłoń. Gdy jej dotknął, ujrzała w pamięci obraz: szlafrok opadający na podłogę, jego kły wbijające się w jej szyję, jego ciało, szczupłe i umięśnione, na jej ciele.

Pokręciła głową.

- Nie przyszedłem tu po jakiegoś sobowtóra - warknęła. Nie-Kingsley mrugnął do niej.

- Jak chcesz. Ale nie będziesz mogła zejść niżej bez twojego przyjaciela. Jestem niemal pewny, że już jest nasz - powiedział, wskazując na taras, gdzie Oliver całował się z dziewczyną, która nie była Schuyler.



- Och, tego już za wiele!

Cisnęła kieliszek na ziemię i pomaszerowała, by powiedzieć swojemu zausznikowi kilka słów do słuchu.

- Oliverze Hazard-Perry! - ryknęła, wstydząc się za niego. Oliver i nie-Schuyler siedzieli na sofie, ciasno objęci, o krok od stadium „chodźmy do pokoju”. Gdyby Mimi nie wiedziała, mogłaby przysiąc, że zjawa za chwilę zatopi kły w szyi Olivera. - Musimy ruszać, chłopie - powiedziała, potrząsając nim.

Oliver otworzył oczy. Wyglądał na zamroczonego i oszołomionego, jakby Mimi obudziła go z cudownego snu. Pokręcił wolno głową.

- Nie mogę, żenię się.

- Ta dziewczyna nie jest tym, za kogo ją bierzesz. Przecież wiesz, nie jesteś idiotą - warknęła Mimi.

- Ona nie wie, co mówi. Nigdy nie wiedziała - wtrąciła nie-Schuyler z pogardliwym ruchem głowy. - Zostań tu i zestarzej się ze mną, Ollie. Zawsze o tym marzyliśmy.

- Puść go, syreno - powiedziała Mimi.

- Nie słuchaj tej suki. Wiem, że jej nienawidzisz. Zawsze jej nienawidziliśmy.

Oliver westchnął ciężko i odepchnął dziewczynę.

- Nie, to nieprawda. Nie nienawidziliśmy Mimi. Może trochę się jej baliśmy, trochę onieśmielała nas, wiem też, że jej współczułaś, ale nie nienawidziliśmy jej. - Odwrócił się do Mimi. - Nie nienawidziliśmy cię, Mimi. Schuyler nie czuje do ciebie nienawiści.

Mimi kiwnęła głową, pomagając mu wstać z sofy.

- Wiem. Dlatego to coś sprowokowałam. Pomyślałam, że najlepiej będzie, gdy powie coś, czego Schuyler nigdy by nie powiedziała. Chodźmy.

Sobowtór rzucił Oliverowi piorunujące spojrzenie.

- Ośmielasz się sprzeciwiać syrenie?

- Tak - odpowiedział zdecydowanym głosem. Syrena zaskrzeczała i wbiła Oliverowi pazury w ramię.

- Puść go! - ryknęła Mimi, gdy Oliver usiłował się wyswobodzić i zbladł, widząc, jak ukochana Schuyler zmienia się w potwora.

Syrena wydała z siebie gniewny pisk.

Mimi wyjęła ze stanika igłę, która po chwili stała się mieczem, i zamierzyła się na nią. Syrena syknęła i plunęła kwasem, ale cofnęła się na widok ostrza i gdy Mimi przyłożyła je diablicy do gardła, puściła Olivera i rozplynęła się w srebrnej mgłę. W tej samej chwili

niebo pociemniało, z oddali dobiegł grzmot, błysnęło i lunął rzęsy deszcz. Krajobraz zniknął w mroku.

Oliver i Mimi pobiegli wśród rozpierzchającego się tłumy do zaparkowanego przed wejściem mustanga. Mimi pospiesznie rozwinęła dach, zanim zdążyli kompletnie zmoknąć.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Wiem, że to było trudne - dodała, ruszając z parkingu. To dopiero pierwsza próba, pierwsza pokusa. Wiedziała, że nie będzie łatwo i że Helda tak łatwo nie odda Kingsleya.

Oliver potarł ramię w miejscu, gdzie diablica wbiła pazury. Zaczął sobie uświadamiać, że chyba porwał się z motyką na słońce, wyruszając w tę podróż do świata podziemnego. Ale odetchnął z ulgą, widząc, że znowu mają na sobie własne ubrania. Ohydny miraż z weselem dobiegł końca.

- Gdzie byłaś?

- Usiłowali mnie skusić jakąś fałszywą wersją Kingsleya.

- Dlaczego tobie się udało, a mnie nie? Chwilę się nad tym zastanawiała.

- Bo tu się urodziłam. Aniołowie Ciemności powstałi z tej samej gliny co świat podziemny. Wiedziałam, że to

podstęp. Znam ich sztuczki, co daje mi przewagę. -  
Były też inne znaki. Prawdziwy Kingsley był zawsze  
nieogolony, a ten na weselu miał skórę gładką i miękką  
w dotyku. Zbyt miękką. Kingsley był jak skrzący się  
nóż z diamentowym ostrzem, a skórę miał szorstką  
niczym papier ścierny. Mimo to nie było łatwo oprzeć  
się pokusie. Gdy zobaczyła sobowtóra pod drzewami,  
była przekonana, że ukochany wreszcie do niej wrócił.

- Przepraszam - powiedział Oliver schrypniętym  
głosem. - Na chwilę zapomniałem, gdzie jestem. To się  
więcej nie powtórzy.

- Dobrze, bo na pewno nie chciałbyś tu zostać. Poza tym  
ona nie jest tego warta. Zostawiła cię.

Mimi nie chciała być nieuprzejma, po prostu  
stwierdziła fakt. Z drugiej strony Schuyler i Jack byli  
siebie warci, oboje okazali się nielojalni i nędzni.

Oliver postanowił zignorować jej uwagę i zmienił  
temat.

- A co by się stało, gdybym został z... tym czymś? -  
spytał.

- Nie wiem, ale na pewno nie byłoby przyjemnie.

Mógł to sobie wyobrazić. Poślubiłby syrenę, wierząc, że  
resztę życia spędzi u boku Schuyler. Stopniowo iluzja

zaczęłyby blednąć, może nie tak szybko jak dzisiaj, ale jednak. W końcu zjawie znudziłaby się mistyfikacja i pokazałaby prawdziwe oblicze.

Odkryłby, że ożenił się z potworem, że związał się z istotą bez duszy, która dzień i noc będzie z niego drwiła i naśmiewała się z jego nieszczęsnej miłości. Całe szczęście, że Mimi w porę mu przeszkodziła.

Poza tym nie chciał myśleć o Schuyler. Nie chciał przyznać, że chociaż wyleczono go ze skutków świętego pocałunku, nadal ją kochał. Kochał ją jeszcze, zanim wypita jego krew. Ta miłość

zawsze będzie jego częścią, czy był familiantem, czy nie. Starał

się pielęgnować w sobie wspomnienie szczęścia, jakie ogarnęło go w dniu ślubu Schuyler, bo czuł się wtedy silny, dzielny i wielkoduszny. Potrafił szczerze cieszyć się szczęściem przyja-

ciółki, a ten sobowtór pozbawił go tego uczucia. Nie był z siebie dumny i nienawidził się za to, że uległ mrocznym fantazjom. Przecież oddał Schuyler Jackowi i uścisnął mu dłoń. Czuł się tak, jakby zdradził wszystkich, pozwalając, by zawładnęło nim głęboko skrywane pożądanie. Gorzej, zdradził samego siebie.

- Nie musisz przeproszać ani się tłumaczyć -  
powiedziała ciepło Mimi. - Ta próba była okrutna. -  
Starła się nie myśleć o nim źle, skoro zamierzała go tu  
zostawić. Przecież będzie musiał tu żyć przez całą  
wieczność.

- To już nie ma znaczenia - odpowiedział, wznosząc  
ramionami. - Znajdźmy Kingsleya i wynośmy się stąd.  
Piekło nie jest takie zabawne, jak myślałem.

## PIĘTNAŚCIE

Brylant Bendixa

Gigantyczne sekwoje były cudownymi, pięknymi,  
majestatycznymi

żywym istotami, które zaszczyliły ziemię swoją  
obecności. Allegra pamiętała, kiedy je zasadzono. Raz  
na kilka wcieleń spoglądała na nie i chłoneła ich zapach,  
przypominający zapach Raju. Dlatego Bar Sekwojowy  
należał do jej ulubionych miejsc w San Francisco. Z  
zadowoleniem stwierdziła, że pozostał taki jak dawniej,  
przestronny, z długim, ogromnym barem. Legenda  
głosiła, że zrobiono go z pnia sekwoi. Przetrwał wielu  
właścicieli, a odkąd stał się częścią hotelu Clift,  
uchodził za modny i nowoczesny. Dlatego Charles  
nigdy nie przekroczył jego progu. Jej brat był  
zatwardziałym tradycjonalistą i nie cierpiał takich

rzeczy, jak plastikowe meble w stylu Ludwika XIV, którymi urządzono Bar Sekwojowy.

Zastała Bena przy stoliku w końcu sali i z pewnym zakłopotaniem wsunęła się na kanapę. Dwa razy uciekła przed nim i dwa razy wróciła.

- Przepraszam za dziś rano. Nie chciałam tak szybko uciekać - powiedziała.

- Wygląda na to, że tak na ciebie działałam - stwierdził z roz-bawieniem w głosie. Najwyraźniej odzyskał dawną pewność sie-bie. - Czego się napijesz? - spytał.

- Martini.

- Stara szkoła. - Uśmiechnął się, przywołał kelnerkę i złożył zamówienie.

Popatrzyli na siebie. Zapadła krępująca cisza, którą w końcu przerwała Allegra. -Ben...

- Zaczekaj. Zanim coś powiesz, pozwól mi wyjaśnić. Chciałem, żebyś zobaczyła te obrazy, bo wiązały się z tobą. Ale nama-lowiałem je przed laty, tuż po tym, jak mnie zostawiłaś.

Pochylił się i chciał mówić dalej, lecz w tym momencie do stolika podeszła dziewczyna. Była to piękna brunetka z galerii.

- Cześć, kochanie - powiedziała, całując Bena w usta. Uśmiechnęła się do Allegry.

- Allegro, to jest Renny. Renny, poznałaś już Allegrę - odezwał się Ben, unosząc brwi.

- Renny i Benny - zachichotała Renny. - Miło cię znowu widzieć. Ben uprzedził, że przyjdiesz. Trzeba mi było powiedzieć, że jesteś jego starą znajomą, gdy kupowałaś obraz. - Uśmiechnęła się promiennie i położyła rękę na ramieniu Bena.

Allegra nie przestawała się uśmiechać i kiwać głową, bo nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Odetchnęła z ulgą, gdy Renny przeprosiła i poszła porozmawiać ze znajomymi.

Odprowadzili ją wzrokiem, a potem Ben ponownie spojrzął na Allegrę.

- Nie chciałem, żebyś źle mnie zrozumiała. Renny nie widziała tych obrazów. Matka kazała mi je schować, ale ja chciałem ci je pokazać. Musiałem ci je pokazać. Ale jak już mówiłem, nama-lowiałem je tuż po ukończeniu Endicott, po twoim zniknięciu.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy. - Zbył jej przeprosiny machnięciem ręki.



- Zmieniłaś mnie. Czułem to. Czasami budziłem się i... tak bardzo cię potrzebowałem. Ale potem zacząłem malować i z czasem było już lepiej.

- I teraz jest w porządku - powiedziała uszczęśliwiona.

- Tak. - Popatrzył na nią. - Nie chciałem, żebyś wróciła do Nowego Jorku, martwiąc się o mnie. Chciałem, żebyś wiedziała, że przeszedłem przez piekło, ale przetrwałem. - Zaczerwienił się.

- Przepraszam za ten melodramatyczny ton, ale właśnie dlatego zaprosiłem cię do pracowni. Chciałem pokazać ci te obrazy.

Allegra uśmiechnęła się szeroko.

- Bardzo się cieszę. To wspaniała dziewczyna.

- Tak. I bardzo mądra. Ściąga mnie na ziemię. - Odchrząknął. - Na wiosnę bierzemy ślub.

Allegra kiwnęła głową i pociągnęła łyk martini, czując, jak zimny napój spływa jej do gardła. Nie mogła być zazdrosna, skoro ona i Charles mieli wkrótce odnowić więź.

- Pomyślałem, że nie ma na co czekać. Skoro spotykasz osobę, z którą zamierzasz spędzić resztę życia, to po co zwlekać?

Westchnął. - Renny jest dla mnie dobra.

- A twoi rodzice? - Musiała o to zapytać. Czy lubią ją? Czy twoja matka wolałaby, żebym to była ja?

Ben uśmiechnął się.

- Matka nie jest zachwycona. Uważa, że powinienem poczekać.

Allegra starała się ukryć, że podziela opinię pani Chase. Rze-czywiście, wyglądało, jakby Ben się spieszył. Z jakiego powodu?

- Ale ja nie chcę.

- To dobrze. - Allegra dopiła drinka. - Bardzo się cieszę. Cieszę się za was oboje.

Renny wróciła do stolika i usiadła obok Bena.

- Coś opuściłam?

- Gratulacje. Ben właśnie mi powiedział.

Allegra uśmiechnęła się, gdy Ben pocałował narzeczoną w rękę. Zauważyła brylant wielkości meteoru na palcu dziewczyny. Renny zaśmiała się i machnęła ręką, rozsyłając po sali smugi światła.

- Trochę za duży, prawda? - powiedziała konspiracyjnym tonem. - Mówiłam Benowi, że nie potrzebuję pierścionka, ale on się uparł. To rodzinny

brylant. Sam Alfred Van Cleef zrobił go dla prababki Bena.

- Jest piękny. - Allegra przywołała kelnerkę. - Poproszę butelkę najlepszego szampana. Musimy to oblać.

Ben wyglądał na zadowolonego i speszonego, a Renny pro-mieniała. Kelnerka postawiła na środku stolika butelkę szampana w srebrnym kubelku, a Ben otworzył ją i rozlał do kieliszków pienisty płyn. Szampan był wyborny, orzeźwiająco chłodny,

cierpki i pachnący. Allegra nie miała pojęcia, jak zdołała utrzymać uśmiech na twarzy przez cały wieczór. Zamawiała kolejne butelki szampana ze świadomością, że jej wampirza krew jest odporna na działanie alkoholu. Poczwała lekką satysfakcję, gdy Renny po kilku kieliszkach zaczęła narzekać, że kręci jej się w głowie.

Gdy szczęśliwa para czuliła się do siebie, Allegra postanowiła, że jutro rano skorzysta z usługi zauszników. Charles jak zwykle miał rację. Nie mogła zrozumieć, dlaczego pięć lat zajęło jej uświadomienie sobie tego, ale nadszedł czas, by zrobić następny krok. Ben zrobił.

SZESNAŚCIE

Woda święcona

Male demony miały szkarłatne oczy ze srebrnymi źrenicami i gdy syczały, wysuwały rozwidlone języki. Rozstały się, gdy Schuyler i Dehua je zaatakowały. Schuyler zrozumiała dlaczego, gdy tylko dotknęła ręki Deming.

Deming okazała się sobowtórem, który rozpułynał się we mgle. To była pułapka. W jednej chwili otoczyły je demony. Gdy usłyszały krzyk z końca sali, zobaczyły prawdziwą Deming przywiązaną do kolumny, a płomienie czarnego ognia lizały jej stopy.

- Nie! - krzyknęła Dehua, biegnąc na ratunek. Ale wkrótce i ona zniknęła pod ciosami napierających wrogów.

Schuyler zamachnęła się mieczem i natrafiła na ciężki stalowy topór demona. Potwór zarechotał szkaradnie i uderzył. Schuyler poczuła lodowaty, ostry ból, gdy ostrze topora trafiło ją w sam środek klatki piersiowej.

Nefilim ponownie wzniósł śmiercionośną broń, by dobić przeciwnika, gdy nagle błyszczący czystym niebiańskim światłem

miecz przeciął ją zręcznie na pół. Wreszcie jakaś pomoc. Nowy venator szybko rozprawił się z demonami i wkrótce komnatę wypełnił zapach śmierci i krwi. Nefilimowie uciekli w panice. Zakrwawiona i

poraniona, ale żywa Dehua podbiegła do siostry, by ją rozwiązać.

- Ile straciliśmy? - spytał bliźniaczki nieznajomy wybawiciel. Był wysoki, ciemnowłosy, o klasycznie pięknej twarzy, z dołkiem w podbródku i marzycielskim, łagodnym spojrzeniem głęboko osadzonych oczu.

Deming pokręciła głową.

- Spalili wszystko. Udało mi się uratować tylko jedną - od-powiedziała, wyjmując z torby małą złotą urnę.

- Regent Zgromadzenia Kairskiego płynie feluką do kryjówki w Luksorze - powiedział nieznajomy. - Spróbujcie dotrzeć nad rzekę i oddać mu to.

Venatorki kiwnęły głowami i wyszły, aby dostarczyć ocalałą urnę z próbkami krwi.

Leżąca na podłodze Schuyler jęknęła. Czubek topora nefilima był zatruty czarnym ogniem i rana na piersi piekła pulsującym bólem, krwawiąc obficie pod bluzką.

- Bardzo boli? - spytał przystojny venator, klękając przy niej. - Twoja krew jest czerwona. Jesteś dimidium cognatus, córka Gabrieli - powiedział beznamiętnym głosem, bez cienia pretensji.

-Tak.

- Gdzie zostałaś ranna?

Uniosła bluzkę. Tuż obok serca widniała głęboka, brzydka rana.

- Masz szczęście - powiedział, przyciskając palce do rany. - Kilka centymetrów w prawo i trucizna dotarłaby do serca. Nie przeżyłabyś. Mimo to musimy szybko działać.

Popatrzył na nią życzliwie. Miał delikatne dłonie, ale oczy Schuyler wypełniły się łzami, gdy opatrywał ranę. Wyjął małą butelkę ze złotym krzyżem.

- Jesteś uzdrowicielem - powiedziała z trudem Schuyler. Venatorzy mieli różne specjalności: byli śledczymi, uzdrowicie-lami, wojownikami i dowódcami.

Kiwnął głową i nalał na ranę kilka kropli. Schuyler musiała ugryźć się w rękę, żeby nie krzyczeć. Miała wrażenie, jakby lał kwas na ranę. Powoli ból słabł, woda zneutralizowała truciznę i rana zaczęła się zasklepiać, aż pozostała jedynie mała blizna.

- Niestety, zostanie ci ten ślad - powiedział uzdrowiciel. -Ale mogło być gorzej. - Podał jej buteleczkę. - Wypij kilka kropli, oczyszczą twój organizm z trucizny. To woda święcona.

Schuyler wypła łyk.

- To chyba nie jest woda, jaką mają w kościołach.
- Nie. - Uśmiechnął się. - Czerwonokrwieści... -  
Wzruszył ramionami. - To woda z fontanny - wyjaśnił.
- Z rajszych ogrodów.

Schuyler nigdy nie piła tak czystej wody. Czuła, jak wracają jej siły.

Obciągnęła bluzkę i usiadła.

- Dziękuję.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Proszę bardzo. Venatorzy powiedzieli mi, że przyjechałaś do Kairu szukać Katarzyny ze Sieny.

- Tak. Wiesz coś o Katarzynie?

- Niestety, też jej szukam. - Wyciągnął rękę. - Gdzie moje maniery? W tej części świata jestem znany jako Mahrus Abdel Massi. Mieszkam teraz w Jordanii, ale kiedyś byłem uzdrowicielem w Rzymie. Katarzyna ze Sieny jest moją siostrą.

## SIEDEMNAŚCIE

Demon pychy

Deszcz wciąż padał i od kilku godzin jechali pod zasnutym czarnymi chmurami niebem. Droga zmieniła się, nie byli już sami, ruch odbywał się w różnych

kierunkach. Oliver zastanawiał się, dokąd jadą. Nie byli już w fałszywym Nantucket ani w żadnym miejscu przypominającym wschodnie wybrzeże Stanów. Deszcz lał strumieniami i spływał po autostradach. Nagle przestało padać, a dwupasmowa autostrada zmieniła się w ośmiopasmówkę z estakadami biegnącymi w różnych kierunkach.

Mimi spojrzała na migający znak z napisem: „Skręć w następny zjazd”.

- To chyba informacja dla nas - powiedziała, dodając gazu po skręcie w prawo.

Znaleźli się na bulwarze pełnym drapaczy chmur, a parkingowy w błyszczącej kurtce dał znak, żeby wjechała na podjazd przed najwyższym i najbardziej lśniącym z wieżowców w okolicy. Na parkingu stał rząd drogich i rzadkich europejskich aut.

- Tutaj - powiedział parkingowy, wskazując na szklane drzwi. - Oczekują was.

- Pomyliłaś się, jednak mają w Piekło parkingowych - zażartował Oliver. Zauważył, że parkingowy ma na szyi srebrną obrozę. A więc trolle zajmowały się tu organizacją. Pilnowały, żeby pociągi przyjeżdżały na czas, a kolacja się nie spóźniała. Byli niewolnikami świata podziemnego.



Oliver podrapał się po twarzy, wyczuwając zarost na brodzie. Przechodząc przez szklane drzwi, popatrzył na swoje odbicie. Miał na sobie flanelową koszulę, beret, gogle, skate'owskie dżinsowe spodnie i drogie tenisówki.

- Wyglądam jak idiota - stwierdził.

- Przestań marudzić - odparła Mimi, wydymając wargi przed szybą. Tym razem miała na sobie modny strój: obcisłe dżinsy, szpilki, luźny czarny sweterek, okulary przeciwsłoneczne na głowie i drogą torbę na ramieniu.

Za szklanymi drzwiami był marmurowy hall. Mimi podeszła do windy i wcisnęła guzik. Gdy drzwi się otworzyły, znaleźli się w kolejnym sztywnym, eleganckim holu. Wszystko zostało tu zaprojektowane tak, by onieśmielać i wprawiać w zakłopotanie, by ktoś, kto tu wejdzie, poczuł się mały, niskiego stanu i nie dość piękny.

Podeszli do recepcji, gdzie trzy przystojne trollice ze słuchawkami na uszach przyjmowały rozmowy.

Słuchawki były srebrne i łączyły się z obrożami na szyi. Śladów krwi nie było widać.

- Słucham? - powiedziała jedna z trollic i uśmiechnęła się do nich.

- Mimi Force i eee... Oliver Hazard-Perry. Jesteśmy umówieni - powiedziała Mimi.

- Proszę usiąść, dam mu znać, że przyszliście.

Podeszli do niewygodnej, ale eleganckiej kanapy. Po chwili zjawiała się jeszcze jedna piękna dziewczyna-troll w niebywale szykownej garsonce. Jej srebrna obroża miała kształt kołnierza i Oliver mógłby przysiąc, że mieni się brylantami.

- Mimi, Oliverze, czy mogę wam coś podać? - spytała. - Wodę, kawę, mrożoną herbatę?

Mimi pokręciła głową. -Nie.

- Ja też dziękuję - odpowiedział Oliver. Gdy dziewczyna odeszła, odwrócił się do Mimi. - O co tu chodzi? Gdzie jesteśmy?

- Przypuszczam, że Helda chce złożyć mi propozycję - odparła Mimi. Była to kolejna pokusa, kolejna przeszkoda, mająca utrudnić jej osiągnięcie celu.

Gdy Mimi to powiedziała, nagle wszystko stało się jasne. Skoro Helda chciała złożyć Mimi propozycję, otoczenie musiało wy-głądać jak elegancka agencja hollywoodzka.

Czekali godzinę. Asystentki kręciły się nieustannie i przynosiły napoje, chociaż wcale ich nie zamawiali.

Olivera swędziała skóra, bo materiał dzinsów był szorstki.

- Jak długo będziemy tu czekać? - Miał nadzieję, że krócej niż podróż przez Czyściec.

- Trudno przewidzieć - odparła Mimi z rozdrażnieniem. W końcu pojawiła się asystentka, ale tym razem nie spytała,

czy się czegoś napiją.

- Zapraszam - powiedziała z przyjaznym uśmiechem jak stewardesa czy kelnerka.

- Poczekaj tu. I nie pij tego - ostrzegła Mimi.

Oliver wypluł kawę, a Mimi podążyła za asystentką do dużego gabinetu z efektownym widokiem na zielone wzgórze i pokryte hiszpańskimi dachówkami szczyty domów.

Demon siedzący za biurkiem był odwrócony tyłem i trzymał nogi na poręczach fotela. Odwrócił się do Mimi i mrugnął do niej.

- Jest teraz u mnie. Dobrze, powiem jej. Świetnie. Umówimy się na lunch. Jest taka nowa restauracja, o której wszyscy mówią. Trudno tam zarezerwować stolik, ale znam właściciela. Dobrze. Do widzenia. Później pogadamy. - Zdjął słuchawkę i powitał Mimi

chytrym uśmieszkiem. Miał lśniące czarne włosy, błyszczący garnitur i był przystojny w sposób charakterystyczny dla mężczyzn mających władzę. Otaczała go aura pewności siebie, bogactwa i bezwzględności. Srebrne spinki do mankietów błysnęły w słońcu. - Azrael! Co za widok! Kopę lat, mała - powiedział, wstając i obejmując Mimi.

- Widzę, Mamonie, że zmieniłeś wystrój wnętrza - stwierdziła Mimi.

- Podoba ci się? Jest bardzo modny. Tak w każdym razie twierdzi mój piekielnie drogi dekorator. - Uśmiechnął się szeroko. - Jak leci? Słyszałem, że nie za dobrze. Michał i Gabriela zniknęli, Zgromadzenia schodzą do podziemi itepe, itede.

- Nie wiedziałam, że się tym przejmujesz. Plotki to chyba nie twoja specjalność.

- Lubię trzymać rękę na pulsie, czyli na suficie. - Uśmiechnął się. - Jak tam podróż?

- Męcząca.

- Nie narzekaj - odpowiedział, przerzucając papiery na biurku. - A czego się spodziewałaś, czerwonego dywanu?

- Czego chcesz, demonie? - spytała ze złością Mimi. -  
Dlaczego tu jestem? Muszę dotrzeć do siódmego kręgu,  
a ty mnie powstrzymujesz. Nie podoba mi się to.

- No dobra. Nie gorączkuj się tak. Ściągnąłem cię tu, bo  
Helda chce złożyć ci propozycję. I zanim odmówisz,  
wysłuchaj mnie.

Mimi uniosła brwi.

- Interesuje mnie tylko wyciągnięcie stąd Kingsleya.  
Mamon pokiwał palcem.

- Wiesz, że to niemożliwe. Ale mamy dla ciebie coś  
lepszego. Tytuł Regisa Zgromadzenia.

- Już jestem Regentką - odpowiedziała. - W zeszłym  
roku zaproponowali mi kierownictwo, ale się nie  
zgodziłam. - Zało-żyła niecierpliwie nogę na nogę.

- Tak, ale nie ponowili propozycji. A teraz postawiłaś  
ich pod ścianą, zabierając klucz. Jeżeli zrobimy cię  
Regisem, jedno twoje słowo zwiąże im ręce i nawet nie  
będziesz potrzebować Repozytorium. Będziesz ich  
miała w garści.

Mimi wzruszyła ramionami.

- Wiem, co czułaś przez te wszystkie lata. Od początku  
ci nie ufali, od kiedy ich zdradziłaś. Trudziłaś się dla

tych Bez Skazy i po co? Nadal uważają cię za jedną z nas. Ale skoro Mi-

chał przepadł, a Gabriela nie wiadomo, gdzie jest, to gdybyś została Regisem, zdobyłabyś szacunek i władzę, jakiej od dawna pragnęłaś. Możesz poprowadzić przeklętych, możesz zostać ich królową. Z tobą przy sterze nikt już nie będzie pamiętał o Gabrieli. Kto to jest ta Gabriela? Dziwka, która zaszła w ciążę zbyt wiele razy.

Nie chciała okazać, że się z nim zgadza, nawet jeżeli tak było. Musiała skupić się na tym, po co tu przybyła. Tamta sprawa nie miała teraz znaczenia.

- Co jeszcze mi proponujesz? Mamon zmarszczył brwi.

- To nie wystarczy?

- Ani trochę.

Przystojny diabeł spojrzał na nią bystro.

- No dobrze. Co powiesz na martwego brata?

- Możecie sprowadzić Jacka? - spytała Mimi, nie mogąc ukryć podniecenia.

- Abbadona? Jasne. Bułka z masłem. Wyślemy za nim nasze najlepsze wilki. Dopadną go. - Uśmiechnął się,

pokazując ostre jak szpilki zęby, które błysnęły w słońcu. - Zerwał się z fotela.

Mimi zadrżała. Siła i okrucieństwo sfory były mityczne.

- Chodź, wybierz się ze mną w podróż - powiedział i wziął ją za rękę.

Gdy Mimi otworzyła oczy, stała sama przed ołtarzem. Po-przedniego dnia miała się odbyć uroczystość odnowienia więzi z Jackiem, ale on ją zostawił i pojechał do Florencji z Schuyler.

Mimi czekała, by spełnić swój obowiązek, ale on się nie pojawił. Dawny gniew i nienawiść znowu dały o sobie znać. Jack był z tą półkrewką, tą Obrzydliwością, gdy ona stała sama przed ołta-rzem. Zabawne, że Schuyler nie czuła do niej nienawiści, ale ona nie była taka wspaniałomyślna. Nienawidziła Schuyler całą swoją nieśmiertelną duszą. Nienawidziła jej za to, co zrobiła. To przez nią Abbadon zerwał więź i przez nią zapomniał o Kodeksie. Bez obu tych rzeczy wampiry były niczym. Nikt nie był tego wart. Żadna miłość nie była tego warta. Schuyler miała na swoich rękach krew aniołów. Córka Allegry miała ponoć uratować błękitnokrwistych. Akurat.

- Śmiali się z ciebie, wiesz? - szepnął jej Mamon na ucho. - Gdy się dowiedzieli, że Abbadon cię zostawił.

Nic dziwnego, że ją porzucił, mówili. Kto by kochał Azraela? Abbadon kochał Gabrieleę, przecież zawsze miał słabość do Światła. Oni nadal się śmieją za twoimi plecami. Nazywają cię Azrael Odrzucona.

Mimi zamknęła oczy. Poczowała łzy pod powiekami i wściekłość. Wiedziała, że każde słowo demona jest prawdą. Oczywiście, nie ona pierwsza została upokorzona, nawet najwspanialszy anioł pośród nich tego doświadczył, ale Mimi nie była w tym cyklu i nie widziała tego. Wiedziała jedynie, co czuła - przyprawiający o mdłości wstyd i upokorzenie.

- Helda może to zmienić.

Gdy znowu otworzyła oczy, Jack leżał przed nią na ziemi. Jego miecz był złamany, a on patrzył na nią ze strachem w oczach. Uniosła miecz i bez wahania wbiła go w sam środek piersi brata, prosto w serce, tak głęboko, że przecięła go na pół. Zar mie-

cza sprawił, że jego ciało stanęło w ogniu. Poczowała krew brata na twarzy, poczuła żar czarnych płomieni. Jacka już nie było. Jej radość była mroczna, głęboka i triumfalna.

- Mimi! Mimi!?! Co ty robisz? - Oliver podbiegł do niej z oczyma rozszerzonymi strachem i troską. - Mimi, przestań natychmiast! Nie chcesz tego zrobić!



Mimi stała nad martwym, przepołowionym ciałem Abbadona.

- Chcę! - zawyła. - On mnie zostawił. Byliśmy złączeni krwią przez całą wieczność, stworzeni z Ciemności i związani powin-nością. On musi umrzeć. - Wycelowała miecz w Olivera. - Nie powstrzymasz mnie.

- Nie chcesz tego zrobić, chcesz Kingsleya. Już zapomniałaś, że jesteśmy tu dla Kingsleya?

- Zdecyduj, Azraelu - zagrzmiął demon. - Powiedz słowo, a Abbadon będzie twój i to, co widziałaś, stanie się rzeczywi-stością.

Tak! Tak! Tak!

- Mimi, pomyśl o Kingsleyu.

Kingsley. Jeżeli przyjmie propozycję Mamona, nigdy do niego nie dotrze. Zdobędzie władzę, zemści się, ale straci miłość. Gdy wyschnie na jej twarzy krew, a miecz znowu błysnie czystością, nie będzie już miała po co żyć.

- Pamiętaj, po co przyjechaliśmy - powtórzył Oliver. - Przy-pomnij sobie, dlaczego tu jesteśmy.

- Powiedz słowo, a będzie twój. Jego śmierć okryje cię chwałą - szepnął Mamon.

Chwała. Zemsta. Krew. Śmiech za jej plecami ucichnie. Odzyska honor i dobre imię. Osiągnie swój cel i pokaże Abbadonowi, co się dzieje z tymi, którzy zrywają więź.

Kingsley...

Gdy pomyślała o Kingsleyu, nie czuła już gniewu i pasji. Przy-pomniał jej się jego uśmiech i głos. Nagle poczuła spokój, który pokonał gniew i pasję. Pomyślała o jego poświęceniu, o tym, co dla niej zrobił, dla nich wszystkich, dla Zgromadzenia. O jego słowach wypowiedzianych w dniu jej ślubu. „Wyjedź ze mną i przeżyj nową przygodę”.

Dla niego zeszła do Piekła. Nie opuści bez niego świata pod-ziemnego.

- Nic z tego - powiedziała zdecydowanie. - Zabierz mnie stąd.

W tej samej chwili wizja nabrała wyrazistości, jakby rozsunęła się ciężka aksamitna kurtyna, i znaleźli się w siódmym kręgu. Stali na szczycie wzgórza, patrząc na pnące się w górę miasto. Tartar. Stolica Piekła.

- Dziwne - powiedział Oliver. - Wygląda dokładnie jak Nowy Jork.

OSIEMNAŚCIE

Prawdy i kłamstwa

Upłynęło kilka miesięcy. Allegra wróciła do swojego życia w Nowym Jorku. Dostała portret z wesołą adnotacją od Renny. Jeszcze raz dziękuję za miły wieczór. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy. Allegra przedarła kartkę i schowała portret na strychu, zanim Charles zdążył ją o niego zapytać. Jesienny sezon towarzyski trwał w najlepsze i trzeba było zająć się obowiązkami: pracą charytatywną, doglądaniem renowacji domu na Upper East Side, przewodniczeniem różnym komitetom błękitnokrwistych. Wieczna rutyna, pomyślała Allegra. Większość obowiązków miała czysto reprezentacyjny charakter i niczym się nie różniła od błahych zajęć, jakimi zapełniały sobie czas bezmyślne panie ze świata czerwonekrywistych, zabawiające się w filantropię. Próbowwała wyrzucić Bendixa z pamięci i często jej się to udawało. Powinien żyć jak każdy człowiek, ożenić się, spłodzić dzieci i wieść szczęśliwe, spokojne życie. Nie potrzebował jej. Sprowadziłaby na niego tylko rozpacz i szaleństwo. Miał

szczęście, że okazał się na tyle silny, by wyzwolić się z roli familianta.

W ten rześki październikowy dzień Allegra wracała do domu z Repozytorium, gdy zauważyła wielką, białą furgonetkę blokującą wjazd w Sto Pierwszą Ulicę.

Wyglądała jak ambulans, ale nie miała wymalowanej nazwy szpitala czy kliniki. Ulica nie należała do zbyt ruchliwych, ale potrzebowała przejazdu w obie strony, toteż wokół samochodu zebrał się tłumek ciekawskich. Wyczuwali krew i nieszczęście i Allegra poczuła odrazę z powodu ich niezdrowej ciekawości. Nagle ogarnął ją też lekki niepokój. A jeżeli coś stało się z Charlesem lub Cordelią? Przepchnęła się przez tłum i weszła spieszenie do domu.

Niepotrzebnie się martwiła. Cordelia ustalała z personelem w kuchni menu kolacji, a Charles rozmawiał w gabinecie z For-sythem Llewellynem. Próbował namówić go do przeprowadzki do Nowego Jorku i wstąpienia do Rady. Forsyth nie należał do jej ulubieńców i wolałaby, żeby Charles mniej mu ufał. W spojrzeniu tego mężczyzny, gdy na nią patrzył, było coś nie-pokojącego. Jakby coś o niej wiedział, jakby znał jakieś mroczne tajemnice, których ona nie znała. Charles bardzo zaprzyjaźnił się z Forsythem w tym wcieleniu. Pamiętała, że ojciec nigdy go nie lubił i nie byłby z tego zadowolony.

Przerwali rozmowę, gdy weszła do gabinetu.

- Charles, co to za furgonetka stoi na ulicy? Blokuje wjazd. Już tłum zebrał się wokół niej.

- Forsyth, mógłbyś ją przestawić? - spytał Charles.

- Oczywiście - odparł Forsyth, zrywając się z krzesła.

Wygląda na zdenerwowanego, pomyślała Allegra.

Dlaczego?

- Co się stało? - spytała Charlesa, gdy Forsyth wyszedł.

- Zdarzył się wypadek - wyjaśnił Charles. - Ale nie musisz się tym martwić, kochanie.

Nie powiedział nic więcej, co zdenerwowało Allegrę.

- Znowu to samo, nie mówisz mi wszystkiego. Wiesz, że tego nie znoszę.

Spojrzał na nią urażony.

- Nie miałem takiego zamiaru. Tylko że...

Allegra zagryzła wewnętrzną stronę policzka.

Wiedziała, dla-czego Charles tak się zachowuje. To przez to, co zdarzyło się we Florencji w epoce Renesansu. Popełniła wówczas straszną pomyłkę, przez którą mogli wszystko stracić. Nigdy się z tym nie pogodzi. Nigdy sobie tego nie wybaczy. To wspomnienie będzie jej towarzyszyło przez całą wieczność. Najgorsze jednak było to, że nie do końca wiedziała, co się wtedy stało. Oczywiście, wiedziała, co zrobiła, ale tam chodziło o coś jeszcze, nie miała wątpliwości. Charles twierdził, że nie ma przed nią sekretów, powiedział wszystko, co powinna wiedzieć, a

ona próbowała co jakiś czas dotrzeć do ukrytych fragmentów jego świadomości, lecz nigdy jej się nie udało. Albo umiejętnie blokował wspomnienia, albo mówił prawdę. Nie wiedziała, co gorsze.

Charles westchnął.

- Sytuacja jest pod kontrolą. Ale zapytałaś, więc ci powiem. Choroba, która atakuje ludzi, zaatakowała kilkoro młodych wampirów w San Francisco. W ambulansie jest ciało familanta, który na nią zmarł. Chcemy, żeby lekarze zbadali jego krew.

Allegra uniosła brwi.

- Dobrze wiesz, że żadna ludzka choroba nie może zaatakować wampira.

- Żadna z tych, które znamy - odparł, marszcząc czoło.

- Charles, nawet ty wiesz, że to niemożliwe. Nie bądź głupi. - Skrzyżowała ramiona. - Powiedz, co naprawdę jest w tym samochodzie.

Popatrzył jej w oczy.

- Oskarżasz mnie o kłamstwo? - Jego głos brzmiał spokojnie, ale wyczuwało się w nim napięcie. W ciemnoszarych oczach błysnęła uraza.

Zgarbiła się.

- Nie, nie oskarżam. Wiesz, że ci ufam - odparła, cofając się. - Tylko wydaje mi się to dziwne.

- Masz rację. Dlatego przyjrzymy się temu uważniej. - Odchrząknął. - O co tak naprawdę chodzi? Od czasu podróży do Kalifornii jesteś stale poirytowana. Czy coś się stało? Nie chcia-łem nalegać. Uznałem, że sama mi powiesz, jeżeli uznasz to za stosowne.

Allegra pokręciła głową. Chciała mu powiedzieć, ale nie chciała wywoływać sceny. Uświadomiła sobie jednak, że znowu się od niego oddala.

- Widziałam Bena - przyznała, przygotowana na wymówki Charlesa. - Nie jest tak, jak myślisz... nic się nie zdarzyło... on się zeni. - Westchnęła. - Ale to nie dlatego. Chodzi o to, że... Wiesz, o co mi chodzi.

Charles przyjął tę informację skinieniem głowy.

- Przykro mi, że cię to zdenerwowało. Wiem, że go kochałaś.

Allegra poczuła, jakby spadł jej ogromny ciężar z serca. Usiadła obok brata i oparła mu głowę na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho.

- Tak. Tylko mnie to przeraziło. Spotkanie z nim po tym, co się wtedy stało.

Już zapomniała, jak byli sobie bliscy. Charles był jej najlepszym przyjacielem, powierzała mu wszystkie swoje tajemnice, całkowicie ufała, bo znał ją bardzo dobrze. Byli jak dwie strony medalu. Dzielili ze sobą wieczne życie, całą pamięć od dnia stworzenia, gdy po raz pierwszy zostali złączeni krwią. Nic przed nim nie ukrywała.

Przytulił ją do siebie.

- Nie bój się.

Wrócił Forsyth, kręcąc kluczykami od samochodu.

- Wszystko w porządku. Znalazłem świetne miejsce na Riverside Drive.

Charles niechętnie puścił Allegrę.

- Kochanie, czy mogłabyś zostawić nas samych? Mamy z For-sythem interes do omówienia.

Allegra zamknęła drzwi za sobą. Czuła się lepiej po tym wy-znaniu. Charles miał rację, nigdy by jej nie okłamał. Ale zatajenie prawdy też było grzechem. Miała przeczucie, że za tą sprawą kryje się coś więcej. Charles coś przed nią ukrywał, coś ważnego. Musiała się dowiedzieć co.

Nigdy nie słyszała, żeby ludzka choroba zaatakowała wampira. Nic nie mogło go zaatakować. Oczywiście



łapali przeziębienia i grypy jak wszyscy. Mieli taką samą cielesną powłokę jak czerwonokrwieńcy, z jedną tylko różnicą, ale żadne poważne choroby się ich nie imały. Kiedy cykl dobiegał końca i przycho-dził czas na odpoczynek, śmierć była dla nich głębokim snem, do chwili gdy sangre azul budziła się do życia w innej powłoce. Przekłęci nie zapadali na raka ani choroby serca.

Czy Charles mógłby ją okłamać? Zrobiło jej się smutno na myśl, że w ogóle bierze pod uwagę taką możliwość. To dowodziło, jak bardzo się od siebie oddalili. Już mu nie ufała tak jak kiedyś i to nie była jego wina.

Przebrała się w strój do biegania. Lubiła biegać po parku, to pozwalało jej oczyścić umysł.

- Wychodzę! - zawołała, by nikt się o nią nie martwił.

Zbiegła ze wzgórza, zamierzając zawrócić nad rzeką, przy przystani dla łodzi. Po drodze spotkała rolkarzy, rowerzystów i mamy pchające fantazyjne wózki dziecięce. Utrzymywała spo-kojne tempo, a jej buty stukały rytmicznie o chodnik. W drodze powrotnej minęła furgonetkę, którą Forsyth zaparkował na rogu Riverside Drive i Dziewięćdziesiątej Dziewiątej. Zawahała się, ale górę wzięły ciekawość i wątpliwości, podeszła więc do samochodu. Ulica była pusta, nie

miała też trudności z otwarciem zamka. Odsunęła tylne drzwi i weszła do środka.

Na podłodze leżał duży plastikowy worek.

Przypomniała sobie, jak była venatorką we Florencji i miała na imię Tomasia. Biegała wraz z innymi po dachach, polując

na srebrnokrwistych zdrajców, którzy wpadli w pułapkę po tej stronie bram. Złapali wówczas i zabili wszystkich pozostałych na ziemi Croatanów. Tak w każdym razie sądzili. Była pewna, podobnie jak Charles, że nareszcie są bezpieczni, ale potem wydarzył się ten incydent w Roanoke. Przepadli wszyscy mieszkańcy osady.

Cordelia i Lawrence twierdzili, że srebrnokrwieści nie zostali zniszczeni, że członkowie Zgromadzenia zawarli kompromis, a nawet zostali przekupieni. Charles uważał, że to śmieszne. Wierzył w moc bram. A jeśli Lawrence i Cordelia mieli rację, a Charles się mylił?

Kto, a może raczej co było w worku?

Z bijącym sercem rozsunęła suwak, nie bardzo wiedząc, czego szuka lub co spodziewa się znaleźć. Widziała martwe ciała wampirów, całkowicie wysuszonych, słuchała srebrnokrwistych mówiących głosami jej przyjaciół, martwych towarzyszy, którzy stali się częścią potworów, a ich dusze na zawsze zostały

uwięzione w ich podświadomości. Ale od czasów Roanoke nic się nie wydarzyło, a Charles uważał, że mieszkańcy kolonii po prostu zeszli do podziemia, mimo że pozostawiona na drzewie wiadomość temu przeczyła. Informacje o srebrnokrwistych usunięto z oficjalnej historii. Charles nie chciał przenosić starych obaw do Nowego Świata.

Co było w worku? Czy to możliwe? Nawet nie chciała wypo-wiedzieć na głos swoich obaw. W końcu rozsunęła plastik.

W worku była dziewczyna, czerwonokrwista dziewczyna. Jej ciało zdążyło już zsinieć. Na szyi widniały dwie małe ranki, pra-wie niewidoczne, wskazujące na to, że była familiantką.

Na co chorowała? Zeby umrzeć w tak młodym wieku, i to samotnie. Jakie to smutne. Czerwonokrwisci i tak żyli dosta-tecznie krótko.

Allegra zamknęła worek. Nie chciała się do tego przyznać, ale spodziewała się znaleźć martwe ciało wampira i z ulgą stwier-dziła, że Charles mówił jednak prawdę.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

Ostatni venator

Jack wrócił z Geziry dopiero późnym wieczorem i pierwszą rzeczą, którą zrobił, było obejrzenie rany Schuyler. Rozwinął bandaż na jej piersi i ocenił rezultat działań Mahrusa. Rana nadal była opuchnięta, ale nie zaczerwieniona i dobrze się goiła.

- Rana bitewna- powiedział. - Jestem z ciebie dumny. Byłaś bardzo dzielna.

Schuyler zapięła bluzkę i skrzyżowała nogi na łóżku. Mały pokój hotelowy stał się ich domem, chociaż recepcjonista wciąż patrzył na nich podejrzliwie.

- Nie miałam wyboru - odpowiedziała. - Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo.

- Powinienem być tam z tobą - stwierdził. Wysłuchał w milczeniu jej relacji, zachowując spokój, ale teraz powoli docierało do niego, co mógł stracić, i Schuyler dostrzegła, jak trudno mu panować nad emocjami.

- Nie martw się, kochany - powiedziała i pogładziła go po policzku. - Czułam twoją moc. Nie dałabym rady bez ciebie. A co wy zdziałaliście? Znaleźliście coś po drugiej stronie Nilu?

Jack pokręcił gniewnie głową.

- Gdy przybyliśmy do kryjówki, nie zastaliśmy już nefilimów. Podejrzewam, że chcieli sprowadzić nas na

manowce. Bracia Lennox poszli do świątyni, ale okazało się, że nie ma tam żadnej kapłanki imieniem Zani.

- Może Mahrus będzie mógł nam pomóc - powiedziała Schuyler.

- Jeżeli pracował na tym terenie tak długo, jak mówi, to mam nadzieję, że tak - odparł Jack, kiwając głową.

Postanowili spotkać się z venatorem, wyciągnąć od niego in-formacje i opracować dalszy plan działania. Bracia Lennox pojechali za Deming i Dehua, które wciąż szukały członków Zgromadzenia Egipskiego, by oddać im próbki krwi nienarodzonych.

Kawiarnia pełna była studentów, starców snujących opowieści i rodzin jedzących późną kolację. Gościom towarzyszyły dźwięki francusko-arabskiej muzyki. Jack i Schuyler usiedli przy stoliku w końcu sali, skąd widzieli wszystkie wejścia. Jak dotąd nefilimowie nie atakowali rejonów, w których przebywali ludzie, ograniczali się jedynie do bastionów błękitnokrwistych, ale lepiej było być przygotowanym.

Mahrus zjawił się o umówionej godzinie. Był tak przystojny, że wiele osób obejrzało się za nim. Jack wstał z krzesła, by go powitać, i uścisnął mu dłoń.

- Moja żona zawdzięcza ci życie. Dziękuję, uzdrowicielu. Nigdy ci się nie wypłacę, ale mój miecz jest do twojej dyspozycji, gdy zajdzie potrzeba. Masz na to moje słowo.

Mahrus skłonił się.

- To dla mnie zaszczyt, Abbadonie.

Kelnerka przyniosła filiżanki parującej kawy i przez kilka minut wszyscy troje delectowali się wieczornym powietrzem, popijając mocny, czarny napój. Schuyler poczuła się lepiej po sporej dawce kofeiny. Kawa wyostrzała jej zmysły. Skoro nie piła już krwi, musiała polegać na innych źródłach dostarczających energii.

- Nie słyszałem o kapłance Zani - powiedział Mahrus. - Jeżeli jest znaną świętą kobietą, Strażnicy powinni coś o niej wiedzieć. Zapytam ich.

- Sądzymy, że może być Katarzyną - powiedziała Schuyler.

- Interesujące - stwierdził. - Bardzo możliwe. Sądziłem, że znajdę siostrę w Muzeum Kairskim. Była miłośniczką sztuki i historii Egiptu. Ale myliłem się.

Opowiedział im o życiu w Jordanii. Po opuszczeniu Rzymu za panowania cesarza Kaliguli dotarł na wschód

i osiedlił się na obrzeżach dawnego Imperium Osmańskiego.

- Byliśmy spokojnym Zgromadzeniem. Przez wieki żyliśmy w harmonii, aż do...

- Aż do?

Wzrok mu się zamglił.

- To działo się tak wolno i niepostrzeżenie, że z początku nie zwróciliśmy na to uwagi. Nie dostrzeżliśmy czającej się groźby. Nikt nas nie ostrzegł. Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości

z Nowego Jorku. Nikt nas nie poinformował, co się stało w Rio czy w Paryżu. Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy się przygotować

- dodał z goryczą w głosie. - A tak staliśmy się łatwym celem.

Schuyler chwyciła Jacka za rękę pod stołem.

- Zaczęło się od ludzi, znikwały dziewczęta. Sądziliśmy, że to problem czerwonokrwistych, ale mieliśmy się na baczności. Po-tem odkryliśmy kryjówkę nefilimów. Gdy moi venatorzy z nimi walczyli, ukryty w naszym Zgromadzeniu Croatan skorzystał z okazji i zaatakował.  
- Popatrzył na nich z wielkim smutkiem.

- Wszyscy członkowie mojego Zgromadzenia zginęli. - Zamknął oczy. - Tylko ja zostałem. Ostatni venator. - Westchnął. - Przeżyłem jedynie dzięki pomocy innych venatorów.

- Masz na myśli Deming i Dehue? Sama i Teda?

- Tak. Walczyli z nefilimami i tylko oni nam pomogli. Zmierzali do Kairu w poszukiwaniu nowej kryjówki demonów. Przyłączyłem się do nich, bo wiedziałem, że Katarzyna jest tutaj, i chciałem ją ostrzec. Tu chodzi o coś ważniejszego niż Zgromadzenie.

- Wiedziałeś, że należała do Zakonu Siedmiorga?

- Tak. Byłem tam, gdy budowaliśmy Bramę w Lutecji. Wiedziałem, jakie otrzymała zadanie.

- Myślisz, że nefilimowie są tutaj z powodu Bramy? - spytała Schuyler.

- Jestem tego pewien. W każdym mieście stosują tę samą metodę. Najpierw atakują młodych, potem Starszych, potem dusze nienarodzonych. Nefilimowie dokładnie wiedzą, gdzie zaatakować. Są okrutni i silni, ale nie znają naszych tajemnic. Po-

trzebują przewodnika. I to było zadanie Croatana, najpotężniejszego sprzymierzeńca Lucyfera, który chronił Księcia Ciemności i utrzymywał przy życiu jego



duszę na ziemi. Myślę, że to on właśnie systematycznie niszczy wszystkie zgromadzenia, poczynając od Nowego Jorku.

## DWADZIEŚCIA

### Nocny klub na końcu świata

Oliver się mylił. Tartar wcale nie przypominał Nowego Jorku, miasta, które nazywał swoim domem. Nowy Jork tętnił życiem, kipiał ambicją i zapałem, zarażał energią. Był elegancko rozplanowany między jedną a drugą rzeką, z uroczym wyjątkiem, jaką była dzielnica West Village, powstała na miejscu dawnych krowich ścieżek. Miasto cechowały porządek i logika. Człowiek zawsze wiedział, gdzie jest, a zwłaszcza on. Dorastając w tym mieście, poznał wszystkie jego zakamarki i kryjówki. Znał Manhattan jak własną kieszeń i był z tego dumny. Kochał Nowy Jork i jak wielu jego mieszkańców nie wyobrażał sobie innego miejsca na ziemi.

Tartar natomiast był martwy, gnijący od wewnątrz i robaczywy. Był nie tylko stolicą umarłych - był leżącym na katafalku trupem miasta. Nie dochodziły tu promienie słońca, mimo to było gorąco i wilgotno, a wszędzie panował tłok. Mieszkańcy sunęli apatycznie chodnikami - wszyscy wyglądali na zmęczo-

nych i przybitych. Brakowało dzieci. Oliver doszedł do wniosku, że w życiu nie widział równie beznadziejnego miejsca. Robiło okropne, przytłaczające wrażenie, strasznie cuchnęło, a w po-wietrzu unosiły się roje wielkich much roznoszących choroby.

Patrząc na splątane ulice, pomyślał, że można się łatwo zgubić w tej plątanie zaułków. W Piekło, jak powiedziała Mimi, nie liczyła się przeszłość ani przyszłość, jedynie teraźniejszość. Tartar tworzył bezładne zbiorowisko budynków, stojących obok siebie bez ładu i składu. Nic do siebie nie pasowało, kolory, style, strefy - nie było w tym żadnego porządku ani planu. Niektóre ulice wyglądały jak centra striptizu z migającymi światłami i małymi witrynami sklepowymi z odpadającą farbą i staroświeckimi reklamami wideo. Było też mnóstwo pustych działek. Wszystko

- ściany, chodniki, ulice - pokrywała warstwa brudu i sadzy.

- Chodź, to są tylko obrzeża. Musimy dotrzeć do centrum

- powiedziała Mimi, prowadząc go do czegoś, co wyglądało jak stacja metra.

Z hukiem wtoczył się na peron pociąg, z zewnątrz i wewnątrz pokryty graffiti. Ławki miały zniszczone

siedzenia, szyby były podrapane. Z głośników popłynął głos, ale zakłócenia nie pozwalały zrozumieć ani słowa. Weszli do wagonu. Wyglądało na to, że Mimi wie, dokąd jedzie. Jej platynowe włosy - najjaśniejszy punkt w ciemnym mieście - zwróciły uwagę kilku podróżnych, ale nikt ich nie zaczepił. Nikt też nie groził Oliverowi. Jediną emocją, jaką wyczuwał, była niemal namacalna obojętność. Ich obecność nikogo nie obchodziła. Nigdy nie doświadczył tak wrogiego braku zainteresowania.

Przejechali kilka stacji, aż dotarli do miejsca przeznaczenia.

- To tutaj. Wsiadamy - oznajmiła Mimi.

Oliver zauważył napis nad wyjściem z metra:  
„Porzućcie na-dzieję, wy, którzy tu wchodzicie”.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, co on tu robi. To nie było miejsce dla ludzkiej istoty, nie mówiąc już o żywym człowieku.

Centrum okazało się jeszcze brzydsze niż obrzeża czy jak się tamta część nazywała. Na ulicach kłębił się większy tłum, a w powietrzu unosił się zapach popiołu oraz żużlu i coraz trudniej było oddychać. Oliver zobaczył trolle z wrzynającymi się w ciało srebrnymi obrożami. Pracowali jako taksówkarze, kelnerzy i

zamiatacze niemożliwych do sprzątnięcia ulic.

Rozpoznał też diabły o czerwonych twarzach, z małymi, sterczącymi rogami na głowie i ponurymi spojrzeniami.

Najstraszniejsze jednak były demony o przerażająco pięknych twarzach i beznamiętnych, zimnych oczach.

- Croatanie - szepnęła Mimi.

Oliver zadrżał. Diabły miały groźny, zwierzęcy wygląd, a uroda srebrnokrwistych, byłych aniołów, przywodziła na myśl piękne obrazy skalane ekskrementami.

- Nie będą nas niepokoić - powiedziała Mimi. - Nawet gdybyśmy spotkali Księcia Ciemności, nie zwróciłby na nas uwagi.

- Czy dlatego chcą dostać się na Ziemię? - spytał Oliver.

- Tak. Piekło to śmierć. Nic tu nie rośnie. Kiedyś było inaczej, ale tak właśnie świat został podzielony w dniu stworzenia. Całe światło na górze, a ciemność na dole.

- Gdzie jest Lucyfer? - spytał Oliver.

- Pewnie za dziewiątym kręgiem.

- Co tam jest?

- Jądro - odparła Mimi. - Centrum świata podziemnego. Tam rodzą się Anioły Ciemności. Nikt nie ma tam wstępu. My ledwo dostaliśmy pozwolenie zejścia na siódmy poziom.

Wyjaśniła mu zasady hierarchii społecznej w Piekło. Na samym szczycie byli Croatanie, Lucyfer i srebrnokrwieści, niżej demony lodu i ognia, potem potępione dusze, czyli ludzie skazani na przebywanie w Królestwie Umarłych przez całą wieczność. Dalej plasowały się zakute w obroże trolle, które nie były ani aniołami, ani demonami, ani ludźmi. Wiedziano o nich tylko tyle, że pracują dla demonów. Była to najniższa klasa, margines społeczny, kasta nietykalnych.

- No i jest jeszcze piekielna sfera - dodała Mimi. - Ale ich się rzadko widuje. Prawdopodobnie są na dziewiątym poziomie, z Lucyferem. Gdy podczas bitwy w Rzymie zbuntowały się i stały po naszej stronie, Książę Ciemności zmusił ich do posłuszeństwa. Gabriela miała nadzieję, że pewnego dnia przeciągnie ich na naszą stronę, ale nie wiadomo, czy to się jej uda.

Oliver zaczął wreszcie odzyskiwać orientację. Jeżeli Tartar to Nowy Jork, to w tej chwili znajdowali się w Lower East Side z czasów, gdy nie było jeszcze spodni biodrówek, modnych barów serwujących wina i eleganckich hoteli, bez sympatycznych włoskich delikatesów i mężczyzn w welurowych bluzach, grających w karty przed wejściem.

W samym środku stał ciemny budynek, a przed nim tłum ludzi. Z wnętrza dochodziła muzyka - zgrzytliwa,

niemelodyjna, ale jednak muzyka. Oliver zauważył, że tłum czeka na coś z nie

pokojem. Na wysokim krześle siedziała piękna diablica z ostrymi, seksownymi różkami i patrzyła z pogardą na ten tłum. Od czasu do czasu dawała znak ogonem, a wówczas przysadziste trolle, pełniące rolę bramkarzy, pomagały kilku wybrańcom przepchnąć się do welwetowej liny.

Oliver dobrze znał tę metodę. Nazywano ją „licytacją twarzy” lub „urabianiem drzwi”. Polegała na poniżającej selekcji i wpędzaniu w kompleksy. Istne Piekło. Doszedł do wniosku, że za dużo tych porównań ze światem ludzi. Pewnie za chwilę utknie w windzie z nieznanymi.

Mimi podeszła do kłębiącego się, czekającego w napięciu tłumy.

- Idziesz? - spytała, odwracając głowę, gdy zaczął się wahać.

- Tak - odpowiedział z rezygnacją. Może z Mimi nie będzie musiał wiecznie czekać.

- Kingsley uwielbiał kluby, więc zaczniemy od tego - oznajmiła. - Muszę tylko ściągnąć na siebie uwagę tej diablicy. - Włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie.

Wszystkie oczy zwróciły się w ich stronę, także kobiety demona. Jej oczy obserwowały ich przez chwilę. Oliver miał wrażenie, że trwa to całą wieczność. Poczuli się mały i niegodny, jak wtedy, gdy miał czternaście lat i próbował wejść ukradkiem do kina dla dorosłych, lecz mu się nie udało. W końcu diablica machnęła w ich stronę ogonem.

Mimi uniosła dumnie głowę, bardzo z siebie zadowolona. Tłum rozstał się jak Morze Czerwone, bramkarze podeszli do nich i poprowadzili do wejścia.

## DWADZIEŚCIA JEDEN

### Wymarzony dom

Wiosną następnego roku Charles kupił spółkę medialną i planował przejęcie kontroli nad eterem, w tym stworzenie stacji konkurencyjnej dla dwudziestoczterogodzinnego kanału informacyjnego, sieci komputerowej, kanału radiowego oraz holdingu prasowego. Jego celem był zasięg ogólnościowy, chciał wpływać na kulturę czerwonych za pomocą najbardziej podstępnych środków porozumiewania się. Kupił sobie coś w rodzaju ambony.

Rezydencja przy Piątej Alei była prawie gotowa. Allegra większość czasu spędzała z dekoratorami,

ustalając z nimi kolor ścian, zasłon i mebli. Zamierzali zabrać tylko kilka rzeczy z domu przy Riverside. Cordelia obiecała im kanapę i srebra w prezencie ślubnym, lecz Allegra chciała mieć wszystko nowe. Byli tacy, którzy uważali, że kupowanie mebli to burżuazyjna praktyka i najlepsze są rzeczy odziedziczone po rodzinie, lecz ona się z tym nie zgadzała. Owszem, tradycja była dobra i należało ją szano-

wać, ale w swoim domu chciała mieć wszystko nowe i jasne, bez zbędnego balastu i zbyt wielu wspomnień z przeszłości.

Pewne zwyczaje pozostawały jednak niezmiennie. W Egipcie, gdy rządzą z Charlesem jako Meni i Menés, panna młoda przenosiła swój dobytek do nowego domu, pieczętując w ten sposób związek. Ekipa od przeprowadzek miała się zająć ciężkimi sprzętami, ale kilka przedmiotów Allegra zamierzała przenieść sama, w tym szkatułkę z biżuterią, mały kryształowy flakon na oliwę, filiżankę ryżu i dzban z wodą. Miały one przynieść szczęście nowemu domowi.

Tego popołudnia stała w prawie już wykończonym salonie, gdy pojawił się Charles.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.



- Chciałam obejrzeć tapetę. Bałam się, że będzie za jasna do tego pokoju, ale chyba pasuje.

- Jest śliczna - odpowiedział.

- Podoba ci się?

- Bardzo - odparł, kiwając głową.

- To dobrze. Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

- Bo jestem - powiedziała.

Jeżeli często będzie to powtarzać, może w końcu uwierzy, że tak jest.

## DWADZIEŚCIA DWA

### Słabość

Niewiele się odzywałaś przez cały wieczór - stwierdził Jack, gdy wrócili do pokoju hotelowego po długiej rozmowie z venatorem z Ammanu.

Schuyler kiwnęła głową, po czym przysiadła na brzegu łóżka, zrzuciła buty i zdjęła kolczyki. Zastanawiała się nad tym, co Mahrus powiedział im o systematycznym unicestwianiu zgromadzeń. Rio, Paryż, Kijów, Szanghaj, Amman, Kair, w tych miejscach albo przestały istnieć, albo ich członkowie ukryli się w cieniu. Nowy Jork jeszcze się trzymał - jako jedno z

nielicznych bezpiecznych zgromadzeń - ale nie wiadomo, jak długo. Muszą znaleźć Katarzynę i zabezpieczyć Bramę, zanim srebrnokrwisci przedostaną się na drugą stronę.

Jack położył jej rękę na ramieniu.

- Nie trać nadziei. To ponury okres w naszej historii, ale wierzę, że znajdziemy sposób na powstrzymanie tego zła i przetrwamy.

Schuyler kiwnęła głową. Musi odnaleźć Katarzynę. Gdzie ona mogła się ukryć? Była w Kairze, to na pewno. Nawet Mah-rus uważał, że jej teoria ma solidne podstawy. Świadczyły o tym nasilające się ataki nefilimów. Należało tylko wyciągnąć ją z ukrycia.

- Nie uważasz, że to dziwne? - spytała nagle Jacka. - Skoro łatwiej jest trzymać demony w podziemiach, likwidując ścieżki, jak to zrobił Kingsley, rzucając zaklęcie subvertio, czemu Michał wybudował te Bramy?

- Musiał mieć jakiś powód. Odwieczne prawo mówi, że tego, co stworzył Wszechmogący, nie wolno niszczyć. Bramy Piekieł przez wieki zapewniały światu bezpieczeństwo. Michał włożył całą swoją moc w wybudowanie Bram. Przestały spełniać swoje zadanie, bo on zrobił się słaby - powiedział w zamyśleniu Jack.

- Myślisz, że Mahrus ma rację, twierdząc, że za tym wszystkim kryje się srebrnokrwisty z Nowego Jorku? - spytała Schuyler. Tam właśnie miały miejsce pierwsze przypadki całkowitego wysuszenia. We Włoszech Oliver opowiedział im, jak zniknął Forsyth Llewellyn i jak Mimi i venatorzy odkryli jego prawdziwą naturę. Bliss potwierdziła, że Forsyth, jej ojciec w tym cyklu, najbardziej zaufany współpracownik Charlesa, był Croatanem, który trzymał duszę Lucyfera w ciele córki.

- Myślisz, że Forsyth tu jest? - spytała, drżąc na całym ciele. - Ze to on wszystko zaplanował?

- Dowiemy się - odpowiedział Jack. - A potem go zniszczymy - obiecał. - Nie mamy się czego obawiać, a na pewno nie tego zdrajcy.

Schuyler przytuliła się do niego, a Jack oparł jej głowę na ramieniu. Pogładziła go po policzku, czując pod palcami zarost. Odwróciła ku niemu twarz i oboje powoli osunęli się na łóżko. Po chwili Jack zatopił kły w jej szyi i zaczął pić krew.

Schuyler ogarnęła senność i szczęście jak zawsze po świętym pocałunku. Po wszystkim Jack puścił ją i odwrócił się, by zgasić światło. Zapadała w sen, gdy nagle szarpiący ból targnął jej żołądkiem. Usiadła i zgięła się w pół, przyciskając rękę do brzucha.

- Co się stało? - spytał Jack z przerażeniem. - Zraniłem cię? Schuyler... odezwij się.

Pokręciła głową. Nie mogła mówić z bólu. Czuła się tak, jakby ktoś szarpał jej wnętrzności. Kręciło jej się w głowie, a żołądek podchodził do gardła. Zaczęła spazmatycznie oddychać

- Nic mi nie jest... nic mi nie jest - powiedziała, po czym zwymiotowała na podłogę całą kolację.

- Schuyler! - krzyknął Jack bezradnie.

Chwyciła za brzeg nocnej szafki, nie zwracając uwagi na Jacka. Nudności minęły, wykorzystwała więc ten moment, by odetchnąć. Potem przyszedł kolejny atak, tym razem silniejszy i bardziej niepokojący, bo zwymiotowała krwią i żółcią.

Jack pospiesznie wytarł czarną kałużę ręcznikiem przyniesionym z łazienki. Popatrzył na Schuyler.

- Połóż się.

- Nie mogę. Lepiej mi, gdy stoję.

Rzucił ręcznik w róg pokoju i podszedł do niej.

- W takim razie oprzyj się o mnie.

Przywarła do niego, drżąc na całym ciele. Czuła się źle od przyjazdu do Kairu, ale teraz było jeszcze gorzej.

Gorzej niż podczas przemiany i gorzej niż wtedy, gdy znajdowała się daleko od Zgromadzenia i zaczęła słabnąć z powodu braku czerwonych krwinek.

Wydawało jej się, że umiera. W końcu jednak nudności minęły i żołądek się uspokoił.

- Już mi lepiej - powiedziała, wciąż opierając się na Jacku. - Pewnie to jakiś wirus albo niestrawność.

- Jesteś pewna?

- Tak. Tylko trochę mnie mdli. Już tak bywało. - Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

Jack nie krył troski. Nie zauważył dotąd, żeby miała mdłości, a przecież niczego przed sobą nie ukrywali. Zaskoczyła go własna ignorancja, ale musiała istnieć jakaś przyczyna. Nagle zrozumiał.

- Od jak dawna masz te nudności? - spytał cicho.

Schuyler wzruszyła ramionami. Od kilku tygodni, może od

miesiąca. Miał rację, ukrywała to przed nim, dlatego o niczym nie wiedział.

- Nie chciałam cię martwić. I bez tego mamy dość kłopotów. Nic mi nie jest, zapewniam cię.

Nie odpowiedział, ale nie wypuszczał jej z objęć. Trwali tak w milczeniu. Każde z nich miało swoje tajemnice,

które starali się ukrywać przed sobą z miłości do siebie. Ale z pewnością wkrótce wyjdą one na jaw.

## DWADZIEŚCIA TRZY

W centrum uwagi

Dopiero po wejściu do środka Oliver zorientował się, że klub mieści się w dawnej katedrze zamienionej w jaskinię występku. Muzyka była ogłuszająca, a w powietrzu unosił się zapach dymu i smród niemytych ciał. Panował taki tłok, że z trudem mogli się poruszać. Kompletna porażka. Bał się spojrzeć w dół, żeby zobaczyć, co ma na sobie, ale nie musiał się martwić, nadal ubrany był w kurtkę w stylu safari i dżinsy. Może w Tartarze nie dbali o iluzję, a może piekielny stylistą miał dziś wolne. Chciał spytać o to Mimi, lecz ona przepychała się przez tłum, kręcąc głową na wszystkie strony w poszukiwaniu Kingsleya. Widać знаła drogę, bo ruszyła schodami na górę, gdzie znajdowały się pokoje dla VIP-ów.

Przypominały układem lalki matrioszki, bo jedno pomieszczenie prowadziło do drugiego. Oliver doszedł do wniosku, że mógłby spędzić całą wieczność, przechodząc przez coraz mniejsze, coraz ciemniejsze i coraz duszniejsze pokoiki, a od monotonnego

rytmu muzyki techno pewnie by stracił rozum jak te tu demony. Przed każdym pokojem stała dziwka i wykidajło, ale Mimi mijala ich, jakby była właścicielką klubu.

W końcu przystanęła i Oliver omal na nią nie wpadł. Dalej nie było już drzwi. Mimi wsunęła się na kanapę obitą czerwonym pluszem i dała mu znak, żeby zrobił to samo. W tej samej chwili pojawił się kierownik o wyglądzie buldoga w brzydkim, błyszczącym garniturze.

- Błękitnokrwista - oznajmił, wskazując na Mimi. - Nie jesteś jedną z nas. Wynocha! - warknął. - Nie obsługujemy tu takich jak ty.

Mimi spojrzała na niego urażona.

- Dostałam od Heldy zgodę na...

- Helda jest tam - przerwał jej demon, wskazując kciukiem na sufit. - Nie obchodzi mnie, co powiedziała. Żadnych błękit-nokrwistych w moim klubie, chyba że masz srebrną krew, mała. Straszysz mi gości.

Dał znak dwóm ohydnyim trollom, którzy stali przy drzwiach i którzy wpuścili ich do środka. W odpowiedzi chwycili Mimi i Olivera za ręce i wyciągnęli z miejsc.

- Puśćcie mnie! - zażądała Mimi. - Nie możecie tego robić. Wiecie kim jestem?

- A co z nim? - spytał jeden z trolli, wskazując głową Olivera.

- Co ma być? - warknął demon.

- To żywy - odpowiedział troll pożądlivym tonem. - Możemy go wziąć?

- A bierzcie sobie.

Trolle mruknęły z zadowoleniem i zaczęły się ślinić. Mimi usiłowała się wyrwać, ale oni byli silniejsi. Ciągnęli ich w stronę wyjścia, gdy zatrzymał ich niski, spokojny głos.

- Każ ich puścić, Belzebubie.

Głos brzmiał znajomo i Mimi zamarła. Przez chwilę nie mogła oddychać. Po tak ciężkiej podróży wreszcie dotarła do celu. Odwróciła się wolno i zobaczyła stojącego z boku przystojnego mężczyznę, z twarzą ukrytą w cieniu. Demon burknął coś pod nosem.

- Powiedziałem, puść ich. Nie zrozumiałeś?

- Zostawcie ich, chłopcy - powiedział demon, a trolle spełniły rozkaz.



Oliver zmrużył oczy, przyglądając się ciemnej postaci wyba-wiciela. Był pewien, kim on jest, ale nie wiedział, czy odetchnąć z ulgą, czy nadal się bać. Wreszcie uznał, że wszystko jest lepsze od tych śliniących się trolli.

- Ale szefie, oni zasmradzają mi klub - jęknął demon, wyraźnie przestraszony.

- To wy tak pachniecie - odparł przystojny mężczyzna z iro-nicznym uśmiechem. - No, spływajcie. Idźcie dręczyć innych gości, a moich przyjaciół zostawcie w spokoju.

Wyszedł z cienia i wyciągnął rękę.

- Force - powiedział Kingsley Martin, jak zwykle elegancki. Zaszła w nim jakaś zmiana, ale nie w wyglądzie. Nadal był uosobieniem seksu ze swoją łobuzerską grzywką i błyszczącymi oczyma. Zawsze sprawiał wrażenie gotowego do zabawy, ale teraz jeszcze emanował spokojem, jakby świetnie się czuł w nowym otoczeniu. Wcale nie wyglądał na nieszczęśliwego i udręczone-go. Mimi już chciała rzucić mu się na szyję, ale coś w jego twarzy kazało jej trzymać uczucia na wodzy.

Nie wydawał się zaskoczony jej widokiem ani zaszokowany, ani podekscytowany. Sądziła, że jakoś

zareaguje, gdy w końcu się spotkają. Ale on zachowywał się tak, jakby mało go to obchodziło.

- Miło cię tu widzieć. Masz ochotę na drinka?

Mimi nie mogła zrozumieć jego zachowania. Czyżby nie chciał okazać, co do niej czuje w obecności tych wszystkich trolli i de-monów? Chłopak o tak nienasyconej namiętności i zwinnych palcach?

Przypomniała sobie, jak szybko potrafił ją rozebrać, gdy jej pragnął, a pragnął jej bardzo i często. Chłopak, który poświęcił się dla niej? Skoro chce odgrywać luzaka, to niech będzie. Była w końcu Mimi Force, a jeżeli Kingsley chciał z nią rywalizować, to pokaże mu, co potrafi.

- Jasne. Co serwujecie? - spytała, odrzucając włosy na ramię i siadając przy stoliku.

Kingsley strzelił palcami i pojawiła się piękna amazonka. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i ubrana była w srebrną su-kienkę, podkreślającą jej bujne kształty.

- Postaraj się, żeby moi przyjaciele dostali wszystko, czego sobie życzą - powiedział, leniwie przeciągając wyrazy.

- Jasne, szefie. - Kelnerka położyła przed nimi oprawione w skórę karty z napojami. - Czego sobie życzycie? Wszystko na koszt firmy.

Mimi otworzyła kartę, by coś wybrać, a gdy podniosła wzrok, Kingsleya już przy nich nie było. Spojrzała pytająco na Olivera, lecz on tylko wzruszył ramionami.

- Jesteście przyjaciółmi Arakiela? Szczęściarze - szepnęła kelnerka.

- Dlaczego? To jego klub? - spytał Oliver.

- Lepiej. On jest consigliere - odpowiedziała. - Doradcą.

- Jest gangsterem? - spytał zaskoczony Oliver.

- Coś w tym rodzaju - wtrąciła Mimi. - Jest prawą ręką Fieldy. No i co ty na to? - spytała, odchylając się na oparcie i korzystając z chwili, by pomyśleć. Nic dziwnego, że świat podziemny zgotował im taką trudną podróż. Helda nie miała zamiaru po-zbywać się najbliższego doradcy tylko dlatego, że Mimi chciała odzyskać chłopaka.

- No cóż, dobrze jest mieć tak wysoko postawionych przyjaciół - stwierdził Oliver z nerwowym uśmiechem.

Mimi nie odpowiedziała. Odnalazła Kingsleya, ale wyglądało na to, że Helda mówiła prawdę. Kingsley wcale nie był zagubiony i nie czekał na ratunek.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

Panna młoda w pomarańczowej sukni

Pięknie wyglądasz - powiedział Charles, zastając Allegrę przed lustrem w trakcie przygotowań do wieczornej uroczystości.

Włożyła kolczyki, po czym odwróciła się i uśmiechnęła.

- Pamiętasz? - spytała. - Dałeś mi je w Rzymie.

- Tak. - Skinął głową. - Zrobili je greccy rzemieślnicy. Kosz-towały mnie fortunę.

- Na szczęście Cordelia nie oddała ich na aukcję. Bałam się, że nic nie zostanie po wiosennych porządkach. - Ostrożnie wyjęła z kasetki egipski naszyjnik z krwawnika. - Możesz mi pomóc?

Charles równie ostrożnie umieścił go na szyi Allegry i zapiął. Potem pocałował ją delikatnie w kark.

- A teraz uciekaj. Pan młody nie powinien widzieć panny młodej przed ślubem. To przynosi pecha.

Uśmiechnęła się, chociaż wcale nie była przesądna. Przecież to jedna z wielu ceremonii odnowienia więzi, w jakich uczestni-

czyli od dnia stworzenia. Czuła się swobodniejsza i po raz pierwszy od czasu Florencji nie wątpiła w siebie.

Czekała z niecierpliwością na ich wspólne życie i na przyjęcie, które miało się odbyć tuż po zaślubinach.

Członkowie Zgromadzenia będą na nią czekać w Świątyni Dendur, a ona już niedługo stanie przed ołtarzem i wypowie sło-wa, które połączą ją z bratem w tym wcieleniu.

Obcisła suknia z jedwabiu i lnu, rzymskie kolczyki i egipski naszyjnik miały przypominać wszystkim historię ich odwiecznej więzi. Gałązkę lawendy, którą Hattie wplotła jej we włosy, miała podczas zaślubin w Rzymie. Białą suknię zastąpiła pomarańczowa, przypominająca tę z Egiptu. Była jasna, radosna i strojna. Całości dopełniał jedwabny welon osłaniający głowę.

Zgodnie ze zwyczajem Charles ze świadkami miał przyjechać pierwszy, a ona kilka minut później. Spotykali się przed świątynią o zachodzie słońca.

Była już gotowa do wyjścia, gdy usłyszała pukanie do drzwi sypialni.

- Ktoś na ciebie czeka na dole - oznajmiła Hattie. -  
Mówi, że jest starym przyjacielem - dodała z nutą sceptycyzmu w głosie.

- Kto to?

- Nie przedstawił się. Nie pozwoliłam Juliusowi wpuścić go do domu. Nie chcę, żebyś się spóźniła.

- To naprawdę nieodpowiednia pora - stwierdziła Allegra. - Nie mogłaś go spławić?

- Próbowaliśmy, ale on nie chce się ruszyć. Może lepiej, żebyś do niego zeszła.

Allegra zbiegła na dół w ozdobionych klejnotami pantoflach. Przed drzwiami stał Ben Chase w towarzystwie kierowcy Juliusa, który nie spuszczał z niego wzroku.

- Cześć - powiedziała, klepiąc go w ramię. - Co ty tu robisz?

- Cześć. Przychodzę nie w porę? - Popatrzył na jej suknię i welon. - Wybierasz się na bal kostiumowy?

- Nie, to... - Nie mogła mu powiedzieć, co ma na sobie. Oczywiście nie domyślił się, bo czerwonokrwieści ubierali się do ślubu na białe. - Co tutaj robisz?

Wsunął dłonie do kieszeni marynarki i wskazał głową park.

- Masz ochotę się przejść?

- Teraz? - Spojrzała na zegarek. Powinna być już w drodze do Muzeum Metropolitan.

Julius popatrzył na nią znacząco.

- Spóźnimy się, panienko.

Ale która panna młoda przyjeżdża punktualnie na swój ślub? Jeżeli miała wysłuchać Bena, to właśnie teraz. Potem będzie za późno.

- Dobrze.

Zdjęła pantofle na obcasach i włożyła klapki, które trzymała w holu.

Przeszli kilka przecznic do Riverside Park. Liście zaczęły już zmieniać barwę. Wkrótce przyjdzie zima i chłód. Stąpali po ko-lorowym kobiercu, a brzeg jej sukni z szelestem sunął po trawie. Za godzinę będzie żoną Charlesa.

- Co tutaj robisz? - spytała, przerywając milczenie.

- Nie ożeniłem się - powiedział.

- Hmm - mruknęła, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć, ale jakoś wcale jej to nie zdziwiło. Gdy go zobaczyła, serce mocniej jej zabiło i natychmiast domyśliła się, co Ben zamierza powiedzieć. Chociaż wierzyła, że ten rozdział życia ma już za sobą i niebezpieczeństwo minęło, miała wrażenie, jakby ktoś trzymał książkę otwartą na tej samej stronie i upierał się, że ona i Ben jeszcze się spotkają. Kim był ten ktoś?

Czy to ona? Czy on? Dlaczego nagle z taką łatwością zakłóciła starannie przygotowany plan dnia? W tej chwili powinna wsiadać do samochodu, a za kilka minut wejść do świątyni.

Charles będzie stał przed ołtarzem w smokingu, a zebrani wokół nich goście będą trzymali świece. Wypowiedzą święte słowa. Dziś rano przeniosła do nowego domu swoje rzeczy, zgodnie z tradycją praktykowaną w starożytnym Egipcie, gdy przeprowadzka kobiety do domu mężczyzny pieczętowała związek i niepotrzebna była żadna ceremonia.

Tymczasem ona zostawia wszystko i zgadza się pójść z Benem na spacer. Może jednak powinni być przesądni, może rzeczywiście zobaczenie panny młodej przed ślubem przynosi pecha? A może właśnie dobrze się stało, bo po co Ben pojawiałby się w tak nieodpowiedniej chwili? Gdyby przyszedł jutro, nie poznałaby go. A może gdyby przyszedł wczoraj, miałyby więcej czasu na zebranie myśli i posłuchanie głosu rozsądku? A tak mogła słuchać jedynie swego serca. Miała na sobie weselny strój i lawendę we włosach.

Ben znalazł ławkę i zaprosił Allegrę, by na niej usiadła.

- Nie mogłem ci wówczas tego powiedzieć, bo uważałem, że nie ma to znaczenia. Teraz okazało się, że



jednak ma. Renny była w ciąży. Albo tak jej się zdawało.

- I co się stało?

- Nie wiem. Nie jestem pewny. Wygląda na to, że ona w ogóle nie była w ciąży, tylko sądziła, że jest. Mama uważa, że po prostu chciała bogato wyjść za mąż. Według niej każda dziewczyna, z którą się umawiam, myśli tylko o tym. - Westchnął. - Tak czy owak zamierzałem się z nią ożenić, bez względu na to, czy jest w ciąży, czy nie... Kochałem ją.

Allegra kiwnęła głową. Nie było jej łatwo pogodzić się z tym, że on kocha kogoś innego, o czym mogła się przekonać tamtego wieczoru w Barze Sekwojowym.

Ben odchylił się na oparcie ławki, zdjął szalik i zaczął go kręcić w rękach.

- Ale w końcu nie zdobyłem się na to. Odwołałem wszystko. Zdałem sobie sprawę z tego, że muszę znaleźć własne szczęście. Dlatego tu jestem. - Odwrócił ku niej twarz. Jego oczy miały barwę najczystszej, najjaśniejszej błękitu.

- Ben... zastanów się, zanim cokolwiek powiesz - ostrzegła go. - Przeżyłeś kryzys. Nie jest łatwo zerwać z kimś, z kim planowało się ślub. - Dobrze to wiedziała. - Nie wiesz, co mówisz.

- O to właśnie chodzi - odparł. - Teraz już wiem, czego chcę. Zawsze tego chciałem. Tylko nie wiedziałem, że mogę to mieć.

Allegra poczuła, że ogarnia ją panika. Nie tego chciała - została skropiona olejkami, pobłogosławiono miecze, z sejfów wyjęto obrączki.

- Komplikujesz sprawę, a ja chcę, byśmy zostali przyjaciółmi. Nie wiesz, co robisz.

- Wysłuchaj mnie, Legs - poprosił.

Kiwnęła głową, czując, jak serce jej wali. Powinna natychmiast odejść, zamiast słuchać Bena, bo to wszystko skomplikuje. Ale zamiast myśleć o gościach w świątyni lub o starannie przygotowanych planach, które brały teraz w łeb, bardzo chciała usłyszeć, co Bendix miał do powiedzenia.

- Tego wieczoru, gdy znowu pojawiłaś się w moim życiu... nie mogłem przestać o tobie myśleć. Bardzo mnie to poruszyło - powiedział, kładąc rękę na piersi.

- Ben, ja nie mogę. Mówiłam ci, że... - urwała, z trudem panując nad emocjami. - Mówiłam ci, że nie mogę.

- Wiem, kim jesteś, i kocham cię. Pragnę cię. Nie dbam o to, że jesteś... że nie jesteś człowiekiem. - Nie był w stanie wypowiedzieć tego słowa.

Allegra pokręciła głową.

- Tu chodzi o coś więcej. O coś znacznie więcej. -  
Spuściła głowę. - Musisz o czymś wiedzieć.

Opowiedziała mu o wizji, którą miała, gdy pierwszy raz  
byli razem, gdy pierwszy raz piła jego krew. O ich  
dziecku, o tym, jak zobaczyła siebie leżącą w stanie  
śpiączki na szpitalnym łóżku

i o swoim przekonaniu, że jeżeli będą ze sobą, to on  
umrze, że jej miłość go zniszczy.

Ben zastanawiał się nad tym, co mu powiedziała.

- Więc umrę, jeżeli będziemy razem, tak?

- Nie wiem, chyba tak.

- Hej. - Uśmiechnął się i jakby słońce przebiło się przez  
chmury. Ujął ją pod brodę. - Przecież i tak umrę. Jestem  
człowiekiem. Nie wiem jak ty, ale ja nie wierzę w wizje  
przyszłości. Wierzę, że to my decydujemy o naszym  
losie. Nie dałaś mi szansy ostatnim razem. Po prostu  
odeszłaś. Ale teraz tu jestem i kocham cię. Zostań ze  
mną. Nie bój się przyszłości, razem stawimy jej czoło.

Otarł jej łzy. Miał ciepłe, miękkie dłonie.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Kapłanki

Przez tydzień przeczesywali Kair w poszukiwaniu nefilimów, sprawdzając każdy ślad, ale demony dosłownie zapadły się pod ziemię. Gdy dni upływały bez żadnych postępów, Schuyler doszła do wniosku, że nie tędy droga. Wciąż miała kłopoty z żołądkiem, poranne mdłości i nie mogła znieść zapachu mięsa, ale umysł funkcjonował normalnie. Domyślała się, co oznacza jej choroba, ale zachowała wnioski dla siebie. Nie chciała nic mówić Jackowi, póki nie będzie pewna. Na razie mieli zadanie do wykonania.

Jeżeli nie mogli znaleźć nefilima, to musieli sprawić, żeby wróg przyszedł do nich. Przypomniała sobie, co Sam powiedział im, gdy się poznali: że zainteresowały ich przypadki znikania dziewcząt w Mieście Umarłych. Podejrzewali, że trafiały do świata podziemnego.

Porywane dziewczęta służyły w świątyni Anubisa, egipskiego boga zmarłych. We współczesnym Egipcie nie praktykowano

dawnych wierzeń, ale mieszkańcy Miasta Umarłych nie zapomnieli o nich, a grupa młodych wyznawczyń nieustannie podtrzymywała święty ogień w świątyni. Schuyler wpadła na pomysł, który przedstawiła zespołowi. Przez cały wieczór opracowywali szczegóły, a gdy wszystko ustalili, rozeszli się do domów.

- Nie podoba mi się to - powiedział Jack nazajutrz rano.  
- To bardzo niebezpieczne. Narażasz się na zbyt duże ryzyko.

- Nie ma innego sposobu na znalezienie Bramy - przypomniała mu. - Oni muszą nas do niej doprowadzić. Nic mi się nie stanie. - Nie było już czasu na dyskusje lub zwłokę. Musieli działać, zanim ukryty srebrnokrwisty zdąży otworzyć Bramę.

- Ale ty nadal masz mdłości. To niebezpieczne.

-Raz mam, raz nie mam - odparła z uśmiechem. - Nic mi nie będzie. Zresztą Deming i Dehua idą ze mną. Dadzą radę każdemu demonowi. - Włożyła białą szatę kapłanki i zakryła twarz welonem. - Poza tym będziesz tuż za nami. Kiedy doprowadzą nas do Bramy, ty i Lennoxowie złapiecie ich.

Poprosiła kapłana, żeby tego dnia to one mogły spełnić wszystkie czynności. Dziewczęta porywano zazwyczaj nocą, gdy szły do południowej części cmentarza zbierać drwa na następny dzień.

Świątynia mieściła się w ruchliwej części Miasta Umarłych, obok sklepów i kawiarni. Była to prosta, kwadratowa budowla z dziedzińcem, na którym gromadzili się wyznawcy, i wewnątrz-nym sanktuarium, do którego dostęp mieli jedynie kapłani i

ka-płanki. W starożytnym Egipcie tylko faraonowie i kapłani mogli składać dary bogu z głową szakala, ale w dziewiętnastym wieku zasady się zmieniły i do wypełniania posług zaczęto przyjmować

czternastoletnie dziewczynki, które dokonywały rytualnych ob-myć i modliły się do boga. Wierzono bowiem, że Anubis wysłu-chuje jedynie niewinnych dziewic.

Po przybyciu na miejsce Schuyler i venatorki zanurzyły dłonie i stopy w płytkim zbiorniku przed świątynią. Było to jedynie symboliczne obmycie, bo w przeszłości kapłani przed przekro-czeniem progu świątyni kąpali się w głębokim basenie. Schuyler umyła się pospiesznie i podążyła za Deming i Dehuą do ogrom-nego holu z wielkimi, kamiennymi kolumnami. Świątynia pochodziła z czasów dynastii Ptolemeusza, a mieszkańcy Miasta Umarłych pieczołowicie o nią dbali.

Udając kapłanki, Schuyler i venatorki musiały robić wszystko to, co robiły dziewczęta, żeby nie wzbudzić podejrzeń nefilimów na wypadek, gdyby je obserwowali. Najpierw zapaliły świece, by oczyścić powietrze, potem, śpiewając cicho, przeszły ze świecami przez wewnętrzne pomieszczenia do kaplicy, w której stał posąg Anubisa. Umieściły świece na stojakach, po czym przystąpiły do mycia posągu.

Anubis miał ciało mężczyzny i głowę szakala. Schuyler poczuła się lekko skrepowana, gdy zaczęły obmywać i smarować olejkami jego ciało. Deming przyniosła płócienną szatę i ubrała posąg, a Dehua wtarła mu w policzki róż i posmarowała czoło świętymi olejem.

Schuyler przyniosła dary ofiarne - koszyk z chlebem oraz kilka butelek wina - i postawiła je przez posągiem.

- Co teraz? - spytała Dehua, przyglądając się swojemu dziełu. Posąg świecił w nikłym świetle.

- Wierni czekają - odparła Schuyler. - Bierzmy się do pracy.

Przez cały dzień odprawiały modły, pilnowały ognia i namasz-czały wiernych świętym olejkami. Schuyler poprosiła kapłana, aby nie odprawiał w tym dniu nabożeństwa żałobnego, uznała bowiem, że nie powinna intonować modlitw w imieniu prawdziwych wyznawców.

- Gorąco tu - stwierdziła, gdy znalazły się w wewnętrznej komnacie. Czuła, jak pot spływa jej po plecach.

Bliźniaczki wzruszyły jedynie ramionami, bo wampiry potrafiły regulować temperaturę ciała.

Schuyler zaczęło kręcić się w głowie. Jack chyba miał rację, martwiąc się o nią. Uznała jednak, że nie ma wyboru. Deming i Dehua były prawdziwymi wojowniczkami, ale to ona musiała wypełnić testament dziadka. Nie mogła pozwolić, by same od-nalazły Bramę.

jak tam w środku! - przesłał jej pytanie Jack.

Cisza - odpowiedziała. - A wy coś zauważyliście?

Nic.

Venatorki podejrzliwym wzrokiem lustrowały każdego czciciela, ale dzień minął spokojnie i w końcu musiały udać się po drewno. Jack i bracia Lennoxowie mieli iść tuż za nimi.

Dziewczęta szły wolno ciemnymi, pustymi zaułkami. Ludzie mieszkali głównie w północnej części nekropolii, a część połu-dniowa była domem dla dilerów narkotyków i złodziei, toteż nierozsądnie było chodzić tędy po zmroku. Nie świeciły się tu żadne latarnie i panowała nieznośna cisza. Dziewczęta nie od-zywały się do siebie, a Schuyler czuła, jak włosy na karku stają

jej dęba. Na szczęście dotarły bez kłopotów do stosu chrustu, wzięły tyle, ile trzeba do rozpalenia ognia, i wróciły bezpiecznie do świątyni.



- Co teraz? - spytała Dehua, kładąc wiązkę chrustu przy pa-lenisku.

Schuyler wzruszyła ramionami. Czyżby zrobiły coś nie tak? Może nefilimowie zorientowali się, że to podstęp?

Nie chwycili przynęty - wysłał wiadomość Jack. On i bracia wrócili na swoje miejsce na dachu naprzeciwko świątyni.

Nie, oni przyjdą po nas. Czuję to - odpowiedziała Schuyler. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum wiatru. Wyczuwała coś w powietrzu, jakby ciszę przed bitwą, jakby wszyscy czekali w na-pięciu na pierwszy strzał.

Deming spojrzała sceptycznie na siostrę.

- Może nie przyjdą? Zniszczyli urny z próbkami krwi, a Zgro-madzenie zeszło do podziemia. Czego jeszcze mieliby chcieć? Powinniśmy ruszać dalej. Mahrus sądzi, że następnym ich celem jest Jerozolima.

Schuyler już chciała zaprotestować, gdy silny podmuch wiatru zdmuchnął świece i komnata pogrążyła się w ciemności.

Są - wysłała venatorcom wiadomość. - Nie brońcie się - przy-pomniała im. - Niech nas porwą. Pamiętajcie, że w tym wypadku jesteśmy słabymi ludźmi.

Z mgły wyłoniła się grupa mężczyzn. Schuyler stwierdziła z zaskoczeniem, że porywacze są ludźmi i nie mają rozdwojonych języków ani płonących szkarłatnych oczu. Brutalne ręce pochwyciły ją z obu stron. Krzyknęła przerażona, podobnie jak chińskie bliźniaczki. To było świetne przedstawienie. Komnata rozbrzmiała krzykami przerażenia.

Schuyler nie musiała bardzo udawać, bo zimny strach ścisnął jej serce, ufała jednak, że venatorzy i Jack je odnajdą.

- Zaniyat będzie miała towarzystwo - oznajmił przywódca porywaczy i cała grupa zarechotała lubieżnie. W ich śmiechu pobrzmiwało szaleństwo. Podobnie śmiały się hieny nad padliną.

Schuyler zadrżała mimowolnie. Zauważyła, że mężczyźni mają tryglify wytatuowane na przedramionach, takie same, jakie widziała u Marii Eleny: sigul Lucyfera i znak błękitnokrwistych oznaczający rodzaj ludzki, które symbolizowały zjednoczenie dwóch ras.

- Puście nas! - krzyknęła. - Dajcie nam spokój! Deming i Dehua też udawały, że usiłują się wyrwać napastnikom.

Porywacze nic sobie z tego nie robili. Ich przywódca zachichotał i wbił włócznię w palenisko. Podłoga świątyni zapadła się i Schuyler krzyknęła, tym razem autentycznie wystraszona, gdy wszyscy wpadli w dziurę w ziemi i przenieśli się prosto do świata podziemnego.

Jack! Słyszysz mnie? Oni tu są! - wysłała mu wiadomość, chociaż wiedziała, że to bezcelowe. Znalazły się poza zasięgiem, w innym wymiarze.

Pozostała jej walka i będzie walczyć. Może uda się wykorzystać ich udawaną słabość. Sługusy nefilimów sądzili, że porwali trzy bezbronne ludzkie kobiety. Zawsze jest lepiej, gdy wróg nie docenia przeciwnika.

## DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Jedyna dziewczyna na świecie

Czy można to pić? - spytał Oliver, wskazując na stojące przed nimi koktajle. Jeden wyglądał jak gorąca lawa, miał ciemnoczerwoną barwę, bulgotał i dymił w srebrnym kielichu. Drugi był zielony i unosiły się z niego syczące iskierki. Nigdy czegoś podobnego nie widział i chociaż nie opuszczał go głęboko zakorzeniony strach przed wszystkim, co wiązało się z tym miejscem, jednocześnie miał ochotę spróbować, jak smakują te drinki. Nic nie pili i nie jedli od przybycia

tutaj, kręciło mu się w głowie i był głodny.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - warknęła Mimi, rozglądając się za Kingsleyem.

Oliver ostrożnie pociągnął łyk. Mieszanka przypominająca lawę była ciepła i gęsta, wyborna, za słodka. Zielony koktajl smakował jak melon, ale przejrzały i lekko nadgniły. Była w tym jakaś prawidłowość, charakteryzująca to miejsce. Nawet jeżeli coś wyglądało na ładne, miało jakiś mankament. W klubie by-

ło albo za gorąco, albo za zimno, przez co człowiek nie mógł się czuć swobodnie. W Tartarze nie istniała idealna temperatura czy idealny stan. Zawsze czegoś brakowało albo czegoś było za dużo. Można od tego zwariować, pomyślał, jeżeli wszystko, co się je, jest albo zbyt smaczne, albo zbyt mdłe, za słone albo za słodkie, zbyt kruche lub zbyt gębczaste, zamiast takie, jak trzeba. A ja jestem idealny? Złajał się w duchu za to, że żartuje sobie, ale nic nie mógł poradzić. Co innego mu pozostało?

Nie miał pojęcia, co myśleć o Kingsleyu. Nie znał go zbyt dobrze, gdy uczyli się w Duchesne, ale nie zdziwiło go chłodne zachowanie dawnego szkolnego kolegi. Nie wiedział, czy Kingsley udaje obojętność,

czy też tak długo przebywał w Piekło, że przestał czuć coś do Mimi. Biedna dziewczyna. Nie spodziewała się tego. Wyglądała na zagubioną i nieszczęśliwą, gdy rozglądała się po klubie. Na jej twarzy malował się smutek, a krucha zbroja zaczynała pękać. Oliverowi zrobiło się przykro. Nie zasługiwała na to po tym wszystkim, przez co musiała przejść, by się tu dostać. Zapragnął ją rozweselić i pocieszyć. Gdy DJ zagrał coś nowego, co nie było tak głośne i denerwujące, coś, co miało rytm i melodię, skorzystał z nadarzającej się okazji.

- Chodź, zatańczymy - powiedział.

Mimi nie mogła się oprzeć pokusie i chociaż w pierwszej chwili chciała odmówić, postanowiła pokonać uczucie zawodu i irytacji. Skoro Kingsley chciał bawić się w tę głupią grę i udawać, że nic do niej nie czuje, to nic na to nie mogła poradzić. Zaczęła wątpić w tę rzekomą miłość. Bo co właściwie było między nimi? Kochali się kilka razy, no i on przyjechał do Nowego Jorku, próbując namówić ją, żeby zrezygnowała z odnowienia więzi. Wreszcie poświęcił się, żeby ją ocalić, żeby ocalić ich wszystkich, ale przecież nigdy niczego nie obiecywał. Nigdy też nie powiedział, co do niej czuje. A jeżeli się myli? Co ona tu robi? Odetchnęła głęboko kilka razy. Nie chciała myśleć, co to oznacza, wzięła więc Olivera za rękę i poszli na parkiet dołączyć

do kręcących się par. Pokaże tym demonom, jak się tańczy.

Oliver był dobrym tancerzem. W przeciwieństwie do innych chłopców nie sprawiał wrażenia, jakby nie wiedział, co robi. Miał poczucie rytmu i wkrótce świetnie się ze sobą zgrali. Oliver objął ją w talii, a Mimi obracała się, czując muzykę we krwi i wolność, gdy poddała się rytmowi. Twarz jej zalał rumieniec, oddech stał się szybszy. Zaczęła płonąć wewnętrznym światłem i po raz pierwszy od przyjazdu tutaj wyraźnie się odprężyła i uśmiechnęła. Oliver wyszczerzył zęby w uśmiechu i klasnął w dłonie.

Fajna zabawa, pomyślała Mimi. Od bardzo dawna nie robiła czegoś dla zwykłej przyjemności. Przez chwilę znowu była nastolatką i zapomniała o całym świecie. Gdy zamknęła oczy, mogła przysiąc, że jest w Nowym Jorku, w takim jak ten klubie. Zabawne, jak Nowy Jork się zmienił. Budynki pozostały te same, ale w dziewiętnastowiecznych synagogach odbywały się teraz pokazy mody, a w bankach i katedrach mieściły się koktajlbary i dyskoteki.

Rytm stał się żywszy, tłum tańczących zgęstniał i ktoś pchnął Mimi na Olivera. Gdy odwróciła się, by go przeprosić, zauważyła, że siedzi przy stoliku, popijając

diabelski koktajl. Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie wie, jak to się stało.

W takim razie czyje ręce obejmują ją w talii? Kto przyciska ją do siebie? Odwróciła się powoli, chociaż już знаła odpowiedź.

Kingsley uśmiechnął się do niej szelmowsko. Poczowała, jak jego ciało odpowiada na jej dotyk. Pochylił się i wtulił brodę w jej szyję. Czowała na skórze jego pot. Przyciągnął ją bliżej. Jej serce biło w takt muzyki i w rytm uderzeń jego serca. Miała wrażenie, że są sami w klubie, a ciepło i ciemność otaczają ich przytulnym kokonem.

- Nieźle tańczysz, Force - mruknął Kingsley.

Odsunęła się, nie chcąc poddać się tak łatwo. Obrócił ją z wprawą i odchylił do tyłu, nosem niemal dotykając rowka między jej piersiami. Niezły z niego bajerant! Ale czego się spodziewała? Gdy zniknął, stworzyła sobie idealny obraz Kingsleya, zapamiętała tylko dobre strony jego osobowości i spojrzenie, ja-kim obdarzył ją, nim pochłonęła go Biała Ciemność. I właśnie na tym spojrzeniu oparła swoje nadzieje, zapominając, jaki naprawdę był. Nieprzewidywalny. Pewny siebie. Przebiegły. Nigdy nie powiedział, że ją kocha. Mogła się jedynie tego domyślać.

Znowu przyciągnął ją do siebie. Oparła mu głowę na ramieniu i poczuła jego dłoń na plecach. Rozpoznała utwór, który właśnie grali. Była to piosenka Marvin'a Gaye'a Let's Get It On. Wielu jej familiantów lubiło jej słuchać przed caerimonia oscular. Klasyczna piosenka, równie oklepana jak Moondance Vana Morrisona. Kingsley śpiewał jej cicho do ucha. Jego głos miał niskie, chropawe brzmienie, które tak bardzo lubiła.

- Giving yourself to me can never be wrong if the love is true... Mimi miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

Niezły numer. Czy

te wygłupy to na serio? Czy on ma w głowie tylko jedno? Czy na-

prawdę myśli, że przeszła przez to wszystko tylko po to, by mogli się kochać? Starła się stłumić w sobie uczucie urazy.

Muzyka ucichła i Mimi wysunęła się z objęć Kingsleya. On też zrobił krok w tył. Uśmiechał się przy tym znacząco. Nie musiał nic mówić, wiedziała, że on myśli, iż prędzej czy później wy-lądują w łóżku.

Mam rację? Jego głos brzmiał jasno i wyraźnie w jej głowie.

Na razie postanowiła go zignorować, bo nie chciała wracać do dawnej gry i udawać, że im na sobie nie



zależy, że to tylko związek dwojga wena torów, że on nie poświęcił się dla niej, że znalazła się tu nie po to, by go stąd wyciągnąć. Wydarzenia dnia - nieprawdziwy ślub Olivera, propozycja Mamona, podróż do Tartaru i spotkanie z Kingsleyem - przytłoczyły ją. Zakręciło jej się głowie i miała wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Tego było za wiele. Poczwała, że kolana się pod nią uginają i za chwilę zemdleje.

- Hej - powiedział Kingsley, patrząc na nią z niepokojem. Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Daj spokój, przecież żartowałem. Nic ci nie jest?

- Potrzebuję świeżego powietrza - odparła. - Gorąco tu.

- No coś ty. - Poprowadził ją do stolika. - Gdzie się zatrzy-maliście?

Mimi wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. - Nie pomyślała o tym.

- Zapytajcie „Pod Książęcym Herbem”. Mój człowiek da wam ładny pokój. Dopilnuj, żeby Hazarda-Perry'ego nie namierzyły trolle lub co gorsza wilki - powiedział Kingsley, zapisując adres na wizytówce.

- Co powiedział? - spytał Oliver, gdy Kingsley odszedł.

- Dał adres hotelu - odpowiedziała, ponownie czując absurdalność sytuacji. Zaryzykowała wszystko dla niego, a on...

- To co robimy, szefowo? - spytał Oliver.

Mimi popatrzyła na wizytówkę. Bolała ją głowa, miała za sobą ciężką podróż. Nie podda się teraz. Musi się dowiedzieć,

co Kingsley do niej czuje. Czy pragnął jej tak jak ona jego - nie

tylko na jedną noc lub dla romansu bez znaczenia, ale tak na serio? Tęskniła za prawdziwą miłością, która umykała jej przez całe nieśmiertelne życie spędzone z Jackiem.

Gdyby Kingsley jej nie chciał, nie prosiłby, żeby została. Ach,

ci faceci. Nawet w świecie podziemnym trudno było odczytać ich zamiary. Pomyślała o wspólnie spędzonych chwilach. Musiało ich łączyć coś więcej niż tylko fizyczny pociąg. Kiedyś śmiała się z dziewczyn, które uważały, że skoro chłopak z nimi spał, to znaczy, że kocha. Teraz ona była jedną z tych naiwnych, stęsknionych za uczuciem dziewcząt. Jej serce było wrażliwsze, niż sądziła. Jak mogła się zakochać w kimś takim jak Kingsley? To było wkurzające. Przypominał

spadającą gwiazdę, którą próbuje się złapać gołymi rękoma. Można się tylko poparzyć.

Ale tak łatwo się nie podda. Zostanie dopóty, dopóki on nie każe jej odejść, dopóki nie powie jej, co czuje.

Zapisała adres i wrzuciła wizytówkę do torebki.

- Musimy się gdzieś zadekować. Wygląda na to, że trochę tu pobędziemy.

## DWADZIEŚCIA SIEDEM

### Gołębnik

Ulubiona pora dnia Allegry było późne popołudnie, tuż przed zachodem słońca. O tej porze w Napi, prawie rok od jej wyjazdu z Nowego Jorku, zmrok zapadał nad doliną dopiero o dziewiątej. Upał mijał, a gałęziami drzew poruszał lekki wiatr. Falujące wzgórza tonęły w ciepłym, rdzawym blasku, zachwycając ulotnym, niezmiennym pięknem. Probiernie win i piwnice pustoszały. Turyści i miłośnicy wina opuszczali teren winnicy, a wraz z nimi robotnicy i kupcy, ich przyjaciele i koledzy, a oni zostawali sami. Ben wychodził ze studia, Allegra

otwierała butelkę najnowszego chardonnay i jedli kolację pod drzewami, przyglądając się, jak kolibry przelatują z kwiatka na kwiatek.

- Mieliśmy szczęście, że twoi rodzice kupili tę winnicę - powiedziała Allegra, mocząc kawałek chrupkiego chleba w domo-wej roboty oliwie z oliwek. - Nie można sobie wymarzyć lepszego miejsca.

Przeprowadzili się tu pod pretekstem pomocy przy winobranii. Ojciec Bena kupił tę winnicę pewnego popołudnia przed kilkoma laty, gdy przyjechał na kieliszek wina Syrah do ulubionej enoteki i dowiedział się, że ją zamknęli, bo firma zbankrutowała. Ben wyjaśnił, że rodzice często kupowali rzeczy, do których byli przywiązani, żeby nadal móc z nich korzystać. Ich zamiłowania sprawiły, że stali się właścicielami greckiej jadłodajni w Nowym Jorku, serwującej koktajl mleczno-czekoladowy, i fabryki fran-cuskich kosmetyków. Byli ekologami i tradycjonalistami. Dzięki swojej uprzywilejowanej pozycji mogli uratować od zapomnienia wiele pięknych rzeczy.

Pytanie, gdzie młodzi zamieszkają, znalazło odpowiedź, gdy Allegra wspomniała, że zna się trochę na produkcji win. Posta-nowiono, że nie osiedlą się nad zatoką, ale przeprowadzą na pół-noc, by pomóc w prowadzeniu wytwórni win.

Allegra porzuciła dotychczasowe życie tego popołudnia, gdy poszła na spacer do Riverside Park. Nie zostawiła

żadnej kartki z wyjaśnieniem i zerwała telepatyczną więź z Charlesem, ukrywając nawet swoją aurę. Podjęła nadzwyczajne środki ostrożności, by nigdy jej nie odnalazł. Była pewna, że wyśle za nią armię poszukiwaczy i venatorów. Nie wybaczy jej, że porzuciła go w dniu odnowienia więzi. Nie chciała nawet myśleć o bólu, jaki mu sprawiła. Wiedziała jedynie, że dłużej nie zniesie do-tychczasowego życia i chociaż wszystko jej mówiło, że popełnia wielki błąd, serce utwierdzało ją w słuszności podjętej decyzji.

Szaleństwem było odejście z niczym. Wciąż miała na sobie suknię ślubną, gdy wsiadła z Benem do taksówki. Nie wzięła

ze sobą nic, nawet szczoteczki do zębów ani ubrania na zmianę, nie mówiąc już o pieniądzach.

Na szczęście pieniądze nie były problemem, bo Ben wszystko załatwił. Jeszcze tego wieczoru odlecieli na pokładzie prywatnego odrzutowca i wylądowali w Napie. Teraz oboje kryli się jak dwa gruchające gołąbki w gołębniku.

W ciągu dnia Ben malował w małym domku na terenie winnicy. Było tam dobre światło, a z panoramicznych okien rozciągał się widok na rosnące na wzgórzach winorośle. Allegra prowadziła sklep. Miała smykałkę do win i lubiła każdy etap produkcji, od pielęgnowania

winnych krzewów po projektowanie etykiet; od doglądania procesu fermentacji w beczkach po sprzedawanie gotowych roczników w małym pomieszczeniu przeznaczonym do ich degustacji. Twarz jej ogorzała od pracy na świeżym powietrzu i w małej społeczności plantatorów zasłynęła z serów i chleba. Zapraszała dzieci z sąsiedztwa na doroczne miazdzenie winogron. Ich winnica była jedną z ostatnich praktykujących tę tradycję. Ich kontrahent, światowej sławy producent wina, na-zwał na jej cześć ostatnie chardonnay - „Złota dziewczyna”.

Słońce zaszło, a oni zebrali talerze i puste butelki. Po zmyciu naczyń Ben powiedział, że chciałby jeszcze trochę popracować i Allegra poszła z nim do studia.

Zwinęła się na rozklekotanej kanapie okrytej płótnem i patrzyła, jak on maluje. Pracował nad serią abstrakcyjnych obrazów, które uważała za świetne. Stanie się sławny nie tylko dzięki rodzicom, ale dzięki swojemu talentowi. Ben odwrócił się i wypłukał pędzle w terpentynie.

- Co byś powiedziała na jeszcze jeden portret? - spytał.
- Czy to rozsądne? - odpowiedziała żartobliwym tonem.
- Mogą wrócić stare wspomnienia.
- No właśnie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Jaki on przystojny, pomyślała, jasnowłosy i opalony, z szerokim, pięknym uśmiechem. Czuła się przy nim beztroska i radosna. Lubiła ich wspólne życie, takie proste i wesołe. Ben sprawiał, że zapomniała, kim naprawdę jest. Nie myślała o przyszłości. Po-rzuciła dawne życie. Tu, w samym sercu sennej doliny Napa, nie była Gabrielą Bez Skazy, królową wampirów, tylko Allegrą Van Alen, nowojorską dziewczyną, która przeprowadziła się na zachodnie wybrzeże, żeby robić wino. Podeszła do prześcieradła na podium i wolno zaczęła się rozbierać. Rozpięła ogrodniczki i pozwoliła im opaść na podłogę, a potem zdjęła stary T-shirt, który wkładała, gdy pracowała przy winorośli. Obróciła się i spytała:

- Tak dobrze?

Ben wolno kiwnął głową.

Alle gra zastygła w tej pozycji, zamknęła oczy i głęboko wes-tchnęła. Czuła, że Ben na nią patrzy, starając się zapamiętać każdą linię, każde zagłębienie jej ciała. Przez godzinę słychać było jedynie cichy szelest pędzla po płótnie.

- Dobrze - powiedział, co oznaczało, że Allegra może się poruszyć.

Narzuciła szlafrok i podeszła do sztalugi zobaczyć rezultat jego pracy.

- Najlepszy ze wszystkich.

Ben odłożył pędzle i posadził sobie Allegrę na kolanach. - Tak się cieszę, że jesteś.

-Ja też - odpowiedziała, wtulając się w jego ramiona. Przesunęła palcami po żyłę na jego szyi, po czym wbiła w nią kły i zaczęła pić.

Ben odchylił się do tyłu, a wówczas szlafrok zsunął jej się z ramion i nic już ich nie dzieliło.

To była najszcześniejsza chwila w jej życiu. Niemal przekonała siebie, że będą razem do końca swoich dni.

## DWADZIEŚCIA OSIEM

### Oblubienice Lucyfera

Znajdowali się pod nekropolią na ścieżce prowadzącej do schodów. Schuyler potknęła się o kamień i rozcięła sobie nogę w kostce. Trudno było utrzymać równowagę, gdy porywacze na zmianę to ciągnęli ją, to nieśli. Zasłonili im oczy, gdy przeszli w wymiar uroku, i chociaż wiedziała, że znajduje się w świecie podziemnym, nie była pewna, jaką odległość pokonali. Czy przeszli już przez Bramę? Czy jej plan się powiódł?



Ale jeżeli sforsowali Bramę Obietnicy, to gdzie był Odźwierny?

I co teraz mają robić, skoro Jack i bracia Lennoxowie nie wiedzą, gdzie one są? Walczyć czy czekać?

Postanowiła zaczekać. W końcu zatrzymali się i ktoś zdjął jej opaskę z oczu. Rozejrzała się. Była w czymś w rodzaju poczekalni, ale nigdzie nie dostrzegła Deming ani Dehuy. Została sama z porywaczami, którzy mierzyli ją wzrokiem. Stojący najbliżej ślinił się pożądliwie.

- Nasz pan nas wynagrodzi. Jesteś ładna.

Żołądek skurczył jej się boleśnie, ale pocieszyła ją myśl, że ma ukryty pod szatą miecz Gabrieli. Gdy przyjdzie czas, będzie mogła wywalczyć nim wolność.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła kobieta demon. Schuyler nigdy kogoś takiego nie widziała. Jack opowiadał jej o różnych istotach zamieszkujących świat podziemny, stworzonych z ciemności i oddychających czarnym ogniem.

- Kogo tu mamy? - spytała. - W drugiej sali są bliźniaczki. Całkiem ładne. Znalazł się już na nie chętny. No, zobaczmy, kogo mi przyprowadziliście.

Porywacze pchnęli Schuyler do przodu.

- Warta najwyższej ceny.

- Zdejmij hidżab - rozkazała diablica. - Chcę zobaczyć, ile jesteś warta. No dalej.

Schuyler zdjęła szatę przez głowę, składając miecz, który zmienił się w jej dłoni w mały nóż. Została w samej halce, krzyżując ręce na piersi.

Diablica pochyliła się i pociągnęła nosem.

- Co masz w ręku, panienko?

Zanim Schuyler zdążyła zareagować, kobieta demon chwyciła ją za nadgarstek i mocno ścisnęła. Kolana ugięły się pod Schuyler z bólu. Musiała rozewrzeć palce i oddać broń.

Diablica wzięła ją, a wówczas nóż zmienił się w długi, błyszczący miecz.

- Tak myślałam. To miecz błękitnokrwistych. Niech Baal rzuci na niego okiem. I ostrzeżcie innych. Tamte też mogą mieć broń. - Oparła potężne łapska na biodrach i uśmiechnęła się.

- Dzięki, chłopcy. Dobrze się sprawiliście. Szefowie będą mieli dziś anioły w łóżach. - Uśmiechnęła się. - Zmykajcie. Zgłóście się do trolli po zapłatę.

Mężczyźni wyszli, a diablica przyjrzała się Schuyler.

- Interesująca oferta. Nie o taką nam chodziło, ale znajdziemy kogoś, komu się spodobaś - powiedziała, po czym wyszła z celi, zatrzasnąwszy drzwi.

Gdy Schuyler została sama, obezła pomieszczenie, starając się znaleźć jakieś inne wyjście, ponieważ drzwi blokowało nie-widzialne zaklęcie, a ściany były zrobione z grubego kamienia. Próbowwała różnych sposobów, ale nie zdołała przesunąć ściany nawet o centymetr. Stłumiła ogarniające ją uczucie paniki i próbowała pomyśleć. Straciła miecz, ale mogła przecież znaleźć coś do obrony. Te rozmyślenia przerwało pojawienie się diablicy. Tym razem nie była sama.

Towarzyszył jej Croatan, srebrnowłosego anioła, przystojny, lecz o zimnych szkarłatnych oczach, z bliznami na twarzy, oznaczającymi, że jest jednym z bliskich współpracowników Lucyfera. Zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Schuyler poczuła jego odrażającą żądzę, gdy wysłał jej obrazy, przed którymi nie mogła uciec. Nie była w stanie zamknąć oczu, gdy jego myśli przeniknęły jej umysł. Zobaczyła, co ją czeka, jeżeli nie zdoła się stąd wydostać. Poczowała, jak słabnie jej odwaga. Znalazła się w pułapce, bezbronna, narażona na atak, ale uniosła brodę, a w oczach błysnęła wściekłość. Będzie walczyła do upadłego.

- Nada się - oznajmił Croatan. Miał niski, melodyjny głos, ale brzmiała w nim zimna bezwzględność. - Przygotujcie ją. -

Chwycił Schuyler za brodę. - Chłopcy mieli rację. Jesteś ładna. Ale nie zapłacę za nią jak za oblubienicę. Błękitnokrwiste nie mogą mieć dzieci.

- Ale przypatrz się jej włosom i oczom. To wykapana Gabriela - zaprotestowała diablica. - Na pewno...

- Żadnych targów. Masz szczęście, że ją biorę - powiedział. Poglądził Schuyler po policzku i wyszedł.

- Głupiec - mruknęła diablica. - Idziemy - oznajmiła. - Za-prowadzę cię do przybytku Zani.

- Zani? - powtórzyła Schuyler. - Masz na myśli tę kapłankę ze świątyni Anubisa? - Serce szybciej jej zabiło na myśl o spotkaniu z kobietą, która mogła być Katarzyną.

- O czym ty mówisz, mała? - Diablica cmoknęła językiem. - Zaniyat Babel to nazwa tutejszego burdelu, gdzie mieszkają ladaczniczki Babilonu, oblubienice Lucyfera. Oczywiście nie każ-da zostaje wybranką Księcia Ciemności. Ty na przykład trafisz do Danela. Masz szczęście, niezły z niego przystojniak, co?

Schuyler zapanowała nad zaskoczeniem. Musiała się zastanowić nad tym, co usłyszała.

Zaniyat Babel to nie była święta kobieta. Nie znajdzie tu Ka-tarzyny ze Sieny. Owszem, Zaniyat to pradawne imię, ale takich imion porwanych przez Croatanów kobiet było mnóstwo na przestrzeni wieków. Deming powiedziała jej, że nefilim nazwał swoją matkę „kochanką”. Kochanki Szatana. Ladacznicie Babilonu. To jedno i to samo. Florencka kochanka musiała być pierwszą, która urodziła potomka mieszanej krwi, półczłowieka, półdemona, ale potem zastąpiły ją inne. Teraz ona będzie jedną z nich.

Kobieta demon poprowadziła ją na mały bazar otoczony brudnymi domami, podobny do innych bazarów w Kairze. Za-pukała do jakichś drzwi i po kilku minutach weszły do środka.

Powitała je grupa skąpo odzianych i mocno umalowanych kobiet. Obecność czerwonokrwistych wskazywała na to, że znajdowały się w Czyścicu, pierwszym kręgu Piekła, tuż za pierwszym wymiarem uroku. Ludzie nie zdołaliby przeżyć na głębszych poziomach.

- Danel chce, żeby była gotowa do ślubu za kilka godzin -oznajmiła diablica. - I nie życzy sobie żadnych narkotyków.

Kobiety kiwnęły głowami. Dwie z nich zaprowadziły Schuyler do małego buduaru z garderobą i pchnęły na obity pluszem stołek przed lustrem.

- Zobaczmy, kogo my tu mamy - odezwała się grubsza, star-szawa kobieta o ciemnej karnacji, ze złotymi bransoletami na rękach.

- Za chuda - stwierdziła jej towarzyszka. - Będziemy musiały włożyć wkładki.

- Danel zawsze wybiera młode.

Schuyler rzuciła im piorunujące spojrzenie. Wypuście mnie, rozkazała w myślach. Albo moc przymusu była tutaj słabsza, albo kobiety umiały przeciwstawić się urokowi. Wybuchnęły jedynie śmiechem.

Nie mogła uwierzyć, że z taką swobodą wykonują swoją pracę.

- Oddajecie wasze córki tym demonom - powiedziała. - Powinnyście się wstydzić.

Czerwonokrwista burdelmama wymierzyła jej policzek.

- Jeszcze raz tak do mnie powiesz, to stracisz język.

- Uważaj - ostrzegła druga kobieta. - Bo warga jej spuchnie. Szef nie lubi, gdy są bite. Pamiętaj, ona musi ładnie wyglądać.

## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

### Pałac nad rzeką

Dom „Pod Książęcym Herbem” okazał się nie hotelem, ale prawdziwym pałacem, luksusowym czteropoziomowym apartamentem na ostatnim piętrze wielkiego drapacza chmur na obrzeżach miasta, nad rzeką Styks. Wieżowiec mienił się złotem i był przerażająco brzydki, ze strzelistymi różowymi kolumnami, złocistymi cherubinami i gargulcami o złych spojrzeniach. Krzykliwość typowa dla bogatych nuworyszki, pomyślała Mimi. Kosztowne szkaradzieństwo. Nie podejrzewała Kingsleya o brak gustu. Dom pewnie zawsze tak wyglądał, bez względu na to, kto w nim mieszkał. Zauważyła jednak, że stoi w lepszej części miasta, gdzie powietrze nie było tak szare i zadymione.

Odźwierny powiedział im, że są oczekiwani, i zaprowadził do windy.

Gdy drzwi się otworzyły, Mimi i Oliver znaleźli się w foyer okazałego apartamentu z rzeźbionymi trójkondygnacyjnymi schoda-

mi. Powitała ich grupa służących trolli ubranych w uniformy. Byli wśród nich kamerdynerzy, lokaje w liberii, pokojówki i kucharki w czarnych sukienkach i

wykrochmalonych fartuchach. Wszyscy mieli na szyjach srebrne obroże z wygrawerowanym sigulem domu.

- Witamy - powiedział główny kamerdyner. -  
Czekaliśmy na panią, lady Azrael.

Mimi kiwnęła głową po królewsku. To mi się podoba, pomyślał Oliver.

- Podać kolację czy mam zaprowadzić państwa do pokoi? Mimi spojrzała na Olivera, unosząc pytająco brew. Oliver ziewnął.

- Umieram z głodu, ale najpierw wolałbym się wyspać.

- W takim razie zapraszamy do pokoi.

- Proszę za mną - powiedziała jedna z pokojówek, dygając. Poszli za nią korytarzem do drugiej windy, która zawiozła ich

do pokoi z oknami wychodzącymi na wschodni brzeg rzeki.

- W tym pokoju zatrzymuje się Helda, gdy przyjeżdża z wizytą - szepnęła pokojówka, otwierając podwójne drzwi, prowadzące do luksusowego pokoju ze wspaniałym widokiem na rzekę. Mimi kiwnęła głową. Pewnie Kingsley uważał, że to zaszczyt, i chociaż wdzięczna mu była za takie przyjęcie, czuła się lekko



rozczarowana, że tak szybko ją zostawił. Wolałaby jego towarzystwo od całej tej paradnej otoczki. Powiedziała dobranoc Oli-verowi i przygotowała się do snu.

Oliver też się położył. Jego sypialnia była wspaniała i dobrze wyposażona, ale tak jak się spodziewał, poduszki okazały się zbyt

miękkie, łóżko zbyt duże, a klimatyzacja za mocno podkrecona. Nie narzekał jednak, cieszył się, że wreszcie może gdzieś od-począć, nawet w tej namiastce Trump Tower, drapacza chmur z Chicago, z przyprawiającym o gęsią skórę personelem. Przyło-żył głowę do zbyt miękkiej poduszki i po chwili już spał.

Mimi natomiast siedziała w łóżku wiele godzin. W szafie znalazła nocne koszule z przezroczystego jedwabiu i po długiej kąpieli w marmurowej wannie wybrała najbardziej seksowną, po czym wsunęła się pod kołdrę i czekała. Wreszcie po ciągnących się w nieskończoność godzinach usłyszała, jak rozsuwają się drzwi windy i rozpoznała kołyszący się krok Kingsleya. Czekwała, aż wślizgnie się do jej pokoju.

Oczywiście zanim posuną się dalej, zażąda, aby powiedział, co do niej czuje. Ale potem, gdy zapewni o swoim oddaniu i przeprosi za chłodne i dwuznaczne powitanie w klubie, pozwoli mu robić, co chce. Prawdę powiedziawszy, nie mogła się już doczekać. Drżała z

niecierpliwości, przypominając sobie, jak razem tańczyli, jak czuła jego silne ramiona obejmujące ją w talii i ciepło jego ciała przy swoim. Poprawiła się na poduszkach, starając się wyglądać na senną i niewinną. Ale kroki oddaliły się i zaległa cisza.

Mimi otworzyła jedno oko, poprawiła włosy, wybiła poduszki i sprawdziła, czy nocna koszula dobrze na niej leży. Może była to część gry, może chciał się z nią podroczyć? Ale minuty upływały i nic się nie działo. Przeleżała prawie całą noc z jednym okiem otwartym, lecz Kingsley się nie pojawił. Następnej nocy również. Przez kolejne dwa dni w ogóle go nie widziała.

Bardzo sprytnie, Martin, pomyślała. Postanowiła, że nie będzie pytać, dokąd on chodzi, i słowem nie wspomni, że na niego czeka. Zaprosił ją do siebie, więc chciał, żeby tu była. Domyślała się, dlaczego każe jej czekać. Chciał ją zmiękczyć i zdobyć jej serce. Ale ona miała swoją dumę. Po tygodniu pobytu w pałacu, który, jak się dowiedziała, był siedzibą Księcia Ciemności, spotkała Kingsleya w jadalni.

- Czy moje trolle dobrze się tobą opiekują? - spytał uprzejmie, siadając przy wielkim stole z miską płatków kukurydzianych i owoców.

- Tak, dziękuję, bardzo dobrze - odpowiedziała grzecznie. Zapytał, czy pokoje są wygodne, i przekonywał, żeby czuła

się jak u siebie w domu i prosiła służbę o wszystko, czego dusza zapragnie. Zachowywał się jak idealny gospodarz, co było strasznie przygnębiające.

- Jak ci się podoba widok z okna? - zapytał.

Mimi uniosła wzrok znad muesli (które zdaniem Olivera było za suche i miało za mało rodzyneków) i wzruszyła ramionami.

- Ładny.

- Wiem, że to nie Central Park.

- Nie spodziewałam się tego. - Opuściła wzrok na talerz, nie bardzo wiedząc, jak poruszyć temat ich związku.

Miała wrażenie, jakby Kingsleya otaczał nieprzenikniony mur. Nie widzieli się od tego pierwszego wieczoru, a on nadal nie spytał o powód jej obecności tutaj ani szczerze z nią nie porozmawiał. Był Księciem Ciemności, a ona jedynie honorowym gościem. Ciekawe, jak długo zamierzał ciągnąć tę maskaradę?

Wyjął z miski kawałek owocu i włożył do ust.

- Wiem, że to tylko miraż i tak naprawdę nie jem tego jabłka. Ale to pomaga, nie? Celebrowanie codziennych rytuałów i trzymanie się rozkładu dnia. Tu nigdy nie robi się ciemno ani jasno. Nie ma tu słońca, tylko światło czarnego ognia, który nigdy nie gaśnie. Płonie, ale nie gaśnie - dodał stłumionym głosem.

- Mhm - mruknęła Mimi.

- Przyjemnego pobytu - powiedział i wyszedł, a ona została sama z porcją lekko kwaśnego jogurtu.

Z kolei Oliver spędzał całe dnie w basenie ze słoną wodą. Po początkowym radosnym podnieceniu z faktu mieszkania w pałacu - który wcale tak bardzo nie różnił się od jego domu w Upper East Side - stał się ospały i pozbawiony energii. Jakby zanikły mu mięśnie od bezczynności. Nie musiał nigdzie chodzić, a umysłu używał jedynie do proszenia trolli o kaptcie. W Tartarze nie było żadnych galerii sztuki, sal koncertowych ani rozrywek artystycznych, a co gorsza - książek.

Pozostawały jedynie nocne kluby i bary, walki gladiatorów i imprezy sportowe. W telewizji pokazywano powtórki cieszących się największą popularnością programów: głupich sitcomów i ordynarnych reality-show, a w Internecie by ta jedynie pornografia. Z początku go to bawiło, ale grzechy w końcu nudzą, jeżeli nie można ich zrównoważyć

zaletami. Gdy nie ma nic poza folgowaniem grzesznym słabostkom, grzeszne słabostki stają się udręką.

Oliver doszedł do wniosku, że umrze z nudów. Dlatego zaczął pływać w basenie o rozmiarach olimpijskiego, byle tylko

pobudzić mięśnie do wysiłku. Zapragnął, żeby Kingsley dogadał się wreszcie z Mimi. Na co on czekał? Czyżby ją nabierał? Fakt, Mimi była... wkurzająca, ale w sumie dawało się z nią wy-trzymać, a Kingsleyowi najwyraźniej się podobała. Mógł trafić na kogoś gorszego.

Co prawda Oliverowi przyszło to i owo do głowy - w końcu był chłopakiem, a Mimi śliczną dziewczyną - ale myśl o tym, że mogliby być parą, wydawała się obca i śmieszna, dlatego nie wyobrażał sobie, żeby ich przyjaźń przerodziła się w coś więcej. Pozostali więc przyjaciółmi. Lubił Mimi, ale nie pociągała go (ona pewnie powiedziałaaby to samo o nim).

Musiał jednak przyznać, że Kingsley jest szczęściarzem. Przecież Mimi zostawiła wszystko, żeby go odnaleźć. I wszystko skoń-czyłoby się dobrze, gdyby tylko Kingsley przestał być... Kingsleyem. On sam nigdy nie dostanie tego, czego pragnął; ani w tym, ani w innym życiu. Nie po raz pierwszy pomyślał, że sympatyczni faceci są zawsze na końcu.

Mimi uznała, że Kingsley nie okazuje jej zainteresowania, bo przestała mu się podobać. Gdy mijały kolejne noce, a on nie przychodził, by wślizgnąć się do niej pod kołdrę, zaczęła podejrzewać, że to nigdy nie nastąpi. Może za bardzo wzięła sobie do serca obowiązki związane z funkcją w Zgromadzeniu i przez to zaniedbała swój wygląd i pozycję najpiękniejszej dziewczyny w Nowym Jorku.

Skoro tak, to łatwo można temu zaradzić. Zarzuciła służbę prośbami o jajeczno-miodową odżywkę do włosów, skórę

pomarańczową do twarzy, mleczno-migdałowe sole do kąpieli, by skóra stała się jędrna i gładka. Opaliła kredkę antymonową nad płomieniem świecy i podkreśliła kontur oczu. Nałożyła też na wargi szminkę zrobioną z pokruszonych płatków róż. Zauważyła, że Kingsley zwykle wpada do domu na drinka przed pójściem na kolację do klubu czy innego lokalu, gdzie jej nie zapraszał, i postanowiła pewnego wieczoru zejść po schodach w oszałamiającej sukni. Krawcowe zapewniły ją, że jedwab utkano z chmur w Elizjum i że sam Książę Ciemności nie nosi tak pięknego materiału. Suknia miała rozcięcie prawie do pępka, a włosy Mimi ułożyła w miękkie fale, tak jak w Rzymie, gdy Kingsley po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę.

Gdy się pojawiła, Kingsley pił brandy u stóp schodów. Dostrzegła w jego oczach podziw. Przynajmniej jakaś reakcja, po-myślała i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Cześć - powiedziała, jakby nie planowała tego przez cały tydzień i po prostu zeszła ze schodów, wyglądając olśniewająco, jak bogini, która zaszczyliła go swoją obecnością.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał niepewnie.

-Tak. Pomyślałam, że zajrzę do tego nowego lokalu, którym zachwycał się Mamon - rzuciła od niechcienia. -  
A ty?

- Baw się dobrze - odparł, ziewając. - Miałem ciężki dzień i idę spać. Ale tobie życzę przyjemniej zabawy. Tylko nie wpakuj się w jakieś kłopoty, Force - dodał, grożąc jej palcem.

Patrzyła, jak odchodzi. No i została na lodzie. Dupek, pomyślała. Sztylet, który wbił jej w serce, wniknął jeszcze głębiej. Skąd jej przyszło do głowy, że on wart jest tej podróży?

## TRZYDZIEŚCI

Zgorzkniała królowa

Wszystkie bajki się kiedyś kończą. Świat Allegry rozpadł się pewnego jesiennego dnia, gdy sprawdzała

rachunki. Jesień przyszła tego roku wyjątkowo późno. W sobotę odbyło się tłoczenie winogron z mnóstwem zaproszonych gości, którzy świetnie się bawili. Allegra śmiała się i tańczyła razem z nimi. We wtorek winnica była zamknięta. Ben pojechał do miasta po sprawunki, a Allegra otworzyła właśnie księgę rachunkową, gdy zapadła ciemność.

Pojawili się z nadludzką szybkością - niedostrzegalną dla czło-wieka - lecz ona miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Widziała ich kamienne twarze, miecze oraz płonące czarnym ogniem pochodnie. To była zasadzka, szybki atak, który sama kiedyś wymyśliła w celu unieszkodliwienia demona. Była ich królową, a oni potraktowali ją jak zrodzoną w piekle bestię.

Rzuciła się w stronę drzwi, przewracając butelki. Na czarny ogień nie było sposobu, mogła jedynie przed nim uciec.

Kingsley Martin cmoknął językiem, zagrządzając jej drogę ucieczki. Położył znacząco dłoń na rękojeści miecza. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie mierzył do niej.

- To chyba nie jest dobry pomysł - powiedział.



- Co to ma znaczyć? - syknęła, gdy venatorzy zakuli ją w srebrne kajdanki.

- Wiesz, dlaczego tu jesteśmy, Allegro - odpowiedział Kingsley. - Wykonujemy jedynie rozkazy.

Omiotła spojrzeniem beznamiętne twarze. Kingsley Martin, nawrócony srebrnokrwisty. Forsyth Llewellyn - nie mogło go zabraknąć w tej akcji. Wyglądał, jakby dobrze się bawił. I Nan Cutler, która czuła do niej niechęć od czasów Florencji. No cóż, z wzajemnością. Otoczyli ją mieczami, nie odzywali się do niej, nie słuchali próśb i nie okazywali nawet cienia litości.

- Ruszaj - Kingsley wskazał na schody wiodące do piwnicy. Zaprowadzili ją do małego pomieszczenia, gdzie leżakowały

syrah oraz pinot noir, i przypięli ją kajdankami do krzesła. Działali szybko i sprawnie, wypowiadając zaklęcia, które nie pozwolą jej wyjść poza obręb tego miejsca. Zauważyła, że doskonale wiedzieli, gdzie co się znajduje. Widać obserwowali ją od jakiegoś czasu. Wiedzieli, że Ben pojedzie do miasta po zakupy, że we wtorki winnica jest zamknięta dla klientów, a ona zostanie sama.

- Co zrobicie z Benem? - spytała. Kingsley pokręcił głową.

- Wiesz, że nie mogę mówić o akcji.

- Proszę. - Strach ścisnął jej gardło. Kiedyś sama dowodziła takimi akcjami i wiedziała, że venatorom nie wolno okazy-

wać sympatii ani słabości, że teraz sama znalazła się na miejscu przestępców. Mimo to próbowała odwołać się do lepszej strony natury Kingsleya, by ratować ukochanego. Miała świadomość, że nadszedł czas kary i zemsty. Zrezygnowała z odnowienia więzi, by być z familiantem, a teraz będzie musiała za to zapłacić. Nikt nie mógł stawiać się ponad Kodeksem Wampirów.

Kingsley sprawdził zabezpieczenia i kiwnął głową zadowolony. Potem venatorzy opuścili pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi, i Allegra została sama w ciemnościach, czekając na brata.

Nastąpiła noc, ale Charles nie przyszedł. Venatorzy też jej nie niepokoili. Nie martwiła się o siebie, ale nie mogła przestać myśleć o Benie. Gdzie on teraz jest? Czy nic mu się nie stało? Przecież nie mogli go skrzywdzić.

Pojechał do miasta... może już jej szuka. Dlaczego zamknęli ją w piwnicy? Czyżby gdzieś go zabrali?

Co ja zrobiłam? - pomyślała. - A czego nie udało mi się zrobić?

Nazajutrz rano - chyba po wschodzie słońca - pojawił się Kingsley z kubkiem wody i chlebem. Postawił wszystko obok jej krzesła. Do chleba była też oliwa z oliwek. Przypomniała sobie z goryczą, że ostatni raz jadła taki posiłek na tarasie z Benem. Byli wtedy niewinni jak dzieci. Źle zrobiła, wciągając go w to wszystko, w ten świat tajemnic, krwi, ciemności i nieśmiertelności. On przypominał słońce, a ona meteor, smętne resztki, spadającą gwiazdę.

Właśnie skończyła jeść, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wkroczył Charles. Czarne włosy miał poprze-

tykane siwizną, chociaż nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat. Wszedł niczym wielki pan. Zaskoczyło ją to władcze zachowanie. Urósł w siłę i rozkoszował się nią. Z wyraźną przyjemnością pokazał jej, z jaką łatwością udało mu się ją wytropić. Odnaleźli ją pomimo podjętych przez nią środków ostrożności i zabezpieczeń. Gdzie popełniła błąd? A może błędem było przekonanie, że zdoła się od niego uwolnić, że zostawi ją w spokoju. Ich więź mogła się rozluźnić, ale nigdy zerwać. Teraz to wiedziała. Nie było takiego miejsca, w którym zdołałaby się ukryć przed bratem bliźniakiem.

- Rozkuj ją - polecił Kingsleyowi, który pospiesznie zdjął jej kajdanki.

Allegra gniewnie rozmasowała nadgarstki.

- Ułatwię ci sytuację - oznajmił Charles. - Jak?

- Mam twojego familianta.

Poczuła ostre ukłucie w sercu. A więc schwytali Bena. Nie-wątpliwie była to część planu. Ben nie zdołałby obronić się przed wampirami. Nie był dla nich żadnym przeciwnikiem. Nie mogła uwierzyć, że Charles upadł tak nisko, by grozić czerwonokrwistym. To wykraczało poza wszelkie ustanowione przez nich prawa, było niegodne mocy, jaką Charles posiadał.

- Nieprawda - odparowała. - Nie posunąłbyś się do tego.

- Od ciebie zależy, co się z nim stanie - odpowiedział chłodno. - Mnie jest wszystko jedno.

- Nie skrzywdziłbyś ludzkiej istoty. To wbrew kodeksowi, który podpisałeś własną krwią, Michale.

Charles spuścił głowę. Kiedy spojrzał na nią, miał łzy w oczach. Zwrócił się do niej tak jak ona do niego, imieniem nadanym u zarania dziejów, gdy i oni zrodzili się ze światła.

- Gabrielo, ta farsa trwa już zbyt długo. Wiem, że chcesz mnie zranić, i udało ci się. Ale proszę, połóż wreszcie kres temu niemądremu zauroczeniu.

Zobaczyła to, co on widział - gorzki koniec dnia ich ślubu: Cordelię czekającą na stopniach prowadzących do muzeum, a potem Charlesa z pobladłą twarzą i posiwiałymi skroniami. To był bolesny cios. Przerażeni i zaskoczeni goście, Zgromadzenie pod bronią. Allegra zniknęła... Czy została porwana? Strach, a potem szok, gdy zrozumieli, co zrobiła. Zostawiła go, zostawiła ich wszystkich, odwróciła się od Zgromadzenia.

- Kocham go, Michale - powiedziała. - Nie odeszłabym, nie zrobiłabym tego, gdybym go nie kochała. Kocham go całym ser-cem i duszą.

- Nie możesz - odparł beznamiętnym tonem. - Nie wiesz, co mówisz. On stoi niżej od ciebie. Masz obowiązek odnowić więź, jesteś to winna Zgromadzeniu. I mnie - dodał w myślach, ale nie powiedział tego głośno.

- Kocham go - powtórzyła Allegra. - Kocham go bardziej niż ciebie. - Miała dość więzi, dość Zgromadzenia, dość bycia królową. Chciała stać się zwykłą dziewczyną.

Na Charlesie nie zrobiło to wrażenia.

- Kochaj go, jeśli chcesz, Gabrielo. Ja nadal cię kocham i zawsze będę kochał. Wybaczę ci wszystko i wybaczę również to.

Popatrzył na nią ze smutkiem

Allegra poczuła, jak żołądek jej się ściska. Charles mówił prawdę, wiedziała, jak bardzo go to rani.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Jeżeli mnie kochasz, to powiedz, co naprawdę zaszło we Florencji. Dlaczego tego nie pamiętam? Wiem, co zrobiłam, ale niektóre wspomnienia są dla mnie niedostępne. Czuję, że ty za tym stoisz, Michale. Czuję twoją magię. Ukrywasz przede mną wspomnienia. Nie masz prawa.

Nie odpowiedział. Wyszedł bez słowa i zamknął drzwi.

- Mam wszelkie prawo - usłyszała jeszcze jego cichą odpowiedź.

Wtedy zrozumiała, że nigdy nie pozna prawdy. I chociaż wciąż wierzyła, że w żadnej sytuacji Michał o Czystym Sercu, największy z aniołów, nie skrzywdziłby człowieka, nagle zaczęła się bać.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Odźwierna

Schuyler kuliła się, gdy jej towarzyszki robiły z nią, co chciały. Uróżowały jej policzki i usta, nasmarowały włosy olejkiem z hipopotama (podobno w nim tkwił sekret urody królowej Nefertiti), potem ułożyły je w loki i nasmarowały ciało wonnym balsamem. Kazały jej zdjąć bieliznę i zmusiły do włożenia koronkowej białej sukni z obcisłym gorsetem i niebezpiecznie głębokim dekoltem. I tak jak zapowiedziały, powiększyły jej biust specjalnymi wkładkami z pianki.

- Zrobiłyśmy, co się dało - prychnęła starsza kobieta, sznurując gorset tak ciasno, że Schuyler ledwo mogła oddychać.

Młodsza przyniosła pantofle na wysokich obcasach.

- Pamiętaj, lepiej nie walcz - powiedziała życzliwie. - Stąd nie ma wyjścia, więc musisz się z tym pogodzić.

Schuyler nie odpowiedziała. Gdy zostawiły ją samą, podeszła do lustra i nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Wyglądała jak parodia panny młodej. Suknia balansowała na granicy przyzwo-

itości, miała rozcięcie sięgające uda i była prawie przezroczysta. Nigdy w życiu nie nosiła tak skąpego stroju, nawet na plaży.

Zastanawiała się, jak Deming i Dehua dają sobie radę, i miała nadzieję, że potrafią zadbać o siebie. Czy nie

naraziła ich na wiel-kie niebezpieczeństwo? Pomyślała o tym, co wkrótce miało na-stąpić, i starała się nie panikować. Trzymając rękę na brzuchu, powiedziała sobie, że znajdzie jakieś wyjście. Przeżyje bez względu na to, co się stanie. Musi być silna. Starła się nie myśleć o twardym, okrutnym spojrzeniu Danela i obrazach, które jej wysłał. Bez względu na wszystko będzie z nim walczyć. A jeżeli się nie uda, postara się z tym żyć. Nie pozwoli, by strach i rozpacz wzięły górę.

Drzwi się otworzyły i Schuyler wciągnęła powietrze, zastana-wiając się, czy już czas. Przesłała błagalną prośbę do matki, żeby pomogła jej być silną. Do pokoju weszła siwa kobieta w cienkiej, jedwabnej szacie, pobrząkując bransoletami. Jednak nie popra-wiła Schuyler włosów ani nie sprawdziła, czy jest odpowiednio uperfumowana.

- Szybko - powiedziała. - Mamy mało czasu. Musimy uwolnić pozostałe.

Schuyler podążyła za wybawczynią przez labirynt korytarzy.

- Kim jesteś? - spytała.

Kobieta uśmiechnęła się. Towarzyszący jej spokój i elegancja wydały się Schuyler znajome.

- Nie domyślasz się?



- Jesteś Katarzyną ze Sieny - wyszeptała Schuyler, trochę przestraszona, że jej plan jednak zadziałał. - Odźwierną.

Katarzyna przypominała jej matkę. Allegra też miała w sobie taką elegancję i poczucie misji, które dawało wrażenie, że unosi się ponad problemami tego świata.

- Przepraszam, że nie przyszedłam wcześniej - powiedziała Katarzyna. - Ale kiedy zabrali ci miecz, wiedziałam, że muszę zaczekać, póki nie oddadzą cię w ręce kobiet. Dzięki temu łatwiej mi było cię stąd wyciągnąć.

- Przyszedłam tu z dwiema towarzyszkami.

- Wiem. Trzymają je na dole - odpowiedziała Katarzyna, zbiegając po kilku stopniach prowadzących do długiego korytarza. Sprawdziła kilkoro drzwi, aż w końcu znalazła właściwe. W środku znalazły Dehę ubraną w podobny strój jak Schuyler. Jej ślubna suknia była nawet bardziej nieprzyzwoita - miała stanik ozdobiony klejnotami i długą spódnicę. Na ich widok dziewczyna zerwała z głowy obszyty koronką welon.

- Nic ci się nie stało? - spytała Katarzyna.

- Niech tylko spróbowaliby mnie dotknąć - odpowiedziała z pogardą w głosie Dehua. - Musimy odzyskać miecze.

- Ja je mam - wyjaśniła Katarzyna. - Były w zbrojowni. Udało mi się je zabrać, zanim te chciwe demony położyły na nich łapy - dodała, wręczając broń dziewczętom.

Dehua wsunęła miecz do pochwy i spojrzała na Schuyler.

- Dowiedzieli się, że jesteś błękitnokrwista? -Tak.

- Gdzie jest moja siostra?

- Myślałam, że z tobą - odparła Katarzyna. - Sądziłam, że trzymają was razem. Słyszałam, że chcą sprzedać was jako parę.

- Nie. Zostałyśmy rozdzielone, gdy oddali nas w łapy tych diabelskich służących. Słyszałam, jak mówią coś o zabraniu jej do zamku Styks. Deming szarpała się z nimi i to miała być dla niej kara. Ona jest w gorącej wodzie kąpana.

Katarzyna pokręciła głową.

- To za daleko. Ten zamek jest poza Czyścćem, tuż przy granicy z Królestwem Śmierci. Nie zdążymy tam dojść i wrócić na czas do Bramy.

- Nie zostawimy jej! - wykrzyknęła Dehua. Schuyler jej przytaknęła.

- Nie możemy jej zostawić. To ja je tu ściągnęłam i teraz muszę je wyciągnąć.

- Jeżeli po nią pójdziecie, nie gwarantuję wam bezpieczeństwa - odparła Katarzyna.

Nie było czasu na kłótnie, bo gdy wyszły z za rogu, musiały natychmiast się cofnąć - korytarz aż roił się od trolli. Ich zniknięcie zostało szybko zauważone.

Schuyler nigdy nie widziała takich istot. Miały dziki, zwierzęcy wygląd i węszyły w poszukiwaniu tropów.

- Za późno - powiedziała Katarzyna. - Musimy uciekać. Pójdziemy podziemną ścieżką do Bramy. Gdy znajdziemy się po drugiej stronie, już nas nie dopadną.

Trolle skręciły za róg i coś do siebie powiedziały w gardłowym języku. Po chwili jeden z nich wydal ostry, świdrujący ryk.

- To alarm. Za chwilę zjawią się tu demony i Croatanie - oznajmiła Katarzyna, popychając je w stronę podziemnej ścieżki. - Musimy przejść przez Bramę.

Schuyler i Dehua nie miały innego wyjścia, jak podążyć za nią. Szybko pokonały wąskie przejście zakończone czymś, co wyglądało jak potężna twierdza zasłaniająca niebo, zrobiona z litej skały. Nie przypominała bramy, raczej granitową górę.

- Gdzie ta Brama? - wydyszała Schuyler.

- To jest Brama - odpowiedziała Katarzyna. - Nie przepuszcza jedynie srebrnokrwistych. My możemy przejść.

Pchnęła dziewczęta w stronę skały. Schuyler bała się, że w nią uderzy, tymczasem przeszła przez coś, co wyglądało jak pajęczyna lub miękka, bawełniana siatka, i znalazła się na twardej, kamiennej podłodze.

- Nie! - krzyknęła Dehua. - Nie wyjdę bez siostry.

Trolle były tuż za nimi, słycać było ich gardłowe, przerażające pomruki. Nagle rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk torturowanej kobiety. To był głos Deming i Dehua odpowiedziała równie przeraźliwym wrzaskiem.

- Moja siostra!

- Schuyler, pomóż mi! - zawołała Katarzyna.

Schuyler zobaczyła, jak strażniczka przepycha venatorkę przez Bramę. Chwyciła Dehue z drugiej strony i wspólnie udało im się przeciągnąć krzyczącą dziewczynę. Wszystkie trzy upadły na podłogę. Ścigające ich trolle grzmotnęły w skałę i jeden z nich zawył z bólu.

Ale Brama wytrzymała. Moc aniołów nie pozwoliła przejść potworom na drugą stronę. Waliły w nią, ale na próżno. Dehua leżała na ziemi i płakała. Schuyler też chciało się płakać. Usiło-wała pocieszyć dziewczynę, lecz Dehua odepchnęła ją szorstko.

Katarzyna przyłożyła dłonie do ściany i wymruczała inkan-tację. Brama zamknęła się i trolle zniknęły.

Schuyler rozejrzała się wokół siebie z ciekawością. Znajdowały się w malej sali o kamiennych ścianach i stożkowatym suficie. Natychmiast domyśliła się, że są we wnętrzu jednej z piramid w Gizie. Było tak, jak przypuszczała: Brama Obietnicy znajdowała się w najbardziej widocznym i popularnym miejscu Kairu. Przez cały czas miała ją przed oczami.

## TRZYDZIEŚCI DWA

### Księżę Piekła

Wewnętrzny zegar Mimi sygnalizował jej, że ich pobyt w świecie podziemnym trwa już miesiąc i przez ten czas nic się nie zdarzyło. Nie rozumiała, czego Kingsley od niej chce, i doszła do wniosku, że nic - co było ciosem dla jej ego. Oliver stawał się coraz bardziej niespokojny i jeżeli zostaliby tu dłużej, nigdy nie odnaleźliby powrotnej drogi na ziemię. Ich dusze zaczęłyby się

dopasowywać do tego miejsca. Należało więc ruszać w drogę.

Dlatego pokonała dumę i zapisała się na oficjalną rozmowę z doradcą w jego biurze, by nikt im nie przeszkadzał. Mieszkała w domu Kingsleya, ale rzadko go widywała, a on nigdy nie szukał jej towarzystwa. Miała dosyć roli lekceważonego gościa. Skoro on nie chciał z nią mówić, to ona będzie. Nie mogła dłużej tego ciągnąć. Trzeba myśleć o Zgromadzeniu, miała przecież obowiązki wobec dużej społeczności, nie mogła zajmować się wyłącznie kłopotami sercowymi. Nie wiedziała już, czego oczek-

kiwać. Jeżeli Kingsley nie odwzajemniał jej uczuć, no to będzie musiała się z tym pogodzić.

Kingsley siedział za długim hebanowym biurkiem. Spojrzał na nią zaskoczony, gdy weszła.

- Jesteś strasznie oficjalna, Force. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, widząc zapisane w kalendarzu twoje nazwisko. Jeżeli chciałaś ze mną porozmawiać, to mój pokój jest na końcu korytarza - powiedział, opierając długie nogi na brzegu biurka i zakładając ręce za głowę. Zaczął huśtać się w fotelu z tą swoją irytującą nonszalancją.

-Jasne - mruknęła Mimi, siadając na wprost niego. -  
Tylko że nigdy nie ma cię w domu.

- Piekło jest duże. Jestem zajęty - odparł. - No więc, o  
co chodzi?

Teraz, kiedy mogła wreszcie powiedzieć prawdę,  
zawahała się. „Kocham cię” wydawało się zbyt śmiałe  
jak na początek, a „Co do mnie czujesz?” za słabe. Nie  
mogła mu wyznać uczuć, gdy patrzył na nią z  
aroganckim uśmiechem. To było zbyt upokarzające.  
Chociaż postanowiła, że nie pozwoli, by jej  
zarozumiałstwo lub jego niefrasobliwość przeszkodziły  
w wyznaniu miłości, teraz uznała, że on po prostu nie  
jest tego wart. To była jakaś farsa. Wyobrażała sobie, że  
on bardzo cierpi, że tęskni za nią i że powita ją z  
otwartymi ramionami, jak wolni obywatele witają  
swoich dzielnych wyzwolicieli. Jednak rzeczywistość  
okazała się zupełnie inna. Wstała z krzesła.

- Wiesz co, chyba masz rację. To jest śmieszne.  
Marnuję tylko twój cenny czas.

Kingsley pochylił się w przód i omal nie spadł z fotela,  
tracąc na chwilę pewność siebie. Wyprostował się, ale  
nie oparł już nóg na biurku.

- Zaczekaj. Zanim wyjdiesz, mam pytanie.

Nie ruszyła się z miejsca, czekając na to, co powie.

- Co właściwie tu robisz? - spytał. - W świecie podziemnym oczywiście.

Mimi rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Co to za pytanie? Jak to co ja tu robię? A jak ci się wydaje? Oczywiście jestem tu z twojego powodu!

Spojrzał na nią zdumiony.

- Z mojego powodu? Jak to? - Dotknął palcem policzka.

Nienawidziła go. Czy on naprawdę chciał ją upokorzyć? Zawsze był powściągliwy, ale nie okrutny, złośliwy, ale nie podły. Dobra. Jeżeli chce, by to powiedziała, to da mu tę satysfakcję. Przynajmniej będzie musiał wysłuchać, co ona ma do powiedzenia.

- Ja... tęskniłam za tobą. Chciałam cię znowu zobaczyć. Przyjechałam tu dla ciebie. No wiesz, żebyśmy mogli...

- Zawa-hała się, czując ucisk w gardle i łzy napływające do oczu, głównie dlatego, że patrzył na nią z taką niechęcią. To było ponad jej siły. - Teraz to już nie ma znaczenia. To oczywiste, że ty nie... - Nie była w stanie dokończyć. Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Kingsley zerwał się z fotela i zatrzymał ją, kładąc dłoń na ramieniu. Oczy mu się zwęziły, a na twarzy malował się gniew.



- Chwileczkę. Myślałem, że jesteś tu w sprawie Zgromadzenia. Wiem, co się dzieje na górze. Sądziłem, że może potrzebu-

jesz czegoś z Królestwa Śmierci. Mam uwierzyć, że jesteś tu tylko po to... Chcesz powiedzieć, że to wszystko z mojego powodu?

Mimi miała ochotę umrzeć ze wstydu. Kingsley patrzył na nią, jakby nigdy nie słyszał czegoś równie głupiego. Było tyle niedopowiedzeń w ich związku - jeżeli można użyć tego słowa - a teraz okazało się, że gdy ona uważała go za miłość swojego życia, on widział w niej jakąś cizję, z którą przespał się parę razy. Uświadomiła sobie z bólem, że przez cały czas żyła w świecie iluzji. Poświęciła cały rok, by go stąd wydostać, i co z tego miała?

- Tak, to wszystko z twojego powodu. Zadowolony?

- Ale dlaczego? - spytał, wciąż zaskoczony.

- By cię uratować.

Miał tyle przyzwoitości, żeby się nie roześmiać. Zmarszczył czoło.

- Nie jest łatwo dotrzeć do siódmego kręgu. Musiałaś mieć jakiś ważniejszy powód. Powiedz szczerze, o co tak naprawdę chodzi? Zawsze miałaś w zanadrzu różne

pomysły. Po co tu przyjechałaś? Może będę mógł ci pomóc.

Mimi pokręciła głową. Powiedziała mu prawdę, ale jej nie uwierzył. Przez chwilę była zbyt zaskoczona, żeby wydobyć z siebie głos.

- Nie wiem, jak mam cię przekonać, że jestem tu z twojego powodu i tylko z twojego - odpowiedziała po chwili. - Dolna warga zaczęła jej drżeć. Nie wiedziała już, co gorsze: że wyznała mu prawdę czy to, że w nią nie uwierzył.

Kingsley westchnął i przesunął dłonią po czarnych włosach.

- Myślałem, że ze względu na naszą dawną znajomość będziesz ze mną szczerą.

- Jestem szczerą.

- Więc wielki Azrael przybywa do Królestwa Śmierci, bo się zakochał? Tak? - Uśmiechnął się drwiąco. - Dlatego chcesz od-nowić więź z Abbadonem? Bo mnie kochasz?

Mimi wymierzyła mu siarczysty policzek.

- Ty draniu. Przyjechałam tu dla ciebie. Ale wiesz co, już mi nie zależy. Gnij w Piekło.

Kingsley uśmiechnął się i otarł usta mankietem koszuli.

- To jest Azrael, jakiego pamiętam.

## TRZYDZIEŚCI TRZY

Błagalnie

Glodzili ją.

Skończyła się woda, chleb, oliwa. Kingsley Martin przestał spełniać dobre uczynki. Charles więcej jej nie odwiedził. Nie wiedziała, jak długo tkwi w zamknięciu, ale czuła zachodzącą w niej zmianę. Regularnie piła krew, więc organizm zaczął się jej domagać. Musiała przeprowadzić caeñmonia oscuhr i dostarczyć organizmowi porcję świeżej krwi.

Venatorzy też mieli tego świadomość, bo nazajutrz rano rozległo się pukanie do drzwi.

- Kazano mi go przyprowadzić - powiedziała Nan Cutler, wpychając do salki młodego człowieka. - Napij się jego krwi. Zbyt długo się bez niej obywałaś. - Pchnęła chłopaka ku Allegrze.

Młodzieniec był piękny i wyglądał dokładnie jak Ben - wysoki, jasnowłosy i przystojny. Odurzono go i patrzył na nią nie-przytomnym wzrokiem.

- Nie - odpowiedziała Allegra, czując obrzydzenie połączone z podnieceniem. Owionął ją zapach krwi, gęstej, lepkiej i ożywczej. Zakręciło jej się w głowie z

pragnienia. Miała ochotę rozorać chłopakowi gardło i pić do upadłego, aż znalazłby się na granicy śmierci. Ale się powstrzymała.

Gdyby wzięła nowego familianta, Ben przestałby być kimś wyjątkowym. Tego właśnie pragnął Charles. Więzy z familiantem była silna, ale nowy czerwonokrwisty mógł ją osłabić. Charles chciał, żeby zapomniała o Benie albo wzięła sobie jeszcze kogoś. Wówczas powiedziałaby: „On jest dla ciebie tylko dostawcą krwi, niczym więcej”.

- Zrób to - powiedziała Nan. Pchnęła Allegrę w stronę chłopaka, który upadł na podłogę.

Dobry Boże, tak bardzo chciała się napić, posmakować go. Może tylko troszeczkę. Czy to coś złego?

O czym ona myśli? Nie, nie chce, nie może. To była istna tortura. Usiadła okrakiem na piersi młodzieńca, pochyliła się i dotknęła wargami jego szyi. Wysunęła kły mokre od śliny. Była taka głodna. W końcu jednak podniosła się i zatoczyła na przeciwległą ścianę, na wpół przytomna i blada jak papier.

Charles chciał zrobić z niej potwora, udowodnić, że jej miłość jest słaba, że to pomyłka, zwykła mrzonka. Chciał pokazać, kim oni są - upadłymi aniołami,

wyklętymi przez Boga, żywiącymi się ludzką krwią. Jak nisko upadli. Jak nisko ona upadła.

Nie zrobi tego.

- Nie - odpowiedziała, tym razem bardziej zdecydowanie. Wstała i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Zabierz go stąd.

- W porządku - odrzekła Nan, wzruszając ramionami. - Skoro nie chcesz, to ja skorzystam.

Zaciągnęła chłopaka w kąt piwnicy i zatopiła kły w jego szyi. Po chwili rozległo się głośne siorbanie.

Allegra czuła mdłości. Miała wrażenie, że przebywa w piwnicy czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Nie wiedziała, co się stało z Benem ani co planuje Charles, ale teraz była pewna, że Ben żyje. Czułaby, gdyby umarł.

Na razie żył, ale ile jeszcze czasu mu pozostało? Czy mogła ufać Charlesowi, że zachowa go przy życiu? A może świadomość, że ona kocha Bena, była zbyt bolesna dla jej brata? W końcu z łatwością mógł złamać kark Benowi albo osuszyć go na śmierć, albo sprawić, żeby wyglądało to na wypadek, a ona nigdy nie poznałaby prawdy.

Pomyślała o wszystkim, przez co przeszli z Charlesem. Jak mogło dojść do takiej sytuacji? Zostawiła go przed ołtarzem, upokorzyła przed Zgromadzeniem, lecz nawet teraz nie chciała do niego wrócić, chociaż miał w ręku wszystkie karty i nie pozostawił jej wyboru.

Dlaczego się opierała? Jak mogła wierzyć w to, że będzie zdolna sama decydować o swoim losie? Nie było jej pisane być z Be-nem, teraz miała tego świadomość.

Skrzywdziła wszystkich - bliźniaka, ukochanego, siebie, Zgromadzenie, nie chciała przyjąć do wiadomości prawdy, że nie może mieć Bena. Nie było ucieczki przed nieśmiertelnym losem, a te słoneczne miesiące w zielonej dolinie były równie nieprawdziwe,

jak udawanie, że nic nie czuje do swojego nieśmiertelnego to-warzysza. Kochała Charlesa, ale nie mogła zaprzeczyć, że miłość do Bena była znacznie silniejsza i głębsza.

Musiała jednak pogodzić się z tym, że nie jest zwykłą dziewczyną. W przeciwnym razie Ben umrze. Nie miała co do tego wątpliwości. Dla Charlesa najważniejsze było utrzymanie jedności w Zgromadzeniu. Zeby to osiągnąć, poświęci wszystko, nawet Kodeks Wampirów. Nie pozwoli Benowi żyć, bo dopóki on żyje, Allegra będzie za nim tęsknić i nigdy do niego nie wróci. Podjęła więc decyzję.

- Chcę rozmawiać z bratem - oznajmiła strażnikowi.  
Kingsley zasalutował.

- Zaraz go przyprowadzę.

Czuła wdzięczność, że to właśnie on jej pilnował.  
Kiedyś byli przyjaciółmi. W Rzymie pomogła mu  
panować nad skażeniem duszy. Niewielu ufało  
nawróconemu srebrnokrwistemu, ale ona zawsze go  
lubiła. Pamiętała go jako młodego chłopca Gemellusa,  
słabeusza i mięczaka.

Gdy zjawił się Charles, Allegra rzuciła mu się do stóp,  
dotknęła głową jego butów i zrosiła łzami sznurowadła.

- Przepraszam - zatkała.

- Allegro, nie rób tego. Nie musisz. Proszę cię, wstań.  
Nie mogę na to patrzeć - powiedział Charles, klękając  
przed nią i usiłując zdjąć jej ręce ze swoich nóg. -  
Proszę cię.

Na jego twarzy malowało się cierpienie. Allegra nie  
wiedziała, dla kogo to jest trudniejsze, dla niego czy dla  
niej. Dzielili ten ból wspólnie, jak wszystko. Czuł to co  
ona, był przecież

jej bliźniaczym bratem. Nie mógł znieść tego, że tak się  
przed nim ponizła. Ale stawką była jej miłość, musiała  
więc zapomnieć o wstydzie czy dumie.

- Nie zabijaj go, Charlie, proszę. Wróć do ciebie. Wypowiem słowa przysięgi i będziemy razem. Tylko nie rób mu krzywdy. Proszę.

## TRZYDZIEŚCI CZTERY

Słuszna wojna

Jack zorientował się, że coś jest nie tak, gdy w świątyni zgasły światła.

- Coś się dzieje. Ruszamy - zwrócił się do swoich towarzyszy. Gdy weszli do środka, nikogo nie zastali. Dziewczęta zniknęły, nic też nie wskazywało na to, że rozegrała się tu jakaś walka. Nawet świece się paliły, a wokół panowały spokój i cisza. Pozostał tylko posąg boga z głową szakala, który spoglądał na nich drwiąco.

- Gdzie one się podziały? - spytał Sam, przeczesując palcanu włosy. - Nie czuję ich w wymiarze uroku. - Wiąż telepatyczna została zerwana w chwili, gdy zgasły światła. To źle wróżyło

- Tu gdzieś musi być ukryta ścieżka. Skoro nie wyszły ze świątyni, musiały zejść do podziemia - powiedział Jack. Ukląkł na podłodze i zaczął ją opukiwać, ale słyszał jedynie głuchy dźwięk, świadczący o tym, że jest to lita skała. Jeżeli było jebes zejście do podziemi, to otwierała je tylko inkantacja lub zaklęcie. Spróbował kilku, lecz bez rezultatu.



Ted obszedł teren wokół świątyni, lecz tam też niczego nie znalazł. Nie było śladu, by ktoś wchodził do świątyni. Od kilku godzin obserwowali to miejsce, a jednak dziewczęta zniknęły, rozplynęły się w powietrzu. Nie. Dokładnie wiedzieli, dokąd je zabrano - do świata podziemnego, gdzie miały zostać oblubie-nicami demonów.

Jack uspokoił oddech. Pocieszał się tym, że dziewczęta nie są bezbronne. Dwie były wyszkolonymi venatorkami, a Schuyler też potrafiła walczyć. Starał się zapanować nad gniewem i uczuciem bezradności. Musi pomyśleć. Jeżeli przejście prowadziło pod ziemię, to znaczy, że Brama musi być gdzieś blisko. Więc Schuyler miała rację twierdząc, iż powinni szukać w Kairze. Pewnie pod jego stopami.

Nie minęła minuta, gdy nagle ją zobaczył. Mignął mu obraz Schuyler wpadającej przez ścianę do pomieszczenia w piramidy. Za nią pojawiła się Dehua i jakaś starsza kobieta.

- Są w Gizie - oznajmił bliźniakom.

Gdy Jack i bracia Lennoxowie dotarli do piramidy, Schuyler i Katarzyna rozmawiały przyciszonymi głosami. Jack nie zrobił żadnej uwagi na temat ich strojów, bo wszyscy wiedzieli, po co nefilimowie porwali dziewczęta, ale widok tych groteskowych

parodii sukni ślubnych zaszokował go. W pierwszej chwili pomyślał, że nie mieli przecież dość czasu na tak staranne przygotowania, potem jednak przypomniał sobie, że w tamtym świecie czas płynie inaczej. Zabiłby każdego demona w Piekło, który choćby dotknął włosów Schuyler.

- Gdzie jest Deming? - spytał natychmiast Sam.

- Musiałyśmy ją zostawić - wyjaśniła Schuyler. - To moja wina. Demony nas rozbroiły, zanim zdążyłyśmy coś zrobić. Prze-praszam. Nie sądziłam, że stracimy z wami kontakt.

- Wrócimy po nią - powiedziała Dehua schrypniętym głosem. Miała oczy zaczerwienione od płaczu. - Nie martw się, Sam. Deming potrafi sobie radzić.

- Zaufałem ci - odpowiedział Sam napiętym głosem, patrząc na Schuyler. - Od tej chwili będziemy postępować po mojemu.

- Przepraszam - powtórzyła Schuyler. - Bardzo mi przykro. Nie przypuszczałam, że tak się stanie.

- Niepotrzebne mi przeprosiny. Muszę znaleźć sposób, by dostać się do świata podziemnego. Brama jest tutaj, tak? Idziemy. - Kiwnął głową na brata i Dehue. - Pokaż nam przejście - powiedział, po raz pierwszy zwracając się do Odźwiernej. - Ty pilnujesz tej Bramy, tak?

-Jeżeli teraz pójdziecie, nic nie wskóracie - odezwała się Ka-tarzyna. - Nie wydostaniecie jej stamtąd, bo demony z Czyścica szukają teraz dwóch uciekinierek. - Wskazała na Schuyler i Dehue. - Zamek Styks stoi na granicy. Jeżeli ją tam zabrali, to znaczy, że została wybrana na Ślubne Żniwa, mamy więc czas do pierwszego sierpnia. Na razie zostawią ją w spokoju. Nikt jej nie tknie i będziecie mogli ją odbić w Noc Dziewiczą tuż przed Żniwami. Wtedy zamek będzie pusty, bo demony będą święto-wać w Tartarze.

Sam rozważał chwilę jej propozycję. W końcu odetchnął głę-boko.

- Dobrze, zaczekamy. Ale to ja pokieruję akcją. Nie chcę więcej żadnych błędów.

Jack zarzucił Schuyler na ramiona swoją kurtkę, a venatorzy wyszli. Wyglądało na to, że zespół się rozpadł, a bracia Lenno-xowie znowu stracili zaufanie do Jacka i Schuyler, dając im wyraźnie do zrozumienia, że wolą naradzić się we własnym gronie. Dehua nawet nie zaszczyciła ich spojrzeniem.

- Nic ci się nie stało? - spytał Jack. Do tej chwili nie okazywał żadnych emocji.

- Dzięki Katarzynie - odparła Schuyler. Ścisnęła go za rękę, dziękując tym gestem za kurtkę. - Muszę pozbyć się tego ohyd-nego kostiumu.

- Jesteś Alkione, prawda? - powiedział Jack do Odźwiernej. - Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

- Trudno byłoby zapomnieć Abbadona z podziemnego świata - odparła Katarzyna. Uśmiechnęła się i uścisnęła Jackowi rękę. - Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, ale nic nie można na to poradzić. Chodźcie, znajdziemy lepsze miejsce do rozmowy.

Katarzyna mieszkała na przedmieściach Gizy, w domu wybudowanym w dziewiętnastym wieku i podzielonym na mieszkania przeznaczone dla pracowników naukowych uniwersytetu i młodych małżeństw. Jej lokum było małe, ale wygodne, i wyglądało na to, że Odźwierna zajmuje je od bardzo dawna. Świadczyły o tym egzemplarze magazynu „Life” z lat trzydziestych dwudziestego wieku leżące na stoliku do kawy, magnetofon szpulowy i telefon z tarczą.

Katarzyna postawiła na kuchence czajnik z wodą.

- Jak widzicie, Brama znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie teraz, gdy srebrnokrwisci wiedzą, gdzie ona jest - powiedziała. -

Szkoda, że wcześniej nie zdemaskowaliśmy Croatanów, którzy przeniknęli do naszych zgromadzeń.

- Ale Micha! twierdził, że wszyscy Croatanie zostali unicestwieni podczas kryzysu w Rzymie - wtrącił Jack, zdając sobie sprawę z tego, jak nieprzekonująco to zabrzmiało.

- Michał mówił wiele rzeczy - odparła Katarzyna z krzywym uśmiechem. - Nie wszystkie były prawdziwe. Nie chciał, żeby Zgromadzenie bało się wroga. Dlatego założył Zakon Sied-miorga. Gdy powstały Bramy, pewna grupa srebrnokrwistych pozostała po naszej stronie. Michał i Gabriela stworzyli zespół, który miał ich wyłapać. To było nasze pierwsze zadanie jako Strażników.

Schuyler patrzyła, jak twarz Jacka zmienia się pod wpływem tych nowin. Uświadomił sobie bowiem, że przez całe wieki trzymano go w nieświadomości.

- Więc Mimi miała rację - stwierdził. - Para Bez Skazy nigdy nam nie ufała... Dlatego o niczym nas nie informowali. - Nadal uważają nas za zdrajców, generałów Lucyfera, chociaż odwróci-liśmy losy bitwy.

- Twoja siostra zawsze była dobrą obserwatorką - przyznała Katarzyna. Wyjęła serwetki i talerze. -

Prędzej czy później uda im się zniszczyć Bramę. Wilki regularnie przez nią przechodzą,

nawet paru demonom się to udaje. Przedtem było to nie do po-myślenia. Robię, co mogę, żeby zmylić im tropy.

- Pułapka we Florencji - wtrąciła Schuyler.

- Tak. To ich na jakiś czas powstrzymało.

- A petruwianie też są częścią planu? - spytała Schuyler z lekkim niepokojem. - Czy wiesz, że oni mordowali niewinne kobiety i dzieci w imię Błogosławionych?

- Tak jak powiedziałam, robiłam, co mogłam. Osobiście szkoliłam zakonników. - Katarzyna wlała gorącą wodę do pię-katego dzbanka na herbatę. - I tu robię to samo. Staram się wyciągać te dziewczyny, zanim zostaną poślubione Croatanom.

- A jeśli już je uwiedli? - dopytywała się Schuyler. Jeżeli zaszły w ciążę? Co wtedy robisz, Strażniczko?

Katarzyna nakryła do stołu, wyjęła herbatniki z metalowego pudełka i ułożyła je na talerzykach w lilie.

- Podrzynam im gardła - odpowiedziała bez cienia wyrzutów sumienia. - Zapraszam na poczęstunek - dodała.

- A co z dziećmi? - spytała Schuyler drżącym głosem.

- To samo - padła odpowiedź.

Schuyler zbladła i straciła oddech. Zobaczyła to, co przez lata robili Katarzyna i petruwianie: dzieci przebite bagnetami, dziewczęta z rozciętymi brzuchami, krew i płomienie, skutki za-ciekłej, podstępnej wojny.

- To musi być jakaś pomyłka - powiedziała, patrząc na Jacka, który tylko spuścił głowę.

Nie miałem o niczym pojęcia. Nic nie usprawiedliwia takiego okrucieństwa, nawet jeżeli celem jest przetrwanie wampirów.

Odźwierna zamoczyła herbatnik w herbacie z mlekiem i ugryzła kawałek.

- Nie ma żadnej pomyłki - odpowiedziała. - Zakon petruwiański założył sam Michał. Ja byłam odpowiedzialna za jego utrzymanie.

## TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Żywi i zmarli

Wyjeżdżamy? - spytał Oliver z wyraźną ulgą, gdy Mimi przedstawiła swój plan.

Wparowała do jego pokoju z tak morderczym wyrazem twarzy, że przez chwilę bał się o swoje bezpieczeństwo. Na szczęście kopnęła jedynie poduszki, które spadły na

podłogę, a potem klapnęła obok niego na kanapę. Wyglądała jak sflaczały czerwony balonik.

- Przekupiłam demona fiolką mojej krwi - oznajmiła. - Nie chcę wiedzieć, do czego mu ona potrzebna. - Zadrzała mimo woli. - Powiedział, że jeżeli chcemy się stąd wydostać, musimy wsiąść do pociągu, który zawiezie nas prosto do Czyścica.

- Co z Kingsleyem? - spytał Oliver.

- A co ma być? - prychnęła.

Oliver wyłączył telewizor. Film o kosmicie mieszkającym razem z jakąś rodziną, był tak niedorzeczny, że z przyjemnością przerwał jego oglądanie. Podszedł ostrożnie do Mimi.

- Nie wraca z nami?

- Nie - odparła Mimi i kopnęła stolik do kawy. - Au! - wrzasnęła, łapiąc się za stopę. - Nie chcę o tym mówić, jasne?

Oliver kiwnął głową.

- Jasne.

Mimi wróciła do swojego pokoju. Chciała być sama. Miała złamane serce, ale nie czuła bólu, jedynie odrętwienie. Trzymała się kurczowo tej miłości w nadziei, że pewnego dnia znajdzie szczęście. Okazało



się, że na próżno, że wszystko było złudzeniem. Źle odczytała sygnały, Kingsley nigdy jej nie kochał. Nie czuł tego co ona i pewnie zawsze tak było.

Jej podróż dobiegła końca. Przegrała. Wróci do Zgromadzenia, poskłada swoje życie do kupy i odbuduje jedność wampirów. Nie wiedziała, co teraz robić. Szukać brata? Zemścić się? Czuła się zbyt zmęczona, aby myśleć o zemście. Miała ochotę się wypłakać, ale nie chciała dać Kingsleyowi satysfakcji, gdyby usłyszał jej łkanie. Za to porządnie mu przyłożyła. Jego policzek zrobił się szkarłatny, ale jeszcze większą przyjemność sprawiło jej zaskoczenie malujące się na jego twarzy.

Nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Oliver, idź sobie - warknęła. - Mówiłam ci, że nie chcę o tym rozmawiać.

Drzwi się jednak otworzyły.

- To nie Oliver, to ja. - W drzwiach stał Kingsley. Wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego. Lewy policzek miał lekko zaróżowiony.

- Czego chcesz? - spytała.

- Przyszedłem przeprosić - odpowiedział, opierając się o fra-mugę. - Nie powinienem lekceważyć twoich wysiłków. Nie chciałem się z ciebie naśmiewać.

- Nieważne.

Twarz mu złagodniała.

- Bardzo przepraszam, że cię rozczarowałem. Ja... czuję się zaszczycony, że tak się dla mnie trudziłaś.

- Więc nie tęskniłeś za mną?... Ani trochę? - spytała, ośmielając się zadać jedno z tych pytań, które dręczyły ją od spotkania w klubie. A więc wszystko źle zrozumiała? Spojrzenie, jakie jej rzucił, zanim zniknął, i to, że poprosił ją, by zerwała więź i uciekła z nim. To był tylko sen? Przecież martwiła się o niego, opłakiwała go, marzyła o nim, planowała, jak go stąd wyciągnąć. I to wszystko na nic? On jej nie kocha? Jak mogła być taka głupia?

- Bardzo mi przykro - powiedział, klepiąc ją po plecach, jakby była dzieckiem.

Jeżeli chciał ją pocieszyć, to nie tędy droga. Przez niego czuła się jak egzaltowana uczennica zakochana w nauczycielu.

- No pewnie.

Pragnęła tylko jednego, żeby zniknął z pokoju i z jej życia. Nie chciała go więcej widzieć. Nienawidziła jego obojętności, a jeszcze bardziej litości.

- Chyba powinieneś już iść. Ale on nie chciał odejść.

- Przejedź się ze mną. Chcę ci coś pokazać. To wyjaśni więcej, niż ja jestem w stanie.

Westchnęła.

- A muszę?

- Obiecuję, że potem dam ci spokój.

- Dobrze.

Wyjechali poza miasto i granice siódmego kręgu, ku bezkresnej nicości otaczającej Tartar - czarnej próżni, gdzie nic nie rośnie i nic nie żyje, gdzie są jedynie umarli i ci, którzy się nimi zajmują. Znaleźli się na pustej, jałowej ziemi, czarnej i napromieniowanej, wśród spustoszonych dolin, gdzie od początku dziejów szalał czarny ogień. Kingsley zatrzymał samochód w samym środku tej nieskończonej ciemności, wysiadł i dał znak Mimi, żeby poszła za nim.

- Widzisz to? - spytał, wskazując czerwony kwiatek, rosnący na spopielalej, czarnej pustyni. - Pamiętasz, jak tu było przedtem? Nic nie rosło. Ale teraz jest inaczej. Świat podziemny zmienia się i mam w tym swój udział.

To był zwykły chwast, ale Mimi nie chciała pozbawiać King-sleya złudzeń. Czuł się taki dumny.

- To jeszcze długo potrwa i może nie będzie tu tak pięknie jak na ziemi, ale kto wie? - Dotknął płatka kwiatu. - Tam na górze nie mam co robić - powiedział. - Tu jest moje miejsce.

Zrozumiała, co chciał powiedzieć: To był powód, dla którego nie chciał wrócić na ziemię. Tam czuł tylko ból. Uważano go za pariasa, bo nie był ani aniołem, ani demonem, lecz srebrno-krwistym, wampirem, którego unikali i któremu nie ufali członkowie jego własnej rasy.

Może kiedyś ją kochał, a może nie, teraz to już nie miało znaczenia. Ta miłość umarła. Pewnie nigdy nie była prawdziwa. Prawdziwa była jego duma z tego małego kwiatka.

Mimi w końcu zobaczyła to, czego nie chciała przyjąć do wiadomości od chwili, gdy go znowu ujrzała.

Kingsley wyglądał inaczej, bo był inny. Tu, pod ziemią, był sobą, nie dręczyły go krzyki tysięcy dusz. Jako Croatan czuł się także wolny.

Teraz zrozumiała, dlaczego Helda powiedziała: „Jeżeli zdołasz przekonać Arakiela, żeby z tobą wrócił, będziesz go miała”.

Kingsley nigdy nie opuści świata podziemnego. Miał wszystko: przygody, nowe doświadczenia. Jako Arakiel przywróci życie tej martwej ziemi. Nie chciała mu tego zabierać. Jeżeli naprawdę go kochała, to pragnęła mieć go całego. Może to właśnie oznaczało miłość - poświęcenie i bezinteresowność. Nieistotne były serca, kwiaty i szczęśliwe zakończenia, ale świadomość, że czyjeś dobro jest ważniejsze od twojego. To okropne, gdy dorastasz i zdajesz sobie sprawę, że nie możesz mieć wszystkiego, pomyślała.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwy - powiedziała, gdy ruszyli do samochodu.

- Nikt tutaj nie jest szczęśliwy, przecież wiesz. Ale jestem zadowolony i to powinno wystarczyć.

Wracali do miasta w kompletnym milczeniu. Mimi bała się powiedzieć coś, czego będzie żałować, a Kingsley był zatopiony w myślach. Gdy wrócili do pałacu, trolle musiały wyczuć ich nastrój, bo trzymały się z dala. Nie spotkali ani jednego służą-

cego, a zazwyczaj nieustannie kręcili się w pobliżu, proponując ciastka, szampana, dziwki i gorącą kąpiel. Kingsley odprowadził Mimi do pokoju.

- Rozumiem, że to pożegnanie? -Tak.

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Dobrze, że przyjechałaś. Miło było cię znowu zobaczyć, Force. Wpadnij kiedyś, gdy będziesz w pobliżu.

Mądrała. Wiedział, że nigdy więcej się nie zobaczą. Przybyła do Piekła, goniąc za marzeniem, i czas było się obudzić. Zgro-madzenie jej potrzebowało, straciła już dość czasu. Wiedziała, że to pożegnanie, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć ani czy nie załamie się, jeśli postoi tu dłużej. Wzruszyła więc ramionami i odwróciła się. Zaraz jednak coś sobie przypomniała.

- Och, zapomniałabym ci to oddać.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła łapkę króliczą do kółka na klucze. Znalazła ją wśród jego rzeczy i zachowała, pamiętając, jak się nią bawił, kręcił na palcu, podrzucał i łapał.

- Zgubiłem ją w Nowym Jorku - powiedział. Była dla niego czymś w rodzaju amuletu, bo przynosiła mu szczęście, wyznał jej kiedyś. Czuł sentyment do tego brzydactwa.

- Wiem. Znalazłam ją.

- I trzymałaś przez cały ten czas?

- Przypominała mi ciebie. - Wzruszyła ramionami. Zachowała ją, sądząc, że może to znak, że znowu go zobaczy.

Wciąż patrzył na łapkę w zdumieniu, a Mimi pragnęła zniknąć w pokoju najszybciej, jak się da. To była prawdziwa męka.

- Zaczekaj - powiedział schrypniętym głosem i wziął ją za rękę.

Splotła jego palce ze swoimi i mocno uścisnęła, dając do zrozumienia, że nie czuje do niego żalu. Byli przyjaciółmi. Chyba od początku tak było.

Wciąż trzymał ją za rękę. Chciała ją cofnąć, lecz on tylko wzmocnił uścisk i wówczas poczuła pierwszy promyk nadziei rozkwitający w jej sercu. Nie chciała jednak iść tą drogą, bo prowadziła donikąd.

Ale Kingsley nadal jej nie puszczał. Zupełnie jakby ich przy-murowało, jakby czas się zatrzymał. W końcu odważyła się unieść wzrok.

Łzy spływały po jego przystojnej twarzy. A gdy ich oczy się spotkały, to jakby coś w nim pękło, jakby ta wytarta królicza łapka przypomniała mu o czymś - może o wspólnie spędzonych chwilach w Nowym Jorku - albo przekonała go, że rzeczywiście przybyła do Piekła dla niego. Tak czy owak zniknęła gdzieś aro-

gancka maska i uległ wreszcie miłości, którą tak długo ukrywał pod pozorami obojętności.

Jednak zamiast triumfować, że Kingsley wreszcie zdradził, co kryje w sercu, zamiast czuć satysfakcję i dumę ze zwycięstwa, ogarnęła ją czułość i pragnienie opiekowania się nim.

- Oczywiście że za tobą tęskniłem - wyszeptał. - Jak mógłbym zapomnieć...

- Kingsley - powiedziała, lecz on przyciągnął ją do siebie, a ona go nie odepchnęła.

## TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

### Więzień

Allegrze kręciło się w głowie. Nie miała pojęcia, jak długo nie widziała słońca, ile czasu minęło i jak długo tkwiła uwięziona w piwnicy. Co się działo z Benem? Gdzie go zabrali? A co z winnicą? Pracownicy pewnie się niepokoją, a rodzina Bena rozpoczęła poszukiwania. Czerwonokrwisci nie byli zupełnie pozbawieni możliwości działania.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Charles nie przyjął jej pro-pozycji. Czołgała się u jego stóp i błagała, żeby oszczędził Bena, ale brat tylko ukląkł przed nią i



delikatnie zdjął jej ręce ze swoich kostek. Potem posadził ją na krześle i wyszedł.

Czuła się wyczerpana. Nie wiedziała, co ją teraz czeka, otworzyła więc umysł przed Charlesem i wysyłała mu rozpaczliwe, pełne niepokoju wiadomości, błagając i prosząc, żeby zrobił, co chce. Lecz on jej nie odpowiadał. Uznała więc, że jej nie wybaczy. Za daleko się posunęła, on nigdy do niej nie wróci, już na to za późno. Będzie chciał się zemścić. Kto wie, do czego się posunie.

Jakiś czas po wysianiu Charlesowi tych błagalnych próśb drzwi do piwnicy otworzyły się, lecz do środka nie wszedł ani jej brat, ani żaden z venatorów.

- O, hej, nie wiedziałem, że tu jesteś - powiedział Ben, patrząc na nią zaskoczony i sięgnął po butelkę wina z dolnej półki.

Allegra zamrugnęła powiekami, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Ben, to naprawdę ty? Nic ci się nie stało? Uśmiechnął się.

- Tak bardzo za mną tęskniłaś? Właśnie wróciłem ze sklepu. Nikt go nie porwał. Nikt mu nie groził. Nie wiedział nawet,

że minęło tyle czasu. Allegra zrozumiała, że wszystko, co prze-żyła, miało miejsce w wymiarze uroku, między światami, gdzie czas płynie inaczej. Wydawało jej się, że minęły miesiące, tym-czasem w realnym świecie było to zaledwie kilka godzin.

Ben miał na sobie ten sam strój, w jakim go ostatni raz widziała: czerwoną flanelową koszulę, brudne dżinsy i zniszczone buty.

- Henderson chce złożyć zamówienie na twój ser. Jeżeli nie będziemy uważać, to z winnicy zrobi się fabryka sera - powiedział, wyjmując drugą butelkę. - Może czas spróbować syrah z osiemdziesiątego ósmego. -

Popatrzył na nią z uśmiechem, lecz spoważniał, widząc udrękę na jej twarzy. - Legs... czy coś się stało?

Dziwnie na mnie patrzysz.

Pokręciła głową i poklepała go po ramieniu.

- Nie, chyba miałam atak klaustrofobii. Nie mogłam znaleźć butelki i wpadłam w panikę. Zaraz dojdę do siebie.

Weszli na górę do winiarni. Ben pocałował Allegrę w czoło i wrócił do studia malować. Nie mogła się oswoić z tym, że jest wolna i że jemu nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Tak bardzo się pomyliła.

Oczywiście, Charles nigdy nie skrzywdziłby człowieka.

Ładna, wyłożona dębową boazerią salka była niemal pusta, z wyjątkiem jednego klienta, który siedział na stołku przy kontuarze. Rozpoznała w nim Kingsleya Martina. Czytał spokojnie gazetę. Wyglądał jak miejscowy, który przyjechał spróbować nowych odmian czerwonego wina. Allegra podeszła do niego z wahaniem.

- Co się dzieje?

- Czy to nie oczywiste? - Uśmiechnął się krzywo. - Jesteś wolna. Pomyślałem, że przed wyjazdem napiję się wina. Sprawdzę, czy cabernet jest rzeczywiście tak dobry, jak mówią.

- Dlaczego? - spytała. Nie miała na myśli wina.

- Rozkazy Charlesa.

- A gdzie on jest? Wzruszył ramionami.

- Nie powiedział. Pewnie w Nowym Jorku. - Wszystko zdarzyło się w wymiarze uroku, Charles nie postawił nawet stopy w Kalifornii.

- Więc co teraz będzie? - spytała Allegra. Kingsley odłożył gazetę.

- Moim zdaniem nic. Nie sędzę, żebyś musiała się czegoś obawiać. Jeśli chodzi o więź, to wszystko zależy od ciebie i Charlesa. Ale tak między nami, to myślę, że

on sobie odpuścił. - Za-mieszał wino w kieliszku i wypił łyk. Smakował je przez chwilę.

- Niestety, kubki smakowe nie działają, gdy jest się Croatanem. Nie czuję nawet zapachu. Dobre to wino?

- Nikt nie narzeka - odparła.

- Z pewnością. Mam nadzieję, że nie masz do nas żalu. Nie mieliśmy wyboru. Wypełnialiśmy jedynie rozkazy Regisa.

Allegra kiwnęła głową i zaczęła wycierać kontuar. Kingsley wrócił do lektury gazety i popijał wino. Nagle przyszło jej coś do głowy.

- Czy może dowiedzieliście się, co się stało z tymi chorymi familiantami?

- Jakimi familiantami?

- Charles mówił, że czerwonokrwieści umierają na jakąś nową chorobę i że kilkoro Strażników się tym martwiło, bo ta choroba dotknęła nowych członków Komitetu.

Kingsley pokręcił przecząco głową.

- Żadne raporty o tym nie wspominają.

- Forsyth wie coś na ten temat.

- W takim razie to jego działka - odparł Kingsley.  
Allegra uznała za dziwne, że Charles nie poinformował o tym

swojego naczelnego venatora. Może ta choroba okazała się nie-groźna? Oparła się o ladę i chwyciła za głowę. Zmęczenie dawało o sobie znać. Czuła się tak, jakby wysiadła właśnie z kolejki górskiej i nareszcie mogła rozluźnić wszystkie mięśnie.

- Och, byłbym zapomniał. Charles chciał, żebym ci to oddał. - Kingsley podsunął jej kopertę.

Rozerwała ją. W środku była obrączka, którą wkładała mu na palec w każdym wcieleniu. Teraz ją zwracał.

Wygląda na to, że nie ja powinienem ją nosić - napisał Charles.

Allegra poczuła ucisk w żołądku. Postanowiła, że zatrzyma obrączkę, ale nie da jej Benowi. Zamówi nową na znak swojej wierności. Tę zachowa na pamiątkę dawnej miłości i dawnego życia.

- Dziękuję - powiedziała. Dziękuję, Charles.

W końcu jej bliźniak nie zdobył na to, aby zabić rywala. Nie mógł zabić Bena i nigdy mu nie groził. Nie było żadnego nie-bezpieczeństwa. Ben o niczym nie wiedział i Allegra czuła się niewymownie szczęśliwa. Zwrot

obrażki oznaczał, że jest wolna, że może być z chłopcem, którego kocha. Nie będzie sądu krwi. Charles nie złoży wniosku o jej ukaranie. Dowodem była ta obrączka.

Wsunęła ją do kieszeni.

- Co jeszcze mogę ci podać, Kingsley? Na koszt firmy.

## TRZYDZIEŚCI SIEDEM

### Trudny wybór

Trudno jest okłamywać ukochaną, pomyślał Jack. Nie chciał pokazać po sobie, jak bardzo poruszyły go wieczorne wydarzenia. Jedynie szczęściu należało przypisać fakt, że Schuyler wyszła ze świata podziemnego bez szwanku. Nigdy więcej nie spuści jej z oczu.

- Nic mi nie jest, nie martw się o mnie - zapewniła go, wychodząc z łazienki, ubrana w workowaty podkoszulek i džinsy. Katarzyna zaproponowała, że pożyczycy jej ubranie, więc Schuyler skorzystała z okazji i zmyła z siebie makijaż. - Nie dopuściłabym do tego, żeby coś się stało - dodała z wstydliwym uśmiechem, gładząc się po brzuchu. Nie powiedziała mu, ale uśmiech ją zdradził.

Tego właśnie Jack się obawiał. Ona myśli, że jest ze mną w ciąży. Serce mu się ścisnęło i gdy szli do stołu, chciał jej powiedzieć, że to niemożliwe, nie z nim. Aniołowie nie mają daru tworzenia nowego życia. Schuyler nie była w ciąży, była chora.

Ich związek ją niszczył, zjadał od środka. Świadczyły o tym wy-mioty, żółć i krew.

Allegra zapadła w śpiączkę po kilku latach od zerwania więzi i zanim straciła przytomność, miała takie same symptomy. Z akt wynikało, że miała nudności i wymiotowała krwią. Dlatego był przekonany, że jego też to czeka, że związek z Schuyler go zniszczy. Tymczasem stało się jeszcze gorzej. To Schuyler ponosiła konsekwencje jego decyzji. Związek niszczył jego ukochaną, tak jak zniszczył Allegrę.

Zachował jednak te myśli dla siebie. To był jego problem, jego ciemność, którą wniósł w życie Schuyler, i musi coś z tym zrobić. Już i tak posunął się za daleko, prosząc ją, by go kochała.

- Czy ktoś chce jeszcze herbaty? - spytała Katarzyna.

Po ujawnieniu prawdy o petruwianach rozmowa się urwała, chociaż Odźwierna nie przejęła się ich reakcją. Wykonywała jedynie rozkazy Regisa i nie miała sobie

nic do zarzucenia. Ale Jack miał na głowie inne sprawy niż problemy ze srebrno-krwistymi.

- Herbaty? - powtórzyła Katarzyna.

- Tak - powiedział szybko.

-Ja zaparzę - zaproponowała Schuyler, po czym wstała i poszła do kuchni.

Jack ucieszył się z możliwości porozmawiania w cztery oczy z Katarzyną, lecz to ona pierwsza się odezwała.

- Wiesz, że twoja siostra tu była? Widziałam, jak schodzi do królestwa Hedy - oznajmiła z konspiracyjnym uśmiechem.

- Kiedy?

Katarzyna podała datę. Okazało się, że było to mniej więcej w tym samym czasie, gdy oni przyjechali do Kairu.

- Chcę porozmawiać z tobą o Azraelu - powiedział.

Katarzyna kiwnęła głową. Spojrzała znacząco na obrączkę,

którą nosił na palcu. Nie była to obrączka noszona przez anioły, lecz zwykła, robiona przez człowieka.

- Oczywiście. Domyślam się, że chcesz zerwać więź, uratować ukochaną przed losem, jaki spotkał Gabrieleę.



- Tak. - Wyglądał na zmęczonego i smutnego, ale w jego oczach błyszczała iskra nadziei. - Byłaś przy tym, gdy ustanawiano więź. Wiesz, o co chodzi. Możesz mi pomóc? Powiedz, czy jest jakiś inny sposób?

Katarzyna wytarła usta chusteczką i nie odpowiedziała. Jack nie dawał za wygraną.

- Nie chcę zabijać siostry. Wiem, że to jedyny sposób, by ją powstrzymać. Sąd krwi oznacza, że tylko jedno z nas pozostanie przy życiu. Ale ja nie chcę jej skrzywdzić. Nie chcę mieć na sumieniu jej śmierci. Jednakże nie chcę też, żeby zabiła mnie lub moją... żonę. - Na wspomnienie Schuyler twarz mu złagodniała.

Katarzyna westchnęła.

- Jedynym sposobem na zerwanie odwiecznej więzi jest okazanie lojalności temu, który ją ustanowił. Tylko on może rozwiązać to, co zostało związane. Kto związał wasze losy? - Zakłopotana mina Jacka wystarczyła za odpowiedź. - Wasz dawny pan. W takim razie wiesz, co musisz zrobić. Znajdź Lucyfera i zaoferuj swoje usługi w zamian za rozwiązanie więzi.

- Czy to jedyne wyjście? Służyć Lucyferowi albo zabić Azra-ela?

Kiwnęła głową.

- Niestety, tak.

- W takim razie niech się stanie - odpowiedział ze smutkiem w głosie. Chociaż już jej nie kochał, Azrael była jego częścią. Ale skoro musi ją zabić, żeby uratować życie Schuyler, zrobi to, co będzie musiał.

## TRZYDZIEŚCI OSIEM

Serce anioła

Zmiękła w jego ramionach, ale to Kingsley pierwszy ją pocałował. Gdy ich wargi się zetknęły, Mimi zamknęła oczy, czując dreszcz przechodzący przez ciało. Czowała, jakby to był jej pierwszy pocałunek w życiu. Miał miękkie wargi, przyłgnęli do siebie z namiętnością, która przyćmiła wszystkie wcześniejsze uczucia. Jeżeli Mimi kiedykolwiek wątpiła w miłość Kingsleya, to teraz była jej pewna. Otoczyła nogami jego biodra, gdy wniósł ją do pokoju i kopnięciem zamknął drzwi.

Przycisnął ją do ściany. Siła pożądania odebrała jej oddech, ale nadal była Mimi Force, kiedy więc zaczął całować jej szyję, chwyciła go za włosy i nachyliła się do jego ucha.

- Długo to trwało - warknęła.

- Nie chciałem... - Usiłował dokończyć zdanie, lecz tylko wciągnął gwałtownie powietrze w płuca.

Trzymała go w objęciach i gładziła miękkie włosy na karku. Kingsley bał się. Tak bardzo się bał, że drżał na całym ciele.

Mimi uspokoiła go.

- Żartowałam.

Kingsley zamknął oczy i przycisnął czoło do jej czoła.

- Nawet nie marzyłem, że po mnie przyjedziesz. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Gdy zobaczyłem cię w klubie, nie mogłem uwierzyć. Nadal nie wierzę, że tu jesteś. - Zacisnął zęby. - Nie przypuszczałem, że jesteś tu dla mnie. Pomyślałem, że musisz mieć jakiś inny powód. Nie zdawałem sobie sprawy...

Omam nie wybuchnęła śmiechem. Przez cały czas prowadzili ze sobą grę. Kingsley był, tak jak ona, pełen wątpliwości, bo gdy przeanalizował ich związek, zauważył, że nigdy nie powiedzieli, co do siebie czują. Skoro on nie wyznał, że ją kocha, ona też milczała.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu głęboko w oczy. Zniknął gdzieś arogancki obiekt kobiecych westchnień, gładki mafioso, wiecznie młody venator, nieczuły Książę Piekiła, pozostał jedynie Kingsley Martin, chłopak zakochany w dziewczynie - w tej dziewczynie.

- Kocham cię - powiedział, obsypując pocałunkami jej oczy, nos, usta, szyję, ramiona. - Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Mimi powtarzała to samo, aż ich głosy zlały się w jedno. „Ko-cham cię, kocham cię, kocham cię” - jakby chcieli wynagrodzić stracony czas, gdy ukrywali przed sobą, co naprawdę czują.

Nadal się całowali, gdy wsunął ręce pod jej bluzkę. Uśmiechnęła się. Wyznał miłość, ale pozostał Kingsleyem.

- Pomóc ci? - spytała.

Uniosła ręce, pozwalając mu ściągnąć bluzkę przez głowę, po czym gorączkowo zaczęła go rozbierać, zdejmując kurtkę, rozpinając koszulę, bo pragnęła dotknąć jego nagiej skóry tak bardzo, że graniczyło to z paniką. Potrzebowała go i pragnęła, tu i teraz.

Kingsley zaniósł ją na łóżko, a potem zrzucili z siebie resztę garderoby, uśmiechając się do siebie nieśmiało. Po chwili leżał na niej i obsypywał jej ciało pocałunkami.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał.

- Nawet przy wszystkich tych amazonkach i syrenach?  
Nie mów, że byłeś wierny. Ty, Kingsley Martin -  
zakpiła, szczypiąc go w szyję.

- To było łatwe, bo żadna z nich nie była tobą.  
Przesunęła dłońmi po jego płaskim, umięśnionym  
brzuchu

i zadrżała, dotykając palcami blizn na skórze. Wyglądał,  
jakby go pobito: na piersi i plecach widniały głębokie  
poszarpane, spalone szramy.

- Co się stało? - spytała, czując łzy napływające do oczu  
na myśl o bólu, jakiego musiał doświadczyć.

- Tak się dzieje, gdy za bardzo zbliżysz się do subvertio.

- Te blizny wyglądają, jakby poraniły cię kawałki szkła

- powiedziała, przesuając po nich delikatnie palcami.

- Bolało?

-Tak.

Nie mogła powstrzymać łez. Ucałowała każdą bliznę,  
pragnąc uleczyć je siłą swojej miłości.

- Nie płacz - powiedział. - Nie mogę znieść, gdy jesteś  
smutna.

Zacisnęła oczy i kiwnęła głową.

- Ja tylko... tak bardzo cię kocham.

Krzyknął, gdy w nią wszedł, a Mimi westchnęła i mocniej do niego przywarła. Kołysali się, a jego łzy padały jej na twarz. Czuła słony smak, gdy ich wargi się spotkały. Zatraciła się w roz-koszy, jaką dawały jego ciało i miłość, osiągając wyżyny spełnienia, na które nigdy dotąd się nie wzniosła.

Leżąc po wszystkim z głową na jego piersi, czuła się dziwnie spokojna. Kingsley spał głęboko. Ach, ci chłopcy! Musnęła wargami jego szyję, a on pocałował ją zaspany. Królicza łapka przyniosła szczęście, pomyślała.

Nie pamiętała, kiedy czuła się taka szczęśliwa. W żadnym wcieleniu nikt nie kochał jej tak głęboko i żarliwie, nigdy też z nikim nie przeżyła takich chwil. Miłość, jaką czuła do King-sleya, była drogocennym darem - delikatnym, cudownym kloszem, w którym tkwili oboje, która obejmowała cały świat, ca-ły wszechświat, wykraczała poza Królestwo Umarłych i ogrody Edenu.

Kochała i była kochana - tylko to się liczyło. Jakie to proste. Ale czy nie dlatego tu przyjechała? Jej dusza zaznała spokoju. Była szczęśliwa i zadowolona z życia. Wszystko będzie dobrze. Dostała to, czego pragnęła. Proś, a będzie ci dane. I dostała to w nadmiarze.

Zdarzyło się jeszcze coś, coś nieoczekiwanego. Ciemność w jej duszy, ta niszcząca nienawiść i gniew, gorycz i poniżenie, z którymi żyła przez cały rok, zniknęły. Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl, tak nowa i zaskakująca, że nie mogła w nią uwierzyć.

Pozwoli Jackowi żyć.

Kochała Kingsleya tak wielką miłością, że starczy jej dla krnąbrnego brata. Nie było sensu tracić energii na szukanie Jacka

i planowanie jego śmierci. Pozwoli mu odejść. Nie będzie sądu krwi. Nie ma takiej potrzeby.

- O czym myślisz, Force? - spytał Kingsley. - Masz taką poważną minę.

Odwróciła się do niego i obdarzyła pocałunkiem - jednym z wielu, jakimi będą się dzielić przez całą wieczność.

- Pomyślałam, że powinniśmy zrobić to jeszcze raz. Tak też zrobili.

## TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Zmierzch w ogrodzie

Opuszczenie Zgromadzenia to był poważny krok i chociaż Allegra nie miała wątpliwości, że postąpiła słusznie, bywały chwile, gdy zastanawiała się, jak

Charles sobie radzi. Miała nadzieję, że dobrze. Sądziła, że zerwanie więzi zdejmie jej ciężar z serca, ale tak się nie stało. Zyskując ukochanego, straciła wszystko, co było dla niej cenne, w tym wielowiekową tradycję - nieodłączną część jej tożsamości.

Ben ją kochał i myślał, że ją zna, tymczasem były sprawy, o których nie wiedział i których nie rozumiał. I dlatego go kochała. Kochała go za to, że dostrzegł w niej coś, czego nikt nie zauważył - wrażliwą dziewczynę w skórze wampira.

Niedługo po jej uwięzieniu do winnicy przyszedł telegram.

Jestem w hotelu Fairmont. Czekam na ciebie w herbaciarni o czwartej.

- Kto dziś wysyła telegramy? - spytał Ben, patrząc, jak Allegra czyta małą kartkę napisaną na maszynie.

- Moja matka - odpowiedziała, przedzierając kartkę na pół i wyrzucając ją do śmieci. Nie rozmawiała z matką od wyjazdu z Nowego Jorku, a Cordelia nigdy nie próbowała się z nią skontaktować.

- Kiedy ją poznam? - spytał Ben.

- Nie teraz - odparła. - Przepraszam, ale... to nie jest najlepsza pora.



Kiwnął głową, ale wyglądał na urażonego. Więcej nie wracali do tego tematu.

Gdy Allegra weszła do kawiarni, matka siedziała na kanapie, sztywno wyprostowana, jak zwykle chłodna i nieprzystępna. Allegra pochyliła się i cmoknęła Cordelię w policzek. Miała cienką jak papier skórę, pachniała pudrem i Chanel No.5, ale oprócz delikatnych zmarszczek wokół niebieskich oczu wyglądała tak samo. Przypomniła się jej scena z wizji, w której matka patrzy na dziewczynę zaledwie o kilka lat młodszą od niej. Spoglądała na Cordelię tak jak ona teraz, z lekką obawą i miłością. Kim była ta dziewczyna? Czyżby córką jej i Bena? Dlaczego była z Cordelią? No tak, bo ona leżała w śpiączce i nie mogła jej wychowywać. Czy jest w stanie to zmienić? Zmienić przyszłość? Ben powiedział, żeby się nie bała, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, co ich czeka.

- Zjesz babeczkę? - spytała Cordelia, wyrywając Allegrę z za-myślenia.

- Nie, dziękuję.

- Szkoda. Są całkiem niezłe.

Allegra patrzyła, jak matka je wolno i starannie, po czym, jakby na złość, głośno siorbie herbatę z filizanki.

- Wiem, dlaczego tu jesteś - powiedziała.

- Tak? - Cordelia odstawiła filiżankę. - Wcale mnie to nie dziwi.

Allegra kiwnęła głową.

- Nie przekonasz mnie do zmiany zdania. Charles i ja... między nami koniec. Zwrócił mi wolność - dodała, chociaż sama nie do końca w to wierzyła.

- Tak, wiem. Całe Zgromadzenie o tym wie. - Głos Cordelii stał się chłodny. - Nie zawsze zgadzałam się z decyzjami Charle-sa przez te wszystkie wieki, ale nie ingerowałam, więc z tobą będzie podobnie. Nie zamierzam dyskutować o wyborze, którego dokonałaś. Dobrze wiesz, co poświęciłaś, angażując się w ten... związek z familiantem. A skoro wiesz, dlaczego tu jestem, cho-ciaż mam co do tego wątpliwości, to pewnie obie tracimy czas.

- Tak - odparła Allegra. - Przykro mi, że tracisz przez mnie czas, mamó.

Cordelia westchnęła.

- Miałam cię za kogoś lepszego. Myślałam, że ci zależy. Nie przypuszczałam, że będziesz taka nieczuła, Allegro. To do ciebie niepodobne.

- Kocham Charlesa... Zawsze będę go kochała - zapewniła Allegra. - Ale nie mogę tego dłużej ciągnąć.

On to rozumie. Kocham innego. Nie wiem, jak to się stało, ale tak jest.

- Charles umiera - warknęła Cordelia. -Co?

- Powiedziałaś przecież, że wiesz, dlaczego tu jestem.

- Sądziłam, że chcesz mnie namówić do powrotu do Nowego Jorku.

- To prawda.

- Do odnowienia więzi - dodała Allegra. To był podstęp, żeby zmusić ją do powrotu. Cordelia kłamie. - Jesteśmy nieśmiertelni. Wróci w następnym cyklu.

- Nie rozumiesz. Jeżeli nie odnowisz więzi, ona będzie słabnąć. Błękitna krew, sangre azul, zacznie zanikać. Myślałam, że wiesz.

- Skoro tak, to dlaczego ja nie słabnę?

- Na razie - odparła Cordelia.

Allegra poczuła, jak strach ściska jej serce. Więź zniszczy ich oboje. Krew zaniknie, a nieśmiertelna dusza zgaśnie. Nic dziwnego, że Cordelia tu przyjechała. Allegra nie zdawała sobie z tego sprawy. A może nie chciała wiedzieć? W każdym razie wiedziała dość, mimo to brnęła dalej. Własna krew pokazała jej, co ją czeka. Szpitalne łóżko i ona pogrążona w śpiączce.

Jej córka będzie się wychowywała bez matki. A Ben...  
Jaki los go czeka?

- Nie przyjechałam do San Francisco osądzać cię,  
Allegro, lub gromić za niewłaściwe decyzje, ale proszę,  
spotkaj się z Charlesem. Tyle jesteś mu winna.

Allegra powiedziała Benowi, że musi natychmiast  
pojechać do domu i że wróci, gdy tylko będzie mogła.  
Wyleciała do Nowego Jorku wieczorem, a rano złożyła  
wizytę Charlesowi w rezydencji przy Piątej Alei.

Był obecny we wszystkich jej wspomnieniach z  
przeszłości. Jej życie, jej tożsamość były związane z tą  
samotną postacią siedzącą w ciemności w okazałej  
sypialni. To ona ją urządziła z nadzieją, że stanie się dla  
nich domem. A teraz on został sam, pomyślała ze  
smutkiem. I to przez nią, bo ona go opuściła.

Usłyszał, jak wchodzi do pokoju.

- Cordelia cię przysłała - powiedział, zamykając  
książkę, którą czytał.

- Tak. Ale przyszłam z własnej woli. Nie wiedziałam,  
co się stanie, jeżeli nie odnowię więzi. Nie wiedziałam,  
że będziesz cierpieć.

- Czemu przysłaś? - spytał i zakasłał. Usiadła przy  
łóżku.

- Nie chciałam, żebyś cierpiał - odpowiedziała, biorąc go za rękę, której skóra przywiedła od czasu, gdy się ostatni raz widzieli. - Nie chcę, żebyś cierpiał przeze mnie.

Czuła ból w sercu. Charles dał jej wolność kosztem własnego zdrowia. Sądziła, że jest wolna, ale nigdy nie będzie wolna, nie wtedy, gdy w grę wchodzi święte małżeństwo. Kodeks Wampirów został napisany nie tylko po to, by zapewnić bezpieczeństwo ludziom, ale i wampirom.

- Musi być jakiś inny sposób - powiedziała. Pokręcił głową.

- Nie ma.

Kiwnęła głową. Jest tak, jak myślała. Nie mogła kochać dwóch mężczyzn jednocześnie, wybrała więc tego, który uczynił ją szczęśliwszą. Teraz jednak, widząc konsekwencje swojego

czynu, nie wiedziała, co robić. Nie spodziewała się, że Charles będzie cierpiał. Sądziła, że tylko ona ryzykuje.

- Możesz to powstrzymać - powiedziała, kładąc rękę na jego dłoni. - Jesteś najsilniejszy z nas wszystkich. Jesteś Michałem wśród aniołów. Jesteś silniejszy niż więź.

- Wróć do mnie - szepnął. To była prośba, nie rozkaz. Błagał ją o miłość.

- Więc powiedz mi to, co chcę wiedzieć - odparła. - Powiedz, co takiego stało się w przeszłości, co nas od siebie oddaliło. Pomóż mi odnaleźć drogę do ciebie.

Zobaczyła go takim, jakim kiedyś był: Michałem, Opiekunem Ogrodu, który w dniu Stworzenia uczynił ją swoją towarzyszką. Podziwiała go za siłę i moc, ale najbardziej za wrodzone poczucie sprawiedliwości, dobroć, za czyste światło, jakim emanowała jego dusza. Był naczelnym archaniołem Pana, zwyciężył smoka, wygnał Lucyfera i zbuntowanych aniołów z Raju. Był ręką Boga i wybrał ziemię zamiast Elizjum, żeby z nią być.

Przez całe nieśmiertelne życie czuła się godna jego miłości, odwzajemniała ją. Ale od piętnastego wieku, od Florencji, coś się między nimi zmieniło i odtąd w każdym cyklu zaczęła się od niego oddalać. Czasami już nie wiedziała, czy kocha mężczyznę, czy legendę. Anioła, który dowodził armią Pana, czy chłopca, który leżał w tym łóżku, słaby i blady, a mimo to tak drogi jej sercu.

Wciąż tak drogi.

Ale miała dość życia przeszłością, dość życia w ciemności. Chciała, żeby był światłem, aniołem, którego kochała całym ser-cem, gdy nic ich nie dzieliło.

- Powiedz mi, co wtedy zaszło, kochany - poprosiła. - Pomóż mi wrócić do ciebie.

- Dobrze. Wszystko ci powiem.

Pochyliła się i pocałowała go w usta, pierwszy raz w tym cyklu. Czekali z tym do odnowienia więzi.

Charles objął ją i pociągnął na łóżko. Pozwoliła mu na to.

## CZTERDZIEŚCI

### Bliźniaczy Klucz

Schuyler wróciła do pokoju z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty. Jack siedział pogrążony w myślach, a Katarzyna jadła herbatniki. Nalała herbatę do filiżanek, zastanawiając się, jak zagać rozmowę, żeby nie urazić gospodyni. Dlaczego to ona miała ostrzec Odźwiernych, kiedy to ją powinno się ostrzec przed nimi. Oprócz Lawrence'a Zakon Siedmiorga tworzył prawdziwą menażerię: Kingsley - srebrnokrwisty, Katarzyna - zabójczym dzieci. Nagle coś sobie przypomniała.

- Jest tu taki uzdrowiciel... venator z Ammanu.  
Twierdzi, że jest twoim bratem.

Katarzyna zmarszczyła brwi.

- Moim bratem? -Tak.

- Co jeszcze mówił ten venator?

- Że Zgromadzenie w Ammanie przestało istnieć i że to  
sprawka srebrnokrwistego, który unicestwił również  
inne zgro-

madzenia. Powiedział też, że wie, czego strzeżesz.

Przepraszam, ale właśnie dlatego uwierzyłam, że jest  
twoim bratem, bo znał twoją tajemnicę.

- Nie ufałabym temu venatorowi. On nie jest moim  
bratem. Mój brat zginął w Wojnie Niebios.

Schuyler zaczęła myśleć intensywnie. Uznała, że  
Mahrus mówi prawdę, a nawet zaczęła podejrzewać, że  
jest on Onbazjuszem, uzdrowicielem z Rzymu, który  
był członkiem Zakonu Siedmiorga i Odźwiernym.

Oczywiście myliła się, bo zgodnie z tym, co  
powiedziała jej Allegra, jedna brama przypadała na  
jeden ród. Nie, Mahrus nie był ani uzdrowicielem, ani  
odźwiernym i najwyraźniej kłamał.

Opowiedziała Katarzynie o tym, czego dowiedzieli się  
ve-natorzy - że Mimi Force została zaatakowana i że to



samo spo-tkało również Deming. Nie wiedzieli, dlaczego Regentka stała się celem ataku, ale ona przypuszczała, że to może mieć związek z aktami Paula Rayburna i Gwiazdny Kluczem, który otwierał Bramy Piekieł.

- Z tych akt wynika, że Gwiazdny Klucz otwiera Bramę Obietnicy. Słyszałaś o tym kluczu? Masz go?

- Pomylili się. Chodzi o Bliźniaczy Klucz, a nie o Gwiazdny - wyjaśniła Katarzyna. - Łatwo popełnić błąd. Nefilimowie nie odznaczają się zbyt wysoką inteligencją.

- Więc dlatego zaatakowali Mimi... Przypuszczali, że to ona jest tym kluczem. I Deming, bo jest bliźniaczką urodzoną pod gwiazdą. Szukali ukrytego znaczenia, usiłowali rozszyfrować tę zagadkę - stwierdziła Schuyler. - Ale po co im klucz, skoro już

teraz służący im ludzie, którzy porywają dziewczęta, swobodnie przechodzą przez Bramę? Odźwierna zawahała się.

- Skoro jesteś córką Allegry i znasz tajemnicę Zakonu Sied-miorga, to prędzej czy później się tego dowiesz.

- A więc matka nie wszystko mi powiedziała?

Katarzyna odstawiła z brzękiem filiżankę na talerzyk.

- Brama Obietnicy to rozwidlające się ścieżki, które prowadzą do dwóch różnych miejsc. Ta w Gizie strzeże dostępu do świata podziemnego. Tej drugiej nie znam. Nie wiem, gdzie jest i dokąd prowadzi. Ale wiem jedno: ten, kto ma Bliźniaczy Klucz, jest prawdziwym Odźwiernym Bramy Obietnicy.

## CZTERDZIEŚCI JEDEN

Tajemnice świata podziemnego

Mimi nigdy nie czuła się taka zmęczona, zaspokojona i szczęśliwa. Wszystkie mięśnie ją bolały. Na ciele miała ślady po pocałunkach i pieszczotach, ale czuła, że przeżyli

upojne chwile i nie tylko nadrobili stracony czas, ale poznali również nowe tajniki rozkoszy. Musiała odetchnąć. Mogliby to robić przez cały dzień i noc. Miłość była jak narkotyk, jak fi-zyczne uzależnienie. Chciała mieć Kingsleya przy sobie przez cały czas, czuć jego ciało przy swoim, nieustannie upewniać się, że naprawdę istnieje.

- Chcesz wody? - spytał Kingsley, unosząc się do pozycji siedzącej i czule ściskając Mimi za rękę.

- Poproszę.

Owinał się prześcieradłem i pogwizdując, poszedł do kuchni. Mimi włożyła jedwabny szlafrok. Nagle zrobiło jej się zimno.

Kingsley wrócił z dwiema kryształowymi szklankami, podał jej jedną, po czym wskoczył do łóżka.

- Wiesz, jak tylko tu trafiłem, usiłowałem się wydostać. Dotarłem do Bramy, ale nie mogłem przez nią przejść. - To przez moją srebrną krew.

Przytuliła się do niego, a on delikatnie gładził ją po głowie.

- Próbowałem wszystkiego. Targowałem się z Heldą. Dlatego przyjąłem tę posadę. Myślałem, że jeżeli okażę się użyteczny, zyskam jej przychyłność. Ale lata mijały, jak wiesz, czas płynie tu inaczej, i nic się nie działo. Prawie dałem za wygraną. I wtedy zobaczyłem ciebie. Z początku myślałem, że śnię.

- Typowe - stwierdziła z uśmiechem. - Nigdy nie wierzysz w to, co masz przed nosem.

- Przywykłem do rozczarowań.

- Czy ty w ogóle chcesz ze mną wrócić? - spytała Mimi, obawiając się jego odpowiedzi i myśląc o kwiatku rosnącym na jałowej ziemi. - A co z twoją posadą i problemami tam, na górze... z tymi wszystkimi

głosami? Znowu będziesz musiał walczyć ze skażeniem.

- Wiem - odparł. - Myślałem o tym.

- Tak? Kiedy? - spytała ze śmiechem. - Kiedy miałeś na to czas?

- Teraz. I nie obawiaj się. Potrafię radzić sobie ze skażeniem. Walczę z nim przez całe życie.

- Jesteś pewny?

- Nigdy nie byłem bardziej pewny. - Pocałował jej nagie ramię. - Chcę wrócić do domu. Chcę być z tobą. Świat podziemny przeżyje beze mnie.

Musnęła nosem jego policzek. Znowu czuła się szczęśliwa.

- Więc tak po prostu stąd wyjdziemy? - spytał.

- Taki jest plan - odparła, szczypiąc go w nos. Jaki on przystojny, pomyślała z zachwytem. Jej piękny diabeł.

- To zbyt łatwe - mruknął. - Naprawdę Helda powiedziała, że mnie puści? Nie zatrzyma nas?

- Cóż, chyba mam tu jakieś względy - odparła Mimi. Przy-pomniała mu, że jako Aniołowi Śmierci ciemność przysługuje jej z urodzenia.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się. - No dobra. Skoro uważasz, że to się uda...

- Ciii... - Mimi wydeła wargi. - Myśl pozytywnie. Ubierzmy się i ruszajmy. Musimy złapać pociąg do Czyścica.

Oliver nie wyglądał na zaskoczonego, widząc ich razem przy śniadaniu. Zachował się taktownie i nie zrobił żadnej uwagi, gdy pojawili się przy stole, zadowoleni i kipiący energią.

- Więc tak po prostu wsiądziemy do pociągu i już? - spytał. Kingsley zmarszczył brwi.

- To trochę bardziej skomplikowane, ale zobaczymy, gdy dotrzemy na miejsce. Nie wiem, co ten demon ci powiedział - zwrócił się do Mimi. Potem spojrzął na trolli stojących z rękami założonymi za plecy. - Zostawcie nas - polecił. Gdy wyszli, popatrzył z powagą na Mimi i Olivera. - Muszę wam o czymś powiedzieć. Zamierzałem zrobić to wcześniej, ale musiałem się upewnić.

- O co chodzi?

- Dziewiąty krąg bardzo się uaktywnił.

- Lucyfer? - spytała Mimi.

Oliver z trudem przełknął kawałek chleba. Myśl o Księciu Ciemności wciąż wprawiała go w przerażenie. Wiedział, co zdarzyło się podczas odnowienia więzi, gdy srebrnokrwieści ujawnili swoją obecność i porwali Schuyler w wymiar uroku.

Kingsley kiwnął głową.

- Na to wygląda. Myślę, że on znowu próbuje się uwolnić. -Jeżeli to zrobi, przegnamy go z powrotem do Piekła - oznajmiła Mimi i rozerwała croissanta, jakby to był wróg.

Kingsley pokręcił głową.

- Nie. Słyszałem, że Lucyfer ma większe ambicje.

- To znaczy jakie? - zaciekawiał się Oliver. Książę Piekła zmarszczył brwi.

- Słyszałem plotki, że oni wymyślili nową broń, którą chcą użyć przeciw Boskości, znacznie potężniejszą niż biały niebiański ogień, i że zbierają armię demonów.

- Skoro chce wojny, będzie ją miał. Jako jeźdźcy Apokalipsy przygotowujemy konie - powiedziała Mimi.

- Nie. Lucyfera nie interesuje Ziemia - odparł Kingsley, rozglądając się nerwowo na boki, jakby otaczali ich szpiedzy.

- Nie? Dlaczego? - spytał Oliver. - Ludzie za bardzo ją zniszcz-czyli? - Roześmiał się ze swojego żartu.

Jednak Kingsley nie uznał tego za zabawne.

- Obawiam się, że chodzi mu o coś cenniejszego. - Zawahał się. - Księżę Ciemności szykuje się na podbój Raju.

- Ale jakim sposobem? - spytała Mimi. Rzuciła niedojedzony rogalik na talerz, straciwszy apetyt. - To niemożliwe. Raj jest

zamknięty dla wygnanych. Jeżeli anioły nie mogą odkupić grzechu, to jak demony i skażeni zdołają choćby zbliżyć się do Raju? Nie ma takiej możliwości. Nikt nie zna do niego drogi.

- Nie wiem. Nie ufają mi na tyle, żeby wyjawić, co knują - powiedział Kingsley z irytacją. - Ale są pewni zwycięstwa.

## CZTERDZIEŚCI DWA

### Telefon

Gdy Allegra wróciła do domu przy Riverside Drive, czekał na nią Ben. Siedział przed wejściem z rękami opartymi na kolanach.

- Wiem, gdzie byłaś w nocy - oznajmił. - Poszłaś do niego...

- To nie tak...

- Daj spokój. Najgorsze jest to, że nawet nie wiem, co o tym sądzić. Nie chcę wiedzieć, co o tym sądzić - dodał.

- To chore, co jest między wami. To... to jest nie w porządku.

- Ben, proszę.

- Ale wysłuchaj mnie...

Urwał i rozkaszał się, zakrywając usta chustką do nosa. Allegra zobaczyła, że jest na niej krew. Zaczął kaszleć w zeszłym tygodniu. Miał pójść do lekarza, ale był zbyt zajęty. Będzie mu-siała mu o tym przypomnieć. Bardzo się tym martwiła i wołała o tym nie myśleć.

Wprowadziła go do domu. Usiedli razem w eleganckim salonie Cordelii.

- Allegro - odezwał się Ben. Zabolalo ją, że zwraca się do niej pełnym imieniem. Nigdy przedtem tego nie robił. - Będę cię kochał bez względu na wszystko. Nie obchodzi mnie, co zaszło między tobą a Charlesem tej nocy. Chcę być z tobą.

Allegra przełknęła łzy. Nie mogę tego zrobić, pomyślała. Gdy wychodziła od Charlesa, byta pewna, że odnowi z nim więź, że słusznie postępuje, ale teraz zaczęła się wahać. Nie mogła zosta-wić Bena. Za



bardzo go kochała. W tym momencie zadzwonił telefon na górze. To była linia przeznaczona dla Rady i korzystali z niej tylko venatorzy i Strażnicy.

- Ben, przepraszam, ale muszę odebrać ten telefon. To musi być coś ważnego.

Machnął ręką.

- Idź - powiedział i znowu się rozkasłał. Wbiegła na górę i podniosła słuchawkę.

- Słucham.

- Tu Martin. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale po-myślałem, że to może cię zainteresować - powiedział Kingsley. - Chciałem ci o tym powiedzieć przed następnym zadaniem, ale zapomniałem.

- To nie jest odpowiednia pora - odpowiedziała. - Nie można z tym zaczekać?

- Jak długo? - westchnął. - Przepraszam, obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu.

- No to mów.

Odchrząknął.

- Rozejrzałem się w sprawie, o której mówiłaś... tej dotyczącej chorych czerwonokrwistych.

-Ico?

- Nie mogłem niczego znaleźć. W oficjalnych raportach nie ma o tym wzmianki.

Allegra przygryzła paznokiec. -Nie?

- Forsyth mnie wyśmiał. Powiedział, że o niczym takim nie słyszał i że pewnie oszalałem od tych głosów w mojej głowie. -W tonie Kingsleya nie było urazy.

Allegra domyśliła się, że pewnie zdążył się już przyzwyczaić do złośliwych przytyków ze strony błękitnokrwistych. - Nie powiedziałem mu, że wiem to od ciebie. Nie chciałem, żebyś miała kłopoty.

- On kłamie. W furgonetce było ciało. Widziałam je.

- Tak - odparł Kingsley. - Znalazłem raporty z tej karetki. Należy do kliniki, z której korzystają zausznicy. Wynika z nich, że było w niej ciało. Ale nie ma żadnych danych o familiantach, którzy zaginęli lub zmarli w ostatnim czasie.

Allegra nie mogła uwierzyć własnym uszom. Charles powiedział jej prosto w oczy, że w tym worku jest familiant. Widziała ciało; wyglądało na ludzkie.

-1 co z tego wynika?

- Nie wiem. Nie potrafię znaleźć odpowiedzi, ale popytałem tu i tam i... nie wiem, co o tym sądzić.

Wygląda na to, że miały miejsce zaginięcia wampirów.

- Kingsley wypuścił głośno po-wietrze.

- Zaginięcia? - Nie, to niemożliwe. Allegra przypomniała sobie o strachu, który kazał jej obejrzyć to ciało, i obawach, że ci, którzy polowali na wampiry, znowu przeniknęli do ich świata. To niemożliwe.

Przecież zlikwidowano ich przed wiekami. Pomyślała o Roanoke i zaginionej osadzie. Były też inne wampiry, które odeszły ze Zgromadzenia albo nie poinformowały o tym Strażników. To nic takiego, zapewnił ją Charles. Nie ma się czego obawiać. Ona wciąż miała wątpliwości, ale nic z tym nie zrobiła, wątpliwości dotyczące tego, co naprawdę stało się we Florencji, co Charles przed nią ukrywał.

- Tak. Brakuje kilku nowych członków Komitetu.

- A co mówią Starsi?

- Nie zechcą ze mną rozmawiać na ten temat - odparł King-sley. - Tak czy owak nie wiem, co o tym sądzić. Pewnie to nic takiego. Może dzieciaki po prostu się urwały. Pomyślałem jednak, że powinienem ci powiedzieć. Poinformuj Charlesa, dobrze? Po-winien wiedzieć, że ktoś tu nie mówi prawdy.

- Tak, tak, powiem mu - zapewniła go Allegra.

Pożegnali się i rozłączyli.

Allegra zeszła na dół, zupełnie zapominając, że Ben na nią czeka.

- Przepraszam cię, ale muszę natychmiast iść do Charlesa.

- Rozumiem - odpowiedział.

Chciała go pocieszyć, lecz nie miała czasu na wyjaśnienia.

## CZTERDZIEŚCI TRZY

### Pałac Sinobrodego

Sam rozłożył mapę na stole i przedstawił drużynie plan misji ratunkowej. Byli w kwaterze venatorów w Mieście Umarłych. Minął prawie tydzień od porwania Deming. Dołączył do nich Mahrus, który wrócił z podróży do Jerozolimy, gdzie odwiedził tamtejsze Zgromadzenie. Schuyler postanowiła nie wspominać mu o tym, czego dowiedziała się od Katarzyny, bo nie była pewna, czy można w to wierzyć.

- Katarzyna powiedziała, że zamek stoi na granicy Czyścica, u ujścia Styksu - powiedział Sam. - Prowadzą do niego tylko dwa wejścia: główne, przez most zwodzony nad fosą, oraz sekretne, połączone z pałacem Zaniyat Babel, którym wchodzi się do lochów. Ślubne Żniwa wyznaczono na pierwszego sierpnia, a my

zjawimy się tam dzień wcześniej. Katarzyna pootwiera wszystkie drzwi w podziemiach burdelu. Nowa partia dziewcząt pojawi się dopiero za miesiąc, więc nikogo tam nie będzie. Pokazał następne miejsce na mapie.

- Kiedy dotrzemy do lochów, wejdziemy na górę do zamku. Z zewnątrz jest on ściśle strzeżony, ale wewnątrz będzie tylko służba, najwyżej kilku trolli, z którymi spokojnie damy sobie radę. Deming trzymają prawdopodobnie tu. - Wskazał na najwyższą wieżę. - W pokoju Sinobrodego.

- Sinobrodego? Tego z bajki? - spytała Schuyler.

- Nie wszystkie bajki są bajkami - wyjaśnił Jack. - Tak nazywają Baala, bo miał liczne żony.

-I wszystkie zamordował, tak jak w bajce?

- A jak ci się zdaje? - spytał cierpko Sam. - Według tego, co powiedziała mi Katarzyna, większość kobiet może urodzić demonom tylko jedno dziecko. Wiele z nich umiera przy poro-dzie, a jeżeli uda im się przeżyć, to i tak nie żyją długo.

- Bo petruwianie je zabijają - dodała Dehua.

- Dehua i Ted poprowadzą atak i rozprawią się z trollami. Ty i Schuyler będziecie zabezpieczać tyły. A

Mahrus i ja pójdziemy do wieży i uwolnimy Deming. -  
Zwinął mapę. - Czy to jasne?

Wszyscy skinęli głowami i rozpoczęli przygotowania do zejścia.

Wkrótce okazało się, że mapa jest zła. Gdy weszli do zamkowych lochów, Jack usłyszał, jak Sam klnie, wsuwając rulon pod ramię.

- O co chodzi? - spytał venatora. Zachowywał szczególną czujność, bo nie udało mu się przekonać Schuyler, by zrezygnowała z udziału w wyprawie. Podobnie jak Sam nie chciał popełnić żadnego błędu. Ryzyko było zbyt duże.

Sam podał mu mapę. Jack rozwinął ją. Lochy wyglądały na niej jak ciąg szerokich pierścieni, sięgający górnego zamku. Były połączone krótkimi korytarzami, które pozwalały na szybkie przemieszczanie się. Ale loch, w którym się znajdowali, nie odpowiadał temu na mapie. Przejście blokowały grube kamienne przegrody, zmuszając ich do kluczenia krętymi korytarzami.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Sam. - Powinniśmy być już na górze. Te wszystkie blokady sprawiają, że wchodzimy coraz dalej w labirynt i możemy z niego nie wyjść.

- Myślisz, że to jakiś podstęp? - spytał Jack. - Że oni specjalnie podsunęli Katarzynie fałszywą mapę?

\_ Nie wiem, ale coś jest nie tak. W lochach nikogo nie ma, wszystkie cele są puste.

Nagle gdzieś z głębi dobiegł hałas.

- Co to było? - spytała Schuyler.

- Trzymajmy się blisko siebie - powiedział Jack. Wszystkich ogarnął strach. Sam usiłował znaleźć wyjście

z kręgu, ale znowu natrafili na gruby mur.

- Musimy cofnąć się do punktu wyjścia - powiedział Jack.

- Nie - zaprotestował Sam. - Musimy znaleźć wyjście. To nasza jedyna szansa... - urwał i podążył za wzrokiem Jacka. Ciemny korytarz roił się od trolli.

Ich srebrne oczy i ciemna skóra jaśniały niezwykłym światłem, a na szyjach połyskiwały obroże. Na widok intruzów stwory zaczęły trąkotać podekscytowane.

Nie mając dokąd uciec, mała grupka uformowała ciasny krąg, szykując się na atak.

- To banda półgłówków - mruknął Sam. - Nie ma czego się bać.

- Możemy zrobić tylko jedno: przebić się przez nich - powiedział Jack. Wyjął miecz i wysunął się naprzód. Reszta zrobiła to samo. W ciemności błysnęły ostrza mieczy.

Trolle wahały się przez chwilę. Srebro było jedynym metalem, którego się bały. Ale wyszkolono je do walki, ruszyły więc do ataku z obnażonymi zębami i pazurami.

- Jack! - krzyknęła Schuyler, gdy największy rzucił się na niego.

- Mam go! - odkrzyknął, zaciskając zęby i wyciągając miecz przed siebie. Ugiął kolano i dźgnął potwora w środek piersi, przy-gważdżając go do ściany.

Pozostali członkowie grupy ratunkowej walczyli równie zaciekle jak trolle, ale nie udało im się zdobyć przewagi. Znajdowali się na nieznanym terytorium, była ich tylko szóstka, a trolli setki.

Jack usiłował zebrać myśli. Wpadli w pułapkę i musiał się za- stanowić, jak z niej wyjść. Trolle wybrały najszerszą część korytarza do przypuszczenia ataku, dzięki czemu mogły napierać szeroką lawą i z obu stron. Jack obrócił się i zobaczył wąskie przejście, małą niszę w grubym murze, zaledwie kilka kroków za nimi.

- Za tamten mur! - zawołał.



Sam spojrział na niego z przerażeniem.

- Ale stamtąd nie ma wyjścia.

- Właśnie o to chodzi - odparł Jack. - Będą musieli atakować nas pojedynczo.

Nie było czasu na dyskusję. Drużyna podążyła za cofającym się Jackiem.

- Będziemy się zmieniać - powiedział Mahrus, rozumiejąc, o co chodzi Jackowi. Było tu tak mało miejsca, że tylko dwie osoby mogły walczyć jednocześnie, jedna z prawej, druga z lewej strony. Dzięki temu mogli utrudnić atak trolli i kontrolować każdy ruch.

W końcu przyszła kolej na Schuyler i Jacka. Ona celowała niżej, a Jack wymierzał śmiertelny cios, kładąc trolle pokotem na ziemię.

Szło im coraz lepiej, gdy nagle kilka potworów zaatakowało ich od tyłu, robiąc wyrwę w ścianie.

Jack zaklął pod nosem. Zapomniał, że trolle odznaczają się niezwykłą siłą, zdolną kruszyć mury.

- Sam! Ted! Zabezpieczajcie tyły! - rozkazał. Trolle napierały, zmuszając drużynę do zacieśnienia kręgu - Musimy ich za-skoczyć w chwili, gdy wychodzą, i wypchnąć z powrotem.

Sam i Ted wymierzali ciosy na prawo i lewo. Przyparli do muru szóstkę stworów, które pojawiły się w wyłomie. W powietrzu unosił się zapach śmierci i krwi. Na razie jakoś szło, ale Jack wiedział, że trolle tak łatwo nie odpuszczą. Przekonał się o tym, gdy spojrzał w górę i zobaczył, jak skaczą do środka przez dziurę w suficie.

- Uwaga! - krzyknął, gdy rzuciło się na nich dwunastu trolli. Napastnicy przycisnęli Sama i Teda do ziemi, przewrócili Dehuę i trafili Mahrusa w głowę.

Udało im się rozdzielić grupę i wkrótce Jack i Schuyler stracili

z oczu swoich towarzyszy.

- Jack, ich jest za dużo - powiedziała Schuyler. - Nie damy rady się przebić. Będzie ich coraz więcej. Musimy odnaleźć De-huę i uciekać stąd.

- Dobrze - odpowiedział, przebijając mieczem jednego z trolli. - Ruszajmy.

- Nie. Ty musisz tu zostać i walczyć. Osłaniaj pozostałych, a ja ją odnajdę i przyprowadzę.

Jack odwrócił się ku niej. Tego właśnie najbardziej się obawiał.

- Nie! Nie puszczę cię samej!

Gdzieś z głębi lochu dobiegło głucho warczenie, od którego dreszcz przebiegł Schuyler po plecach.

- Co to jest?

- Diabelska sfora - wyjaśnił Jack, blednąc lekko. - Wypuścili ją z dziewiątego kręgu.

- Będziesz tu potrzebny. Postaram się szybko wrócić. Obiecuję.

Nie było czasu na pożegnania. Schuyler wymknęła się z tłumy, zostawiając Jacka.

- Tutaj! - usłyszała jego wołanie. Ściągnął na siebie uwagę trolli, by mogła bezpiecznie uciec.

Podążyła śladami pozostawionymi przez trolle, słusznie przy-puszczając, że doprowadzą ją do wyjścia, i wkrótce odnalazła kręcone schody prowadzące na górę. Pokonując po trzy stopnie na raz, dotarła do wieży. Z dołu dochodziły odgłosy walki i ryk Abbadona, bo Jack przybrał swoją prawdziwą postać. Po drodze sprawdziła kilkoro drzwi. Za pierwszymi znalazła szkielet wiszący na sznurze. Stłumiła krzyk. Pałac Sinobrodego, pomyślała. Za drugimi stała trumna, a za trzecimi... Nie otworzyła trzecich. Były następne, w sumie siedem, i w końcu dotarła do ostatnich, na najwyższym piętrze. Pomalowano je na czerwono dla ozna-czenia, że to cela

oblubienicy, która w wigilię pierwszego sierpnia miała zostać oddana demonowi.

Schuyler otworzyła drzwi zaklęciem i wbiegła do środka.

- Deming!

Ale cela była pusta. Deming zabrano już na uroczystość zaślubin.

## CZTERDZIEŚCI CZTERY

Uciekający pociąg

To jest stacja końcowa - powiedział Kingsley, po czym wysiadł z pociągu, gdy drzwi się otworzyły. Mimi i Oliver wyszli za nim na peron. Mimi zauważyła, że to ten sam pociąg, którym przyjechali do centrum Tartaru.

- Co teraz? - spytał Oliver, rozglądając się po pustej stacji. - Wygląda na to, że tory tu zawracają.

- Bo tak jest. Piekło to zamknięty krąg. Żadna z dróg nie prowadzi na powierzchnię.

Kingsley wyjaśnił, że będą musieli przejść na wyższy poziom i wsiąść do pociągu, który jedzie w przeciwnym kierunku.

Mimi popatrzyła na niego zdziwiona. Dlaczego nagle zrobił się taki nerwowy? Muszą po prostu złapać pociąg powrotny.

- No to na co czekamy? - spytała. Kingsley zawahał się.

- To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że to trochę skompli-kowane. Nie możesz tak po prostu przejść na inny peron. W tym

pociągu są setki trolli, a drzwi pilnują demony. To Linia Charona. Tędy przewozi się dusze do Królestwa Śmierci. Tak jest szybciej niż łodziami. Pociąg przyjeżdża pełny, ale wraca pusty. Nabiorą podejrzeń, gdy zobaczą, że do niego wsiadamy. Jeśli tu trafisz, zostajesz na zawsze.

- No to super - powiedział Oliver, łapiąc się za głowę.

- Helda nawet słowem o tym nie wspomniała - prychnęła Mimi.

- A po co? - odparł Kingsley wyraźnie tym niezrażony.

- Więc utknęliśmy, tak? - spytał gniewnie Oliver. Miał już dość Piekła i chciał wrócić do domu na Ziemię. Co prawda Mimi dziwnie się dziś rano zachowywała. Unikała jego wzroku, gdy powiedział, że wreszcie wyśpi się we własnym łóżku.

- Niezupełnie - odpowiedział Kingsley. Przeszedł przez peron do schodów przy końcu tunelu. - Chodźmy, ale musimy się pospieszyć.

Schody prowadziły na uliczny chodnik. Nie było tu samochodów, a budynki wyglądały na opustoszałe. Metalowe kraty zasłaniały fronty sklepów, a okna na górze były zabite czarnymi deskami. Tuż nad nimi stało metalowe rusztowanie, wysokie na trzy piętra, rzucające pokratkowany cień na ulicę. Miało po obu stronach perony i biegnące na północ tory.

- Tam właśnie przyjeżdża nasz pociąg. - Kingsley spojrzał w górę, oparłszy się plecami o żelazną kratę w oknie sklepowym. Mimi i Oliver podążyli za jego wzrokiem. Czarne rusztowanie oplatał gęsty drut, a poniżej piętrzyła się góra śmieci, blokująca schody.

-Jak można tam wejść albo zejść? To niewykonalne - stwierdził Oliver.

- Trolle po prostu przechodzą, ciągnąc za sobą dusze. Tak jak mówiłem, to pociąg w jedną stronę. Nikt tu nie wsiada, a pociąg zawsze wraca pusty.

W tej właśnie chwili pociąg z rykiem wtoczył się na peron, wyrzucając w górę kłęby czarnego dymu. Zahamował raptownie, tak że spod kół trysnął snop czerwonych iskier.

Oliver patrzył, jak drzwi się otwierają i wyskakują trolle, niosąc umarłych. Nagłe peron wypełnił się strażnikami i więźniami. W ciągu kilku sekund miejsce z opustoszałego zmieniło się w gwarne i hałaśliwe jak w godzinach szczytu. Trolle kierowały się w dół, ku znikającym pod ziemią schodom. Tymczasem pociąg obudził się do życia, wyrzucił w górę kolejną chmurę czarnego dymu i zniknął w oddali.

Wszyscy troje odprowadzili go wzrokiem.

- Co teraz? - spytał Oliver.

- Hmm, nie jestem pewny - odpowiedział Kingsley, drapiąc się po brodzie.

- Chyba mózg zaczął ci gnić w tym Piekło - stwierdziła Mimi, osłaniając oczy i patrząc w dal. - Widzisz ten budynek, obok którego przejeżdża pociąg? - Wskazała na zrujnowany dom, stojący kilka przecznic dalej. - Możemy skoczyć stamtąd na dach pociągu. To tylko kilka ulic dalej. Pociąg nie nabierze jeszcze szybkości.

- Nie widziałaś, jak on pędzi? - spytał Oliver. - Nie dam rady biec tak szybko.

Kingsley uśmiechnął się.

- Dobra.

Oliver pokręcił głową.

- Wiecie, że nie umiem tak szybko biegać. Wymyślcie coś innego.

Ale Kingsley już pędził naprzód. Mimi obejrzała się na Olivera, gdy biegli ulicą.

- Nie martw się. Złapię cię za rękę.

Oliver skrzywił się, ale nie miał innego wyjścia, jak zrobić to co oni.

Minęli dwie puste parcele, zarośnięte chwastami i zavalone śmieciami. Mimi zatkała sobie nos, gdy przeskakiwali nad za-rdzewiałymi wrakami aut i starymi lodówkami.

- Pospiesz się! - krzyknęła do Olivera. Nadjeżdżał właśnie kolejny pociąg.

Kingsley wbiegł do budynku przez dziurę w ścianie. Mimi podążyła za nim schodami przeciwpożarowymi na drugie piętro. Oliver z trudem dotrzymywał im kroku. Kingsley wziął krzesło i cisnął nim w wysokie okno, rozbijając szybę i ramę.

- Chodźcie, czas wskoczyć na pociąg. Mimi i Oliver stanęli za nim przy oknie.

- Nie dam rady - oznajmił Oliver.

- Dasz - zapewniła go Mimi. - Musisz. Nie mogę opuścić świata podziemnego bez ciebie - dodała, co



było prawdą, ale nie do końca. Pozostawała przecież sprawa zapłaty dla Helgi.

Owionął ich gwałtowny podmuch wiatru. Głośne dudnienie oznaczało, że nadjeżdża pociąg. Kingsley wyjrzał przez okno.

- Skacz pierwsza, ja pomogę Oliverowi - powiedział do Mimi.

Pociąg był tuż nad nimi. Nie mieli czasu do stracenia. Mimi skoczyła z okna na dach wagonu, po czym spojrzała w górę i zobaczyła, że Oliver kręci głową.

- Skacz! - wrzasnęła. - No, już!

Kingsley chwycił Olivera za ramiona, odepchnął się od muru i wzbił w powietrze. Wylądowali niedaleko siedzącej w kucki Mimi. Dla Olivera trwało to ułamek sekundy, krótki błysk metalu i cegły, i stali na dachu pędzącego pociągu.

- Musimy uciekać! - krzyknęła Mimi. - Spójrz tam! - Wiatr rozwiewał jej platynowe włosy, zakrywając twarz. - To chyba piekielna sfera.

Oliver odwrócił się. Mimi miała rację. To nie trolle. Trzy ścigające ich potężne stwory, podobne do wilków, wyglądały na większe i straszniejsze od nich. Poruszały się płynnie i bezszelestnie. Wbiegły do pustego

budynku, z którego oni przed chwilą skakali. Oliver zaklął, gramoląc się za Mimi i Kingsleyem do wnętrza wagonu przez okno. Kingsley i Mimi chwycili go za nogi i wciągnęli do środka.

- Co teraz? - spytała Mimi. - Jeżeli wsiądą do pociągu, zmuszą nas do powrotu do Tartaru. Musimy uciekać.

Kingsley wyprostował się dumnie.

- Książę Piekła nie będzie uciekał przed parszywymi wilkami. Muszą mnie słuchać.

Z dachu dobiegło dudnienie. Mimi cofnęła się, osłaniając Olivera. Kingsley nie bał się wilków, ale mogły złapać Olive-

ra. Powietrze zamigotało i po chwili dwóch wilków przeniknęło przez dach pociągu i stanęło przed nimi.

Uśmiechnęli się na widok trójki uciekinierów. Mieli wilcze twarze i w przeciwieństwie do zwalistych trolli byli szczupli, szybcy i przystojni. Łańcuchy przymocowane do srebrnych obroży były zerwane.

Oliver nigdy nie widział tak przerażających istot - ludzi w skórze wilka ze zjadliwymi uśmiechami.

- Wybieracie się gdzieś? - spytał jeden.

- Wracajcie do Lewiatana i powiedzcie mu, że odchodzę -oznajmił Kingsley. Nozdrza mu się rozszerzyły, a głos

zabrzmiał donośnie i rozkazująco, jak przystało na jego pozycję.

- Odchodzisz? Ale my właśnie przyszliśmy po ciebie - odparł wilk. - Masz wrócić z nami.

Mimi dostrzegła wahanie w jego głosie. Kingsley był przecież ich panem. Mimo to nie dawali za wygraną.

- Słyszeliście, co powiedziałem?! - ryknął Kingsley. - Ruszajcie, ale już! - Wyjął miecz z pochwy i cisnął w ich stronę. Ostrze wbiło się w ścianę tuż przy najbliższym stojącym wilku. - Potrak-tujcie to jako ostrzeżenie - powiedział. - Mimi, podaj mi swój miecz.

Wilki zadrżały i rozplynęły się w powietrzu niczym duchy.

Kingsley opadł na ławkę i uśmiechnął się do Mimi, która promieniała z dumy. Uścisnęli sobie dłonie.

Oliverowi pozostało jedynie cieszyć się, że jest cały i zdrowy.

- Chyba zarobiliśmy na bilet w jedną stronę - stwierdził Kingsley. - Ale Lewiatan nie będzie szczęśliwy, że odszedłem. Zbyt dużo wiem o tym, co tu się dzieje.

## CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Obietnica archanioła

Kochanie. - Charles wstał od stołu, przy którym jadł śniadanie. Wyglądał na ożywionego, wróciła mu dawna siła. Ale jego pewny siebie uśmiech zbladł, gdy dostrzegł cierpienie na twarzy Allegry.

Podeszła bliżej i poleciła służącym, żeby zostawili ich samych. Charles kiwnął głową i pokój opustoszał.

- Wczoraj wieczorem myślałam, że podaruję ci tę jedną noc, żebyś mógł być ze mną szczery i powiedział mi prawdę. Uwierzyłam ci, Charlie, uwierzyłam we wszystko, co powiedziałeś.

Wczoraj przysięgał, że we Florencji nic się nie zdarzyło. On zna całą prawdę, a jej przeczucie, że miało miejsce coś strasznego, to tylko wyrzuty sumienia przejawiające się strachem. Zapewnił, że nigdy by jej nie okłamał i zawsze był z nią szczery. Uwierzyła, że to jej wyrzuty sumienia z powodu popełnionego błędu oddaliły ich od siebie. Prosił, by sobie wybaczyła, by mogli razem utrzymywać ich świat z dala od niebezpieczeństw.

Uzdrowiła go i poczuła, że ich więź umacnia się z każdym po-całunkiem.

Wczoraj w nocy, gdy ślubował jej uczciwość i miłość, stali się sobie bliscy. Sądziła, że wreszcie wrócili do siebie. Teraz jednak znowu stali nad przepaścią.

- Powiedziałem ci prawdę. Nie rozumiem... Z kim ty rozmawiałaś? - spytał.

- Coś ty zrobił, Charles? Kto był w tej karetce? Co naprawdę zaszło między nami we Florencji? - Zacisnęła pięści. - Nie mogę uczestniczyć w kłamstwie. Już nie wiem, w co mam wierzyć. Zaczynam jednak podejrzewać, że może Cordelia i Lawrence mieli rację.

- Znowu wyciągasz sprawę Roanoke? O to ci chodzi? - spytał oskarżycielskim tonem. - Przecież wiesz, że nie było żadnego konkretnego dowodu na...

- Bez względu na to, co powiesz, wiem, że coś przede mną ukrywasz. I to jest właśnie powód, dla którego oddaliliśmy się od siebie, nie mój błąd, nie moje wyrzuty sumienia. Tu chodzi o coś, co zrobiłeś, Charles. To coś zmieniło historię naszego świata, czuję to. Dlatego właśnie nie kocham cię tak jak kiedyś. Nawet jeżeli nie pamiętam, co się wydarzyło, ja to wiem.

- Allegro, proszę. Posłuchaj samej siebie. To niedorzeczność, jak możesz mnie o coś takiego oskarżać? Dlaczego mnie tak nie-nawidzisz? Obiecałem ci, że nasz lud będzie żył bezpiecznie, i dotrzymałem słowa.

- Twoja ślepotą i dumą nas zniszczą. Popatrzyła na niego oskarżycielsko.

- Bramy są bezpieczne. Włożyłem w nie całą swoją moc. Nie ma się czego obawiać.

Nie słuchała go.

- Zniszczysz nas, aż staniemy się jedynie cieniami dawnej chwały. Tyle już straciliśmy. Raj na zawsze jest dla nas zamknięty, a ty wciąż nie rozumiesz. Zmieniłeś się, nie jesteś już taki jak dawniej. Coś się z tobą stało... I nie chcesz, żebym ci pomogła.

- Allegro, po co tu przyszłaś? - spytał lodowatym tonem. - Skoro nie zamierzasz do mnie wrócić, to po co?

- Nie wiem. Chyba chciałam cię zobaczyć po raz ostatni.

- Wyjdiesz za tego familianta, tak? -Tak.

Charles ukrył głowę w dłoniach i potarł skronie. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał ponuro i groźnie.

- Rób, co chcesz, wiedz jednak, że zniszczysz mnie, jeżeli się z nim zwiążesz. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Na zawsze staniemy się sobie obcy. Nie przeżyję tego. Miej świadomość, że moje życie spoczywa w twoich rękach. Widziałaś, czym grozi zerwanie więzi.

- Za późno, Charlie. Po raz ostatni mnie okłamałeś. Ty już zdecydowałeś. A to jest mój wybór.

Więź upomni się o swoje prawa. Może groziła jej śmierć, może Charlesowi również. Musiała jednak położyć kres temu, co Charles wywołał, co przed nią ukrywał, co sprawiało, że wampiry znikwały. Była Gabrielą Bez Skazy, Królową Zgromadzenia. Miała obowiązki wobec swojego ludu. Nie wiedziała, czy jej się uda, ale musiała spróbować naprawić to, co on zrobił.

Wychodząc z jadalni, była pewnego jednego: że nigdy więcej nie zobaczy Charlesa Van Alena - Michała, jej dawnego ukochanego. Ani w tym, ani w innych wcieleniach.

Nie tylko serce Charlesa zostało tego dnia złamane.

## CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Niebezpieczne żniwa

Deming Chen zrzuciła ozdobione klejnotami pantofle na wysokich obcasach. Tak długo biegła, że zupełnie o nich zapomniała, dopóki nie potknęła się o kamień na wewnętrznym dziedzińcu. Podczas tygodnia spędzonego w zamku nauczyła się kilku rzeczy, a wśród nich najważniejszej: że lepiej siedzieć cicho. Zbyt wcześnie zaczęła stawiać opór, pokazywać pazury i

swoją siłę, za co została ukarana. Wiedziała, że Schuyler i Dehua zdołały uciec swoim opiekunkom, którym się za to dostało, i była zła, że władowała się w kłopoty na własne życzenie. Powinna zaczekać, aż zostanie sama z czerwonokrwistymi kobietami, zamiast dźgać tego demona - ohydny ropuchę - który wybrał ją sobie na oblubienicę.

Wytrzymała cały tydzień z tymi wstrętnymi babskami, które nienawidziły jej tylko dlatego, że Schuyler i siostrze udało się uciec, a one miały z tego powodu kłopoty. Ciągnęły ją za włosy podczas czesania i naśmiewały się, że nie umie chodzić w pantoflach na wysokich obcasach. Jej narzeczony, demon Baal, od-wiedził ją tylko raz, gdy wyglądała już jak prawdziwa dziwka: włosy jej lśniły, usta miała w kolorze szkarłatu oraz uróżowane i przypudrowane piersi, uwydatnione ciasnym gorsetem.

Baal był potężny i przerażający, miał dwa wielkie rogi na szerokim czole i długą, czarną brodę. Górował nad nią wzrostem, ale Deming nie odczuwała strachu. Kiedy ocenił jej figurę i objął dłońmi piersi, plunęła mu w twarz. Zachichotał w odpowiedzi.

- Podobasz mi się - stwierdził. - Gdy będziesz moja, nauczysz się mnie kochać, mój słodki, błękitnokrwisty aniołku.



Czekała cierpliwie na właściwy moment. Pozwoliła, aby kobiety nakarmiły ją śliwkami i brzoskwiniami, zakręciły i ułożyły jej włosy; wytrzymała wszystkie upiększenia i złośliwą niechęć.

Ubrały ją w białą suknię. Dla błękitnokrwistych był to kolor śmierci, zarezerwowany jedynie na uroczystości pogrzebowe. Tego demona wcale nie obchodziło, że ona nie jest człowiekiem i że nie urodzi mu nefilima. Traktował ją jak ciekawostkę, okazję do zdobycia błękitnokrwistej.

Szansą na ucieczkę była Wigilia Dziewic przed dniem ślubu. Kobiety o niczym innym nie mówiły, tylko o uczcie czekającej srebrnokrwistych i demony w Tartarze. One również miały świętować w burdelu koniec tygodniowej pracy.

Wykorzystała okazję do ucieczki, gdy tylko została sama. Zo-stawiono przy niej na straży trolla.

Rozprawiła się z nim, dusząc go jego własną obrozą, po czym ukryła zwłoki w jednym z po-mieszczeń w wieży, w których Baal trzymał ciała swoich żon.

Rzuciła się do ucieczki, ale suknia przeszkadzała jej w biegu, rozdarła więc szew aż do uda i zrzuciła pantofle. Musiała tylko znaleźć ścieżkę prowadzącą do Bramy i będzie wolna.

Wchodziła właśnie na most zwodzony, gdy usłyszała krzyki dochodzące z wnętrza zamku. Zespół ratunkowy. Cholera! Czy oni nie wiedzieli, że potrafi sama sobie poradzić? To tylko skomplikuje sprawę. Wróciła do wielkiego holu i dosłownie wpadła na Sama.

- Deming!

- Sam!

Na twarzy venatora pojawił się rzadki u niego uśmiech.

- Czy...

- Nic mi nie jest - zapewniła go. - Zostałam jedynie obmacana, ale nic poza tym. Myślisz, że pozwoliłabym się tknąć demonowi?

Przytulił ją mocno.

- Wiem. Nie martwiłem się.

- Zbierzmy wszystkich i wynośmy się stąd. Właśnie się o czymś dowiedziałam. Jeden z trolli powiedział mi, że nie przeznaczono mnie Baalowi. On tylko przyszedł mnie obejrzeć, a ja miałam trafić do kogoś wyżej postawionego.

Pilnujący jej troll puścił farbę, uśmiechając się lubieżnie, dlatego unieszkodliwienie go sprawiło Deming jeszcze większą satysfakcję. Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, w wielkim holu

błysnęło i rozległ się grzmot, który wstrząsnął całym zamkiem.

Deming i Sam odwrócili się.

Jack się mylił. To nie był wilk, lecz ogromna bestia z rogami.

- To nie demon - powiedział Sam. - To Croatan.

- To właśnie chciałam ci powiedzieć - odparła Deming. Mieli przed sobą Malkiela, Rządcę. Na Ziemi znano go jako

Forsytha Llewellyna, najpotężniejszego sojusznika Lucyfera. Jego pojawienie się w świecie podziemnym świadczyło o tym, że stał się jeszcze silniejszy, bo potrafił bez żadnego trudu przekraczać granice między światami i żadna brama go nie powstrzymywała. Gdyby Deming trafiła w jego łapy, wypiłby jej krew i przejął jej moc.

Otaczał go odór śmierci. Srebrnokrwisty miał głowę byka i gdy się uśmiechnął, obnażył żółte zęby, ociekające śliną. W roz-dwojonym języku tkwił pierścień z brązu. Twarz pokrywało futro i zaschnięta krew. Kiedy ryknął, z gardła buchnął mu czarny ogień.

Sam i Deming wyciągnęli miecze i rzucili się na pomoc przy-jaciołom. Było jednak za późno. Bestia zdążyła już wbić ostry ogon w pierś Mahrusa.

Venator osunął się na ziemię.

## CZTERDZIEŚCI SIEDEM

### Zapłata

Będziemy musieli wyskoczyć, zanim dojedziemy do stacji - powiedział Kingsley. - Im mniej wilków, tym lepiej. Nie wiem, jak długo będą mnie jeszcze słuchać.

Pociąg zaczął zwalniać. Oliver zauważył, że krajobraz stał się pustynny, jak na początku ich podróży. Nie miał ochoty na kolejny nadludzki skok, który wampirom przychodził bez trudu. Nie pozostawili mu jednak wyboru.

- Panie przodem - powiedział, przepuszczając Mimi do okna. Stała na krawędzi i skoczyła, zwijając się w kulkę przy zetknięciu z ziemią.

Odwróciła się do nich.

- Nie jest tak źle. Skaczcie.

Oliver usiłował ją naśladować, lecz skręcił sobie nogę w kostce.

Kingsley wylądował na nogach i oczywiście nic mu się nie stało. Pomógł wstać Oliverowi.

- Złamana? - spytał.

- Nie, chyba tylko naciągnięta - odpowiedział Oliver, kulejąc lekko.

Oddalili się od torów i wkrótce dotarli do znajomego punktu kontrolnego - stacji benzynowej i szlabanu strzeżonego przez tych samych dwóch trolli, którzy powitali Mimi i Olivera na po-czątku podróży.

- A oni? - spytał Oliver.

- Pracują dla Heldy. Nie słuchają Lewiatana - odpowiedział Kingsley. - Hej - powitał ich lekkim tonem.

Pozwolili im przejść bez słowa. Wyglądali na lekko znudzonych.

Mimi puściła Kingsleya przodem i została z Oliverem, udając, że chce mu pomóc.

- Oprzyj się na mnie - powiedziała.

- Dzięki - rzekł. - Cieszę się, że dostałaś to, co chciałaś.

- Niezupełnie - odparła Mimi. Poczwała, że mięśnie jej drętwieją na myśl o tym, co miała zrobić. Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, bo było to obrzydliwe nawet

dla niej. Oliver sprawdził się jako dobry przyjaciel. Ale nie miała wyboru. Nadszedł czas zapłaty. Dusza za duszę. Przygotowała się na najgorsze. - Zanim przejdziemy, musisz coś dla mnie zrobić - powiedziała, nie patrząc na niego. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego do siebie.

Oliver westchnął. Czuł, że coś takiego się zdarzy. Lubił Mimi, ale jej nie ufał i podczas pobytu w świecie podziemnym starannie rozważył swoje możliwości. Wiedział, że nie ma ich wiele, ale

liczył na to, że Mimi zmieni zdanie i znajdzie jakiś inny sposób, by wyciągnąć ich z królestwa Heldy. Sądząc jednak po mocno zaciśniętej szczęce dziewczyny, przeliczył się.

- Chcesz mnie tu zostawić, prawda? - powiedział. Nawet nie drgnęła.

- Tak - odparła.

- Czy Kingsley wie? - spytał Oliver, patrząc, jak były Książę Piekła przekomarza się z trollami stojącymi przy stacji benzy-nowej. To była świetna zabawa, pomyślał, starając się nie czuć gniewu. Przecież wiedział, w co się pakuje. Mimi dała mu możliwość wyboru, a on zdecydował, że zejdzie z nią do Królestwa Śmierci.

- Nie. Nie powiedziałam mu. Pewnie by się nie zgodził, gdyby wiedział.

- Pewnie nie - przyznał Oliver. Kingsley był dżentelmenem i duma nie pozwoliłaby mu przystać na taką wymianę, zwłaszcza gdy w grę wchodziło życie człowieka.

- Więc... czy to jakiś problem? - spytała Mimi.

Starał się nie rozeźmiać. Niezły z niej numer, pomyślał. Sa-molubna suka. Nie dbała o to, co robi lub kogo krzywdzi, póki nie zdobyła tego, czego chciała.

- Mówisz serio, prawda?

- Powiedziałam ci, żebyś ze mną nie jechał - odparła jak dziecko, któremu oznajmiono, że jednak urodzin nie będzie. - Nie trzeba było mi ufać.

Strącił jej rękę z ramienia. Kostka nadal go bolała. Skoro miał tu zostać, po co było to całe skakanie? Ucieczka z Piekła? Ro-

zejrzał się wokół. Świat podziemny, jeśli się nad tym zastanowić, wcale nie był taki zły. Może przyzwyczai się do życia w lekkiej niewygodzie, znajdzie sobie syrenę, przywyknie do zapachu trolli.

- Może powinienem się zgodzić. Właściwie to nie mam po co wracać - mruknął. Czy nie dlatego zdecydował się

na tę podróż? Bo nie miał przed sobą żadnego celu? Bo chciał ocalić błękitnokrwistych? Zgromadzenia się rozpadały, wampiry scho-dziły do cienia, Schuyler odeszła. Co mu pozostało?

Pogodził się z myślą, że zostanie, ale poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Sądził, że byli z Mimi przyjaciółmi. Nie mógł uwierzyć, że potraktowała go jak śmieć. Czy tylko tyle dla niej znaczył?

- Jak możesz mi to robić? - spytał prosto z mostu.

- Żałuję, że muszę - odpowiedziała.

- Nie było innego sposobu?

- Nie. - Spuściła głowę. Teraz gdy ich podróż dobiegła końca, z całego serca zapragnęła, żeby znalazło się inne wyjście, żeby była bardziej stanowcza, gdy zaproponował, że zejdzie z nią do Piekła. Skazała go na ten los, bo sam się zgodził, dzięki czemu nie musiała porywać innego człowieka.

- Czy to pomoże, jeśli powiem, że mi przykro? - spytała.

- Trochę - odparł z nikłym uśmiechem.

- Naprawdę, bardzo mi przykro. Gdybym mogła, zabrałabym was obu.

Oliver pokręcił głową.



- A więc dobrze, chodźmy. Jakoś się przyzwyczaję do nowego domu. Tylko załatw, żeby nie zakładali mi obroży, dobrze? Na ich widok skóra zaczyna mnie swędzić.

## CZTERDZIEŚCI OSIEM

### Żołnierz Pana

Ciało uzdrowiciela osunęło się na podłogę. Srebrno-krwisty cofnął się, by ponownie uderzyć, rzucając cień na grupkę walczących. Potwór dzierżył w jednym ręku czarny miecz, a w drugim maczugę. Gdy wzniosł ją do światła, okazało się, że jest ponabijana czaszkami ofiar, które miały ostrzegać przeciwników przed czekającym ich losem.

Abbadon z rozpostartymi skrzydłami i szponami ociekającymi krwią trolli podjął wyzwanie. Stał, nie okazując strachu. Croatan z głową byka ryknął przeraźliwie, błyskając przekrwionymi oczami. Był dwa razy wyższy, dlatego Jack przykucnął, żeby wziąć lepszy zamach, i przeciął mieczem gardło potwora. Trysnęła krew i z sykiem rozpląnęła się po podłodze. Maczuga trafiła Abbadona w plecy, a ostre kolce wbiły się w zbroję. Jack przycisnął czarny miecz do podłogi, pozbawiając bestię możliwości obrony i zadał ostateczny cios, odcinając głowę demonowi. Na twarzy Malkiela zastygł wyraz niedowierzania.

Po chwili ciało zajęło się czarnym ogniem. Potwór, który był kiedyś Forsythem Llewellynem, najbliższym sprzymierzeńcem Księcia Ciemności na Ziemi, i który zniszczył Zgromadzenia, przestał istnieć.

- Weźcie się za ręce - polecił Abbadon.

Schuyler chwyciła się jego pazurów i złapała Mahrusa za rękę. Abbadon przeniósł ich z zamku na drugą stronę Bramy, do wnętrza piramidy.

Mahrus umierał w objęciach Schuyler. Jego twarz przybrała barwę kości słoniowej. Wyglądał niczym piękny marmurowy posąg.

- O raju! - jęknęła Schuyler.

Venator otworzył oczy, popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Nie martw się, moje dziecko. Wracam do domu. - Westchnął. - Przykro mi, że nie będę mógł ci dalej pomagać. - Jego ciało zajaśniało na chwilę jasnym, białym światłem.

- On nie jest jednym z nas - powiedział Jack, klękając przy ciele martwego vena tor a i kładąc mu na powiekach dwie monety. - To nie jest błękitnokrwisty.

Venatorzy uklękli i uczynili znak krzyża.

- W takim razie kim on był? - spytała Schuyler.

- Powinienem wcześniej się zorientować. Ale żaden z nas go nie rozpoznał. To jest Rafał - wyjaśnił Jack. - Żołnierz Pana, prawdziwy Anioł Niebios, brat Katarzyny. Przeżył wojnę, by znaleźć śmierć na Ziemi. Nazywał się Mahrus Abdel Massi, ten którego chroni Pan, sługa Mesjasza.

Wszyscy z czią popatrzyli na ciało Mahrusa.

- Skoro więc jest prawdziwym aniołem, a nie jednym z prze-klętych, to jak się tu dostał? - spytała Schuyler. Ścieżki łączące Ziemię z Niebem zostały zamknięte po buncie Lucyfera.

Po chwili przypomniała sobie słowa Katarzyny. Brama Obietnicy stała na dwóch ścieżkach. Jedna prowadziła do Piekła, a druga...

Dokąd mogła prowadzić... ? Czy możliwe, że...?

## CZTERDZIEŚCI DZIEWIEĆ

### Wymiana

Co się dzieje? - spytał Kingsley. Stał oparty o ścianę stacji benzynowej. - Co wy kombinujecie?

- Nie bądź zazdrosny - odpowiedziała Mimi. Podeszła i objęła go. - Odbyliśmy po prostu małą pogawędkę.

Oliver prychnął, ale nie zaprzeczył.

- No dobra. - Kingsley kiwnął głową. - Helda jest w środku. Chyba powinniśmy się pożegnać.

- Zaczekaj. Podejrzewam, że ona chce widzieć tylko nas dwoje - powiedziała, wskazując na Olivera.

Weszli do biura Hedy. Wyglądało tak samo jak przedtem, na biurku leżały stosy dokumentów, kwitów, ksiąg rachunkowych i kopert. Helda była tą samą surową, starą kobietą z piórem sterczącym za uchem. Podniosła głowę, gdy weszli.

- To jest ta dusza, którą chcesz oddać za Arakiela, tak? - spytała, otwierając księgę i sięgając po pióro.

- To ja - wtrącił Oliver.

Mimi zagryzła wargę i popatrzyła na zmęczonego Olivera w kurtce safari i brudnych dżinsach. Jak długo tu byli? Potem zerknęła przez okno. Kingsley siedział na ławce i czekał na nią, by mogli zacząć wspólne życie.

Kochała ich obu. Jeden był jej przyjacielem, a drugi kochankiem. Nie chciała się do tego przyznać, ale bez Olivera nie zdołałaby zejść do Piekła, by odnaleźć Kingsleya, i nie stałaby teraz tutaj. Tyle mu zawdzięczała.

- No więc? - spytała Helda, unosząc pióro. Jeżeli wpisze nazwisko Olivera do Księgi Umarłych, nie będzie odwrotu. Ten atrament się nie zmywał, był wieczny.

- Chwileczkę - powiedziała Mimi. - Muszę powiedzieć coś Kingsleyowi. - Wybiegła z biura, trzaskając drzwiami siatko-wymi.

- Wszystko w porządku? - spytał Kingsley. Mimi wzięła go za rękę.

- Wiesz, że cię kocham, prawda? Nad wszystko na świecie. Chcę, żebyś o tym wiedział.

- Oczywiście... Ale o co chodzi? - spytał Kingsley, czując przypływ lęku.

- I ty też mnie kochasz, prawda? Bez względu na wszystko.

- Kocham cię - odpowiedział. - Wstał i spojrzał jej w oczy. - Co ty kombinujesz, Force?

- W porządku - odrzekła Mimi. - Chciałam się tylko upewnić. Pamiętaj, że cię kocham bez względu na to, co się może zdarzyć.

- A co się może zdarzyć? Mimi, o co chodzi?

W odpowiedzi pocałowała go mocno w usta, a potem wróciła biegiem do biura Hedy, zostawiając Kingsleya skołowanego i lekko wystraszonego.

- Oliver, muszę pomówić z Heldą na osobności - oznajmiła.

- W porządku - odparł Oliver, po czym opuścił biuro i dołączył do zaniepokojonego Kingsleya.

- Co się dzieje? - spytał Kingsley.

- Nie mam zielonego pojęcia - stwierdził Oliver, wzruszając ramionami.

Helda zabębniła palcami po stole.

- No więc, o co chodzi, Azraelu?

Mimi nie mogła uwierzyć, że chce to zrobić, ale dowiedziała się czegoś o sobie w czasie pobytu w świecie podziemnym. Nie mogła poświęcić Olivera, nie mogła skazać go na taki straszny los. Nie można tak potraktować przyjaciela. Nie byłaby dziew-czyną, którą kochał Kingsley, gdyby to zrobiła.

- Musisz dostać jakąś duszę na wymianę, tak? Obojętnie jaką? - spytała niedbałym tonem, jakby nagle to sobie uświadomiła. - Żeby Arakiel mógł opuścić świat podziemny. - A przyjacielowi nic się nie stało, dodała w myślach.

-Tak.

Mimi spuściła głowę.

- To weź moją.

The New York Times

Śluby

## ALLEGRA VAN ALEN I STEPHEN CHASE

Allegra Van Alen i Stephen Bendix Chase zawarli wczoraj wieczorem związek małżeński w prywatnej rezydencji w San Francisco. Ceremonii przewodniczył sędzia Andrew R. Hazard z Dziewiątego Okręgu, przyjaciel rodziny.

Panna młoda ma 23 lata, jest producentką wina w Napa i ukończyła z wyróżnieniem Harvard. Jest córką Cordelii i Lawrence'a Van Alenów z Manhattanu. Matka panny młodej jest członkinią Konserwatorium Central Parku i Nowojorskiego Komitetu Banku Krwi. Świętej pamięci ojciec był profesorem lingwistyki i historii na Uniwersytecie Columbia.

Pan młody ma 25 lat i jest artystą malarzem, którego prace wystawia Galeria Vespertine w San Francisco. Jego obrazy znalazły się również w zbiorach Muzeum Sztuki Nowoczesnej w San Francisco. Ukończył Uniwersytet Stanforda. Jest synem Ronalda i Debory Chase'ów z San Francisco, Napa i Aspen. Ojciec jest artystą. Matka, nosząca przydomek „Decca”, zasiada w radach nadzorczych SFOMA, Opery San Francisco i

Baletu San Franci-sco. Pradziadek pana młodego założył Bendix Group, międzyna-rodowe przedsiębiorstwo handlujące stałą i zasobami ropy naftowej, które w 1985 roku zostało sprzedane British Petroleum.

## PIĘĆDZIESIĄT

Bez duszy

Mimi Force, Azrael, pędziła przez piaszczyste równiny Białej Pustyni. Pofałdowane wydmy białego piasku przypominały pokryte śniegiem wzgórza i doliny. Było to piękne i odludne miejsce. Wzrok przyciągały nieziemskie kredowe rzeźby ukształtowane przez burze piaskowe. Wiatr przez miliony lat stworzył z nich gigantyczne grzyby.

Nie chciała się spóźnić na spotkanie z Jackiem. Wciskając pedał gazu, poczuła przypływ podniecenia. Wreszcie nadszedł czas zemsty.

Świat podziemny i wszystko, co tam zaszło, należało do odległej przeszłości. Obudziła się w łóżku w hotelu Oberoi i zobaczyła siedzącego przy niej Kingsleya Martina. Powiedział jej, że zemdląca w drodze powrotnej z Piekła i zaniósł ją do pokoju.

-Co ty tu, do cholery, robisz? - krzyknęła. - Wynoś się!



Ten kretyń usiłował wmówić jej, że jest w nim zakochana. Bardzo śmieszne! W tym srebrnokrwistym zdrajcy? W Kingsleyu

Martinie? Fakt, był przystojny, ale prócz urody nie miał w sobie nic, co by ją pociągało. O jakiej wielkiej miłości on mówił? Chyba zwariował.

Mimi Force nie była zdolna do miłości. Mogła myśleć jedynie o zemście. Zabije brata podczas sądu krwi. Kingsley zbladł.

- Co ty zrobiłaś? Co oddałaś Heldze? - zapytał. -  
Powiedz

mi.

Roześmiała się.

- Nic ci nie powiem, bo nie mam powodu. A teraz wynoś się, bo wezwę ochronę.

Potem miało miejsce kolejne dziwne zdarzenie. Do pokoju wpadł ten kretyński ludzki zauszniak półkrewki Van Alen, Oliver jakiś tam, i zaczął coś bredzić o tym, że Zgromadzenie No-wojorskie się rozpadło i że wszystkie zgromadzenia na świecie ukryły się w cieniu, a oni muszą natychmiast wracać do Nowego Jorku, aby uratować ich społeczność i historię. Oczywiście też

wyrzuciła go z pokoju. Od kiedy to słucha rozkazów czerwono-nokrwistego?

Na szczęście, gdy wywaliła tych kretynów, odezwał się Jack.

Mimi, zakończmy to - nadał wiadomość. - Biała Pustynia. Sąd krwi na śmierć i życie.

Klasnęła w dłonie z radości. Nareszcie! Dostanie to, co jej się należało. Dziś wieczorem zatańczy nad ciałem zdrajcy i pomści doznaną zniewagę.

W pewnym sensie to było najlepsze, co mogło ją spotkać.

## PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Miłość życia

Schuyler uświadomiła sobie, że mały hotelowy pokój w Kairze stał się domem dla niej i dla Jacka. Codziennie rano robiła kawę w małym ekspresie i wspólnie jedli śniadanie przy małym stoliku. Będzie jej brakowało tego miejsca, ale pozostawi je w pamięci i dołączy do innych wspomnień o Jacku.

Ostatniej nocy kochali się bez słów, pozwalając, by ich ciała mówiły to, czego nie mogli wypowiedzieć na głos. Ale nawet wtedy udawała, że to nie jest ostatni raz, że to kolejna noc, dla której warto żyć. Później leżeli

objęci, nie odsuwając się od siebie, jakby uczyli się swoich ciał na pamięć.

Nazajutrz rano nie można już było tego dłużej odwlekać. Jack podjął decyzję. Coś się w nim zmieniło od spotkania z Katarzyną. Była w nim nowa stanowczość i nie mogła obarczać go swoimi troskami. Myliła się co do przyczyn swojej choroby. Pozwoliła ludzić się, że to coś cudownego i dającego nadzieję, nie chciała uwierzyć, że umiera. Ich związek od początku był skaza-

ny na niepowodzenie, Lawrence ją przed tym ostrzegał. Teraz to rozumiała.

Pomogła Jackowi włożyć kurtkę i zapięła górny guzik. Palce jej się trzęsły.

Jack chwycił ją za rękę i podniósł do ust.

- Wrócę do ciebie - powiedział.

- Będę czekać - zapewniła go. - Jak długo trzeba. - Wiedziała jednak, że bez względu na wynik, nawet jeżeli Mimi zginie, a Jack przeżyje, nie będzie zwycięzcy. Jack zmieni się, gdy zabije siostrę bliźniaczkę. Mimi była jego częścią, więc wraz z nią zniszczy część siebie. - Katarzyna nie mogła nam pomóc? - Tyle nadziei pokładała w tym, że Odźwierna

powie im, co trzeba zrobić, żeby uwolnić się od odwiecznej więzi.

Jack pokręcił głową.

- Cokolwiek się stanie, cokolwiek o mnie usłyszysz, wiedz, że miałem powód.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała, czując nagły niepokój. Jack nigdy tak do niej nie mówił.

- Nie mogę powiedzieć, bo naraziłbym cię na niebezpieczeństwo - odrzekł, a na jego twarzy pojawił wyraz takiego smutku, że Schuyler objęła go i mocno przytuliła. - Pełnisz tak ważną rolę w tej wojnie - dodał.

- Musisz przeżyć, aby nas uratować. To najczarniejszy okres w naszej historii, bo bramy już nas nie chronią. Ale jesteś córką Gabrieli, dlatego wierzę, że przyniesiesz wampirom ocalenie. Moje życie nie ma znaczenia.

- Tak mi przykro, że cię kochałam - powiedziała i rozplakała się, mocząc mu łzami kurtkę. - Ale to był taki cudowny sen.

- A ja nie żałuję ani jednej chwili - odpowiedział z mocą. - Warto było wspólnie przeżyć ten czas. Nie zamieniłbym go na nieśmiertelne życie.

Pocałowali się ostatni raz.

Potem Jack Force wyruszył na Saharę zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem.

## PIĘĆDZIESIĄT DWA

### Walka Abbadona z Azraelem

Mimi zmrużyła oczy, osłaniając je ręką przed jasnym słońcem, którego promienie odbijały się od jego włosów i okularów przeciwsłonecznych. Jack zawsze ubierał się wystrzałowo, pomyślała. Nie przestała go podziwiać nawet po tym, co zaszło między nimi.

- Witaj, Abbadonie - powiedziała, wysiadając z dżipa.
- Witaj, Azraelu. - Kiwnął głową, jakby wpadli na siebie w sklepie.
- Co tak długo?
- Spóźniłem się. - Wzruszył ramionami.
- No cóż. - Tupnęła nogą. - Zakończymy to? Kiwnął twierdząco głową.

Chwilę mierzyli się wzrokiem: Azrael, okrutny i przerażający Anioł Śmierci, i jej bliźniaczy brat Abbadon, Anioł Zniszczenia.

Nagle Mimi zniknęła.

Jack powiódł wzrokiem po krystalicznych wydmach. Biała Pustynia leżała daleko od Kairu i tłumów

turystów, była więc odpowiednim ustronnym miejscem na konfrontację. Nikt ich tu nie usłyszy, nikt nie przyjdzie z pomocą. To była walka na śmierć i życie. Sąd krwi.

Odnalazł Mimi przykucniętą na jednym z wapiennych stożków. Za jej plecami pomarańczowe promienie słońca bladły za horyzontem. Upał zelżał i zaczął wiać chłodny wiatr. Popatrzył na cień Mimi - czarny anioł gotujący się do walki. Zmusza mnie, bym zadał pierwszy cios.

Niech więc się stanie. Gdyby był inny sposób, już dawno by z niego skorzystał. Ale nie miał innego wyjścia. Azrael musiał zginąć, by jego ukochana mogła żyć.

W następnej sekundzie uderzył w skałę, na której stała Mimi, roztrzaskując skalny słup i wzbijając w powietrze chmurę białego pyłu. Ostre kawałki uderzyły go w pierś.

Mimi wybuchnęła śmiechem, zjeżdżając na ziemię z rozpadającą się kolumną.

- Tylko na to cię stać, Jack? - spytała. - Nie masz odwagi uderzyć we mnie?

Uniosła błyszczący miecz i drasnęła brata w gardło. Pierwsza krew. Cienki strumyk krwi spłynął po szyi Jacka.

- Atakuj! - krzyknęła z wściekłością, gdy Jack zrobił jedynie unik.

Zaatakował, lecz w ostatniej chwili uderzył mieczem w miękką skałę, wzbijając fontannę kamieni, które posypały się na Mimi. Powietrze wypełnił mieniący się pył pokruszonych muszelek.

- Niepotrzebnie utrudniasz sprawę - powiedziała Mimi, dysząc ciężko. - Tak czy owak, wszystko skończy się dziś wieczorem. Dlaczego nie chcesz walczyć o to, czego pragniesz? Jeżeli tak bardzo ją kochasz, musisz walczyć.

- Skoro tego chcesz - odpowiedział Jack, przybierając prawdziwą postać anioła ciemności. Miał teraz czarne skrzydła i rogi na głowie. W jego ręku lśnił niczym heban czarny miecz, a ło-począce skrzydła wzbijały chmury piasku.

Stało się, pomyślał. To, czego od tak dawna się obawiał, w końcu nadeszło.

Mimi krzyknęła przeraźliwie, zmieniając się w złocistego, prze-rażającego Azraela, a Jack machnął śmiercionośnym mieczem i ciął ją przez pierś.

Ponownie przybrała ludzką postać i zagryzła wargi. Nie da mu satysfakcji, nie usłyszy jej krzyku.

- Teraz już lepiej - zaśmiała się, po czym znowu zmieniła się w Azraela, a Abbadon pchnął ją na wapienny stożek. Uderzyła plecami o skałę, która przewróciła się na następne. Wapienne kolumny zaczęły padać niczym kostki domina.

Abbadon uniósł jedną z nich, by wymierzyć śmiertelny cios, ale Azrael poszybował w górę. Abbadon rzucił się za nim w pogoń. Wznosili się coraz wyżej, a pustynia wirowała pod nimi niczym śnieżna kula. Azrael zaatakował w locie, zataczając szeroki łuk, ale Jack odparował cios. Zwarli się w dzikim tańcu.

Skończyły się docinki i rozmowy, pozostała jedynie potężna wściekłość dwóch aniołów złączonych niegdyś więzią krwi, a teraz zdecydowanych zniszczyć siebie nawzajem.

Dla tych, którzy mieliby dość bystry wzrok, by śledzić walkę, byłoby to piękne widowisko. Dwie nieziemskie istoty walczyły w milczeniu, poruszając się ze śmiercionośną prędkością, tnąc i dźgając chłodne nocne powietrze.

Abbadon zadał cios. Azrael spadł z nieba, wielkie skrzydła przestały trzepotać, a przy zetknięciu z ziemią



znowu stał się Mimi. Z głowy i piersi sączyła się krew. Popatrzyła z nienawiścią na brata. Zapomniała, jaki jest silny, i że nie może wygrać tej walki. Nie była żadnym przeciwnikiem dla Anioła Zniszczenia.

Jack również wrócił do ludzkiej postaci. Widok wspaniałej istoty spadającej z nieba poruszył mu serce. Czy może to zrobić? Musi. Przygotował się na to co nieuniknione. Zrób to szybko, nakazał sobie, wymierzając kolejny cios. Słabła coraz bardziej, aż w końcu pękła jej kość w nadgarstku i miecz wypadł z ręki.

Mimi krzyknęła z bólu. Nie była w stanie dłużej nad sobą panować. Przegrywała. Jack przewyższał ją siłą. Za chwilę jej życie dobiegnie końca. Przygotowała się na ten moment. Sięgnęła po broń leżącą w piasku. Nie umrze bezbronna i bezradna.

Jack zadał kolejny cios, lecz tym razem czarne ostrze odcięło jedynie brzeg kołnierzyka przy koszuli.

Nie mogę, pomyślał. Nie mogę jej zabić. Nigdy nie zdołam tego zrobić.

## PIĘĆDZIESIĄT TRZY

### Czas w butelce

Nadszedł czas wyjazdu z Egiptu. Schuyler spakowała walizki i po raz kolejny wyruszyła w drogę na lotnisko. Nie mogła przestać myśleć o Jacku, ale musiała być silna. Teraz wszystko spoczywało na jej barkach. Demony stały u bram. Musiała wypełnić testament Van Alenów i znaleźć prawdziwą Bramę Obietnicy.

Na lotnisku ujrzała znajomą twarz.

- Ollie? -Sky?

- Ollie! - Zaśmiała się i uściskała go. - Czemu spotykamy się wciąż na lotniskach?

Cmoknął ją w policzek, ale spostrzegł, że ma ściągniętą i smutną twarz.

- A gdzie Jack? - spytał. Pokręciła głową.

-Jestem sama. Opowiem ci później, dobrze?

Kiwnął głową. Nie będzie nalegał i niepotrzebnie rozbudzał w sercu nadziei. Pozostanie dla niej przyjacielem.

- Co robisz w Egipcie? - spytała.

- Chyba to samo co ty. Byliśmy w świecie podziemnym.

- My? - No tak, Mimi. Po to tu przyjechała. Jack powiedział, że ma się z nią spotkać na Saharze.

- To długa historia. Opowiem ci, gdy znajdziemy się w hali odlotów - obiecał Oliver. - A co u ciebie?

- Może przy kawie wszystko sobie opowiemy - zaproponowała.

Schuyler powtórzyła mu, czego dowiedziała się o swoim dzie-dzictwie i co wyjawiała jej Katarzyna ze Sieny o Bramie Obietnicy, strzegącej dwóch ścieżek.

- Brama Obietnicy prowadzi do Raju.

- Nic dziwnego, że tak trudno ją znaleźć - stwierdził Oliver.

- Dlatego Michał zbudował bramy, zamiast zniszczyć wszystkie ścieżki. Podejrzywał, że jedna z nich prowadzi do Nieba -powiedziała Schuyler.

Nagle wszystko zaczęło się układać. Poczowała dreszcz prze-biegający po plecach na myśl o odpowiedzialności, jaka na niej spoczywała w związku z zadaniem, jakie wyznaczyła jej matka, zanim zniknęła.

Oliver wyglądał na przerażonego i przez chwilę żadne z nich nie odezwało się słowem. W końcu Schuyler przerwała milczenie.

- Dokąd lecisz? - spytała.

- Do Nowego Jorku - odpowiedział. - Muszę się upewnić, czy z rodzicami wszystko w porządku.

- A co się stało?

- Nie wiesz? Zgromadzenie zeszło do podziemia. Nawet za-usznicy nie są teraz bezpieczni. Zresztą tak jak wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z wampirami.

- A co z twoimi rodzicami?

- Na razie są bezpieczni, ale chcą, bym do nich dołączył.

## PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

### Ofiara Abbadona

Na co czekasz?! - wrzasnęła Mimi. - Zrób to wreszcie!

Leżała bezbronna na ziemi i z całych sił pragnęła umrzeć. Spojrzała na gwiazdy i wyobraziła sobie koniec wszystkiego - koniec więzi i całej tej nienawiści, którą wywołała. Pragnęła śmierci, ale koniec nie nadchodził. Jack się wahał.

Mimi natychmiast skorzystała z okazji. Ból w piersi dodał jej sił. Nie zginę na tej pustyni. Nie miała nic do stracenia. Nie zrezygnuje z jedynej rzeczy, jaka jej pozostała. Jack mógł zgłupieć z miłości, ale ona nie.

Zaatakowała Jacka, wytrącając mu miecz z ręki, pomimo bólu w nadgarstku, bo wampirze ciało szybko się goiło. Broń zatoczyła łuk i upadła na ziemię, wzbijając tumany piasku i pokruszonych skał. Mimi

poczuła smak zwycięstwa, wiedziała jednak, że jest pozorne. Zbyt łatwo rozbroiła Jacka.

- Co ty kombinujesz? - spytała. - Walcz.

- Niepotrzebna mi broń, żeby z tobą walczyć - odpowiedział stanowczo. Nie mógł zabić bliźniaczki, ale jego śmierć uczyni Schuyler wolną i uzdrowi ją. Odda za nią życie. Od początku to planował. To była jego odpowiedź na niemożność wyboru.

Mimi skoczyła na niego z wściekłością, przyciskając mu ostrze miecza do gardła. Jack uderzył plecami o poszarpaną skałę. Rozległ się niebezpieczny trzask. Mimi domyśliła się, że złamał kręgosłup. Mimo to mocniej wbiła mu ostrze w gardło, przecinając skórę.

Przed chwilą on był bliski zwycięstwa, ale nie skorzystał z okazji. Nie mógł jej zabić, okazał słabość. Ale ona nie będzie taka wspaniałomyślna. Uniosła w górę miecz, wkładając w to cały swój gniew i siłę. Każdy mięsień w jej ciele naprężył się i pot zalał brwi. Wściekłość wykrzywiła jej twarz.

- Giń! - krzyknęła, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu, ale w ostatniej chwili wbiła miecz w piasek tuż obok Jacka. - Cholera! - wrzasnęła i cisnęła broń za siebie. Była równie słaba jak on. Nie mogła zabić brata. Osunęła się na twardą skałę.

Walka dobiegła końca.

## PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Ukryta Odźwierna

Dokąd pojedziesz z rodzicami? - spytała Schuyler Olivera.

- Nie wiem. Od zawsze mieszkamy w Nowym Jorku. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. - Uśmiechnął się. - A ty?

- Ja też nie wiem - odparła. - Czy to... Kingsley Martin? - spytała, dostrzegając ciemnowłosego venatora, zmierzającego w ich stronę z trzema wielkimi kubkami kawy.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że jestem tu z Kingsleyem. Mimi wyciągnęła go z Piekła. Ale musiała oddać coś w zamian. Podejrzewam, że swoją duszę.

- Ona miała duszę? - zaśmiała się Schuyler. Ale Oliver nie odpowiedział tym samym. Coś się w nim zmieniło. Nadal byli przyjaciółmi, lecz dzięki przeżytym doświadczeniom stali się innymi ludźmi. - Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam, żeby to tak lekko zabrzmiało.

Kingsley usiadł między nimi i postawił kubki na stoliku.

- Cześć, Schuyler.

- Cześć - odpowiedziała. - Już mamy kawę.

- Och, to wszystko dla mnie. - Uśmiechnął się. - No to jak, Hazard-Perry wprowadził cię w sprawy?

- Tak jakby - odparła chłodno, nie bardzo wiedząc, czy może zaufać wygadnemu venatorowi.

- Kingsley jest w porządku - zapewnił ją Oliver. - Jest teraz jednym z nas.

- Miło zyskać twoją aprobatę - odpowiedział Kingsley. - Spotkałem członków mego starego zespołu, Lennoxów z żonami. Nie wiedziałem, że są do tego zdolni. - Mrugnął. - Opowiedzieli mi, co się tu zdarzyło, o śmierci anioła i innych sprawach.

Schuyler zmarszczyła brwi.

- Miał na imię Mahrus.

- Rafał - sprostował Kingsley. - Nie przepadał za mną. Ale to już nieważne. - Wypił łyk kawy. -

Skontaktowałem się z kilkoma kumplami, venatorami na świecie. Wygląda na to, że sytuacja jest niewesoła. Zgromadzenia się rozpadają. Ale jest coś znacznie ważniejszego. Powiedziałaś jej, Oliverze?

Oliver pokręcił głową.

- Nie, ale ty możesz.

Kingsley poinformował Schuyler, czego dowiedział się podczas pobytu w świecie podziemnym.

- No właśnie - odparła Schuyler. - Myślę, że cała ta sprawa z porywaniem dziewcząt, chociaż straszna, służy jedynie odwróceniu uwagi. Nawet ataki na Zgromadzenia mają na celu wywołanie paniki wśród wampirów i osłabienie ich czujności.

- Masz rację - odpowiedział Kingsley, stawiając z impetem kubek na stole. - To podstęp.

- Z tego, co powiedziałeś i co oni próbowali zrobić w Nowym Jorku, usiłując znaleźć Gwiazdny Klucz, który notabene nazywa się Bliźniaczym Kluczem, wynika, że oni robią to samo, co my. Szukają Bramy Obietnicy.

- Myślę, że znaleźli - mruknął Kingsley. - Dlatego są tacy pewni siebie. Teraz potrzebują tylko odzwiernego.

## PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

### Sąd krwi

Wydawało się, że leżeli na piasku bardzo długo, czekając, aż wampirza moc uleczy rany. W końcu Mimi usiadła. Czowała się dziwnie, jakoś inaczej. Wraciała do zdrowia, ale czuła coś więcej. Odzyskała duszę.

Poczuła ją w chwili, gdy zawahała się przed zabiciem Jacka, gdy uznała, że nie może go zabić, gdy wbiła



miecz w ziemię zamiast w jego pierś. Odzyskała ją dzięki temu prostemu gestowi przebaczenia. Dusza wróciła do niej po tym, jak oddała ją w Piekło, żeby Kingsley mógł wrócić z nią na Ziemię, a Oliver zachować życie. To nie była zasługa Heldy. Helda nie zachowała się tak wspaniałomyślnie. Komu więc zawdzięczała ten wielki dar? Była wdzięczna, że dano jej drugą szansę. Mogła żyć wiecznie jako nieśmiertelna, nie potrzebowała do tego duszy, dlatego oddała ją, nieświadoma konsekwencji. Ale gdy ją odzyskała, zrozumiała, co straciła: miłość i cel życia.

Co się stało? Gdzie Kingsley? Czy udało mu się wydostać z Piekła? Niczego nie pamiętała. Na myśl o nim poczuła ból w sercu. Tak bardzo chciała go zobaczyć i upewnić się, że jest cały i bezpieczny.

Popatrzyła na brata. Jack oddychał ciężko i miał na twarzy brzydką ranę. Odbyli sąd krwi, a mimo to wciąż łączyła ich więź.

- Wszystko w porządku? - spytała Jacka, gdy usiadł z jękiem.

- Kilka ran i siniaków, złamany kręgosłup, poza tym nic poważnego. Wszystko szybko się zagoi. Na szczęście jesteśmy wampirami. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, że mnie nie zabiłaś.

- Dobra, ale co teraz, skoro nie udało nam się nawzajem pozabijać?

Jack wstał i podał rękę Mimi.

- Jest tylko jeden sposób na zerwanie więzi.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Mimi zbladła.

- Tak - odpowiedział. - Tylko nasz dawny pan może rozwiązać to, co zostało związane.

Więź był silniejsza niż ich własne chęci i pragnienia.

- Może to i lepiej - stwierdziła Mimi. - Coś się dzieje tam na dole. Może zdołamy powstrzymać to od wewnątrz.

- Mamy być podwójnymi agentami? - spytał z uśmiechem Jack.

- Brzmi to idiotycznie, ale chyba tak.

Otrzeпаła piasek z dzinsów. Bardzo chciała zobaczyć Kingsleya przed powrotem do świata podziemnego, ale wiedziała, że to niemożliwe. Czowała jednak, że on żyje i że udało jej się go

wyciągnąć. Dopóki istniała więź, ani ona, ani Jack nie mogli być z tymi, których kochali.

- No to ja jestem gotowa, jeżeli ty jesteś.

- Liczy się tylko teraźniejszość - odpowiedział Jack.  
Zniknęli w wymiarze uroku. Bliźniacze Anioły  
Apokalipsy

wróciły do Piekła.

## PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

### Tajemnica Gabrieli

Bliźniaczy Klucz. Schuyler myślała intensywnie.  
Usiłowała sobie przypomnieć, co matka mówiła jej o  
dziedzictwie Van Alenów i o Zakonie Siedmiorga.  
Bliźniaczy Klucz, Klucz Bliźniąt.

Allegra Van Alen i Charles Force. Michał i Gabriela,  
najpo-tężniejsi z aniołów, Bez Skazy, Archaniołowie  
Światła.

- Bliźniaczy Klucz to klucz Michała i Gabrieli -  
oznajmiła nagle Schuyler z szacunkiem głósie. -  
Wszemocy pozostawił dla nich otwartą ścieżkę,  
ponieważ byli wampirami z wyboru, nie z powodu  
grzechu. Zeby mogli wrócić do domu.

- Skąd wiesz? - spytał Kingsley z podziwem.

Nie potrafiła tego wyjaśnić. Chodziło o coś, co Allegra  
mówiła od samego początku, gdy odwiedzała Schuyler  
w snach, a potem w trakcie ich ostatniej rozmowy,  
zanim wysłała ją na po-szukiwania i zleciła wypełnienie

rodzinnego testamentu. To wła-śnie było prawdziwe dziedzictwo, tajemnica, której Allegra nie mogła sama wyjawić. Testament Van Alenów był jej częścią. Odkryła ją, szukając Bram Piekieł. Ukryte kawałki układanki wreszcie trafiły na swoje miejsce. Allegra powiedziała o Charlesie: „Coś się zepsuło we wszechświecie, co tylko my dwoje możemy naprawić. To też jest częścią twojej podróży”. I jak brzmiały jej ostatnie słowa? „Moja córko, jestem w tobie. Nigdy o tym nie zapominaj”.

- To jest... we mnie - powiedziała. - Moja matka była Odźwierną Bramy Obietnicy. Dlatego są dwie Bramy, bo jedną ukryła przed Zakonem Siedmiorga.

Allegra ukryła w córce wiedzę o ocaleniu błękitnokrwistych. Wszystko, co wiedziała jako Odźwierna, oddała Schuyler na przechowanie.

„Córka Gabrieli przyniesie nam ocalenie - powiedział Lawrence. - Zaprowadzi wygnanych do Raju”.

Teraz wszystko zależało od niej. Schuyler Van Alen była Odźwierną i Kluczem. Bliźniaczym Kluczem.

- Trzeba znaleźć Bramę, zanim zrobią to srebrnokrwisci i ne-filimowie. Nie wolno dopuścić, by przez nią przeszli. Oliverze, Kingsleyu... musicie mi pomóc.

- Jestem z tobą, Sky - odpowiedział Oliver. Uniósł wzrok znad notatek pozostawionych przez Lawrence'a i przeczytał fragment, który doprowadził ich do Kairu. - „Nad brzegiem złotej rzeki miasto zwycięzcy znowu powstanie u stóp Bramy Obietnicy”. Tamiza otrzymała nazwę od Izydy, złotej bogini. Jeśli zaś chodzi o miasto zwycięzcy, to Londyn założyli Rzymianie w czterdziestym trzecim roku naszej ery.

- Co wy na to, chłopcy? - spytała Schuyler.

- Londyn - mruknął Kingsley. - Miejsce dobre jak każde inne.

- Pójdę przebukować bilety - oznajmił Oliver. Poczucie ożywienie na myśl, że znowu może się na coś przydać.

Schuyler poczuła spokój w sercu. Było jeszcze tyle do zrobienia. Pomyślała o Bliss, która miała za zadanie odnaleźć wilki. Z tego, co zdążyła się dowiedzieć o piekielnej sforcie, jej siostrę czekało trudne zadanie. Będą potrzebować wilków, jeżeli mają unicestwić srebrnokrwistych, powiedziała matka. Schuyler miała nadzieję, że gdy przyjdzie czas i rozpocznie się bitwa, Bliss stanie u jej boku.

Kingsley zebrał kubki i poszedł wyrzucić je do pojemnika. Schuyler skorzystała z okazji, że została sama, by chwilę pomyśleć. Nie czuła już Jacka.

Telepatyczna więź między nimi została zerwana. Nie wiedziała, czy on żyje, czy zginął. Będzie musiała radzić sobie bez niego. Obiecała mu to. Znajdzie jakiś sposób na przetrwanie. Dobrze, że tym razem miała przyjaciół do pomocy.

## PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

### Sprzymierzeńcy

Księżę Ciemności siedział na złotym tronie. Pewnego dnia, już niedługo, nie będzie potrzebował tej kopii Raju. Pewnego dnia wróci do dawnej chwały.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie zrozumiecie, że Bez Skazy nigdy nie potrafili was docenić tak jak ja - powiedział Lucyfer, uśmiechając się na widok nowych członków królewskiego dworu.

Abbadon i Azrael mieli na sobie stroje bitewne, takie jak dawno temu, podczas Ostatecznej Wojny, gdy Lucyfer po raz pierwszy spróbował zawładnąć Rajem. Uderzali skrzydłami o plecy, a złociste zbroje połyskiwały niczym latarnie morskie w nocy. Na ich pięknych twarzach malował się spokój i powaga.

Lucyfer siedział w białych szatach, rozsiewając wokół siebie niezwykły blask, wspanialszy od wszystkiego, co

kiedykolwiek widzieli. To była Gwiazda Poranna, zagubiony Książę Niebos.

Podeszli i uklękli u jego stóp.

- Przyszliśmy złożyć ci śluby posłuszeństwa w zamian za rozwiązanie więzi - powiedział Abbadon.

- Nasze miecze są na twoje rozkazy - dodał Azrael.

- Skąd mogę wiedzieć, że będziecie mi wierni? Już raz mnie zdradziliście - odpowiedział Lucyfer.

Jack był przygotowany na to pytanie.

- Zatrzymasz nasze dusze. Gdy spłacimy dług, zwrócisz je nam i rozwiązesz to, co zostało związane przed wiekami.

Mimi kiwnęła głową.

- Niech tak będzie - uśmiechnął się Książę Ciemności. Z Azraelem i Abbadonem u boku miał zapewniony powrót do Raju. - Powstańcie, przyjaciele. Witajcie w obozie sprzymierzonych.

## EPILOG

### Biała Ciemność

Allegra weszła w Białą Ciemność. Minęło ponad dwadzieścia lat od dnia, gdy zerwała więź. Nie tak dawno pozostawiła na ziemi dwie córki, przekazując im

zadania do spełnienia, i przeniosła się do Tartaru. Znalazła Charlesa w zadymionym klubie. Nie widzieli się od tamtego wieczoru, gdy opuściła Nowy Jork.

- Jesteś - powiedziała ciepło.

Charles miał na sobie elegancki czarny garnitur i siedział przy pianinie, bezmyślnie przesuwał palcami po klawiszach.

- Jak mnie tu znalazłaś? - spytał.

- Przecież to jedno z twoich ulubionych wspomnień - odparła, rozglądając się wokół. - Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty trzeci, Cotton Club, przed pożarem.

Westchnął.

- Zagrać ci coś? - spytała, siadając obok niego. - Zaśpiewasz dla mnie?

Kiwnął głową. Wstał, sięgnął po mikrofon i zaczął śpiewać.

- Unstop the day, you'll rise again...

Allegra grała, czując palące łzy pod powiekami. Gdy Charles skończył, zaczęła bić brawo.

- Opowiedzieć ci o Florencji? - spytał. - Nie wiem, czy masz dość siły, by wysłuchać tej historii.



- Zaczynij od początku - odpowiedziała. - Znam tylko moją część.

## Podziękowania

Dziękuję wszystkim z wydawnictwa Hyperion za cudowne wsparcie, jakie okazywaliście mi przez te lata - Wasza krew jest bez wątpienia błękitna; szczególnie mojej niesamowitej redaktorce Emily Meehan (Hurra!). Serdeczne wyrazy miłości przekazuję całemu zespołowi: Russellowi Hamptonowi, Jeanne Mosure, Suzanne Murphy, Stephanie Lurie, Christianowi Trimmerowi, Laurze Schreiber, Jennifer Corcoran, Nellie Kurtzman, Andrew Sansone'owi, Ann Dye, Simonowi Taskerowi, Dave'owi Epstei-nowi, Elenie Cabral, Kim Knueppel i Drew Richardsonowi. Wielkie dzięki, jak zawsze, mojemu agentowi i drogiemu przyjacielowi Richardowi Abate. Dziękuję bardzo mojej siostrze i asystentce Christinie Green i Kady Weatherford, która dołączyła w tym roku do zespołu. Wielki dług wdzięczności mam wobec mojej asystentki Jessiki Robertson Wright za pomoc w zbieraniu informacji o Kairze. Uściski dla wszystkich fanów Błękitnokrwistych na Facebooku, Twitterze i innych portalach internetowych. Gorące uściski dla rodziny de la Cruz i Johnstonów, a szczególnie dla czytelników Błękitnokrwistych: Mamie, Mamie J., moim teściom:

Christinie i Steve'owi. Przede wszystkim zaś dziękuję Mike'owi, który pisze i żyje tymi książkami ze mną; i Mattie, która nadaje temu wszystkiemu sens.